książki

MAGAZYN LITERACKI

Nr 2/2026 (351) Cena 16,50 zł (8% VAT) ISSN 2083-7747 Indeks 334464



ISSN 2083-7747 02
9 772083 774260

eprasa.pl c27f1fba1f

Z nami zaczniesz kolejny rozdział swojej kariery



DRESSLER

**STABILNY PRACODAWCA, REALNE MOŻLIWOŚCI,
NOWOCZESNE PODEJŚCIE**

eprasa.pl c27f1fba1f

platon

HARDE

WRÓĆ DO SWOICH ULUBIONYCH HISTORII!

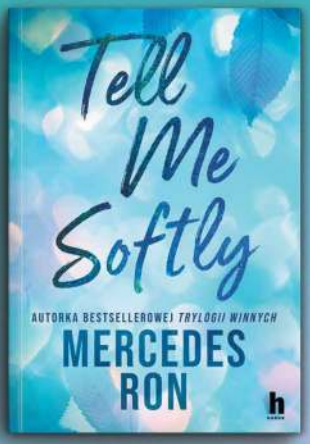


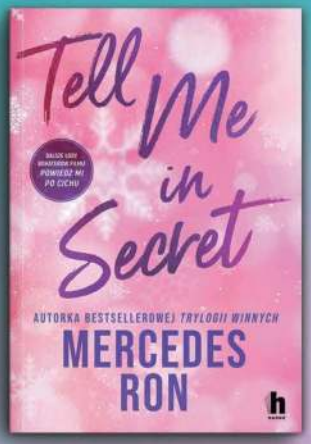


Trzy kobiety
Trzy historie
Jedno pytanie

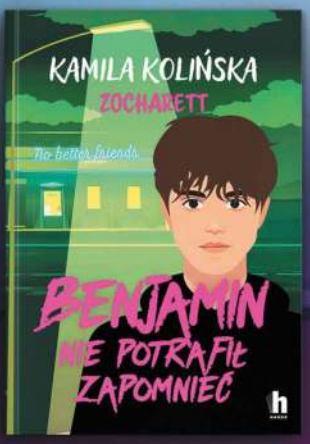
KONTYNUACJA FILMOWEJ HISTORII

„POWIEDZ MI PO CICHU"









ONA WRACA DO MIASTA,
A RAZEM Z NIĄ...
STRACH!

@hardewydawnictwo @hardewydawnictwo @harde.wydawnictwo wydawnictwoharde.pl

książki
MAGAZYN LITERACKI

Numer 2/2026 (351)

Redaktor naczelny: Piotr Dobrotęcki

Z-ca red. naczelnego: Ewa Tenderenda-Ożóg

Stale współpracują: Małgorzata Janina Berwid, Jerzy Brukwicki, Janusz Drzewucki, Tomasz Gardziński, Łukasz Gołębiewski, Jarosław Górski, Joanna Habiera, Aneta Kanabrodzka, Anna Kiełczewska, Piotr Kitrasiewicz, Tadeusz Lewandowski, Mirosława Łomnicka, Krzysztof Masłoń, Piotr Milewski, Urszula Pawlik, Małgorzata Karolina Piekarska, Bożena Rytel, Grzegorz Sowula, Magdalena Szkwarek, Michał Zając, Tomasz Zapert

Reklama: Ewa Tenderenda-Ożóg

Adres redakcji:
00-048 Warszawa,
Mazowiecka 6/8 pok. 416
tel.: 22 828 36 31

Internet: www.rynek-ksiazki.pl

e-mail: marketing@rynek-ksiazki.pl

Odwiedź na na Facebooku
facebook.com/magazynliteracki

i Instagramie
magazynliteratckiksiazki

Wersja elektroniczna dostępna jest w e-sklepach:

Virtualo.pl, virtualo

Publio.pl, publio.pl

ekiosk.pl ekiosk.pl

Skład: TYPO2 Jolanta Ugorowska

Druk: Mazowieckie Centrum Poligrafii

Wydawca:
Biblioteka Analiz Sp. z o.o.
00-048 Warszawa,
ul. Mazowiecka 6/8 pok. 416

Prezes zarządu:
Ewa Tenderenda-Ożóg

Prenumerata:

1) Redakcja: tel. 22 828 36 31, www.rynek-ksiazki.pl/sklep/czasopisma, e-mail: marketing@rynek-ksiazki.pl
2) Garmond Press SA: www.garmond.com.pl
3) Kolporter Sp. z o.o. Sp. K.: www.kolporter.com.pl

Wydanie dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

W NUMERZE

10-16 STRAŻNICZKA BIBLIOTEKI
Natalii trudno jest odpowiedzieć, co lubił czytać ojciec. To się zmieniało. Był ciekaw różnych tematów i ludzi. – *Kupował książki, także i dlatego, że potrzebował ich do pracy, np. przez wiele lat prowadził w „Zwierciadle" rubrykę „Album poezji miłosnej". Kiedy był w internowaniu, moim obowiązkiem były regularne wizyty w księgarni i zakup książek dla niego, spod lady.* Woroszylski, działacz opozycji, zbierał gorliwie pozyskiwane najróżniejszymi kanałami towarzyskimi tzw. książki zakazane. Przeglądając literaturę rosyjską, można zauważyć wiele współczesnych samizdatów, czy raczej tamizdatów. Tych w bibliotece najwięcej / PRYWATNA BIBLIOTEKA WIKTORA WOROSZYLSKIEGO, PISARZA I TŁUMACZA LITERATURY ROSYJSKIEJ, PO KTÓREJ OPROWADZA JEGO CÓRKA, NATALIA WOROSZYLSKA

18-22 JEŚLI MAM COŚ ŚWIATU DO OPOWIEDZENIA, MUSZĘ TO ROBIĆ SWOIM JĘZYKIEM
Gdy wybieramy obraz do książki Philipa K. Dicka lub robię do niej rysunki, nie czytam jej dokładnie, bo boję się, że wtedy zacznę ilustrować. Tylko ją przeglądam, żeby uchwycić strukturę. Mnie chodzi o to, żebyśmy wraz z autorem stanęli obok siebie. Tu jest pisarz, tu jestem ja, a między nami jest temat, nad którym pracujemy. Jestem przekonany, że Dick mówi dokładnie to samo, co sam chcę przekazać, lecz robi to innym, literackim językiem / ROZMOWA Z WOJCIECHEM SIUDMAKIEM

23-30 O WYMYŚLANIU GATUNKÓW
Twórcy science fiction w zasadzie od początków istnienia gatunku w jego nowożytnej formie korzystali z osiągnięć Karola Darwina, w mniej lub bardziej świadomy sposób. Czymże jest bowiem „Frankenstein, czyli współczesny Prometeusz", jeśli nie opowieścią o narodzinach życia? Jaki los czeka bohatera „Wehikułu czasu", jeśli nie konfrontacja z ponurym wyobrażeniem życia na Ziemi po zniknięciu z niej ludzi? Wszystkie te historie mają swoje nierozerwalne powiązanie z teorią ewolucji, a ich autorzy często jako pierwsi zadawali sobie pytania, które z czasem stały się podstawą ewolucji spekulatywnej / TOMASZ GARDZIŃSKI

45-47 ODKODOWYWANIE PAMIĘCI
Odbyliśmy 24 spotkania, podczas których staraliśmy się trzymać głównego tematu, lecz co i raz ciągnęło nas w inną stronę i dopiero po pewnym czasie powracaliśmy na pierwotny szlak. Felek stwierdził wręcz, że idziemy śladem „Rękopisu znalezionego w Saragossie" Potockiego, gdy jedna historia uruchamia drugą i tworzy się opowieść szkatułkowa, z tą różnicą, że u nas jest to non-fiction. Książka ma formę dialogu, w który starałam się jak najmniej ingerować. Jej żywa struktura może ułatwić poznanie najnowszej historii naszego kraju, o której niestety w szkołach nie uczą wcale lub słabo / ROZMOWA Z MAŁGORZATĄ NIEZABITOWSKĄ I FELIKSEM FALKIEM

POLECAMY RÓWNIEŻ

3-5 **WYDARZENIA** – NAGRODY LITERACKIE, IMPREZY BRANŻOWE, KONKURSY
6-8 **NIECH ZDROWIE BĘDZIE Z NAMI** BESTSELLERY LUTEGO / EWA TENDERENDA-OŻÓG, KRZYSZTOF MASŁOŃ
30-31 **KOMU KSIĄŻKĘ, KOMU** / REFLEKSY JANINY KOŹBIEL
34-36 **PISARZ I JEGO JEMIOŁ** / PIOTR KITRASIEWICZ
37 **KONTYNENT JUTRA** / ROZMOWA Z KASPREM BAJONEM
38-39 **W TELEWIZJI POKAZALI** / TADEUSZ LEWANDOWSKI
40-42 **MALOWANIE PIÓREM** / ROZMOWA Z JOANNĄ JURGAŁĄ-JURECZKĄ
42-44 **AUTOR W SZPONACH HOCHSZTAPLERÓW** / MAŁGORZATA KAROLINA PIEKARSKA
48-49 **POTRZEBA PISANIA ŁĄCZY SIĘ U MNIE Z POTRZEBĄ ROZUMIENIA** / ROZMOWA Z LAURĄ IMAI MESSINĄ
50 **NIEPRZYJEMNY HUMANIZM** / PAWEŁ WALCZUK
51 **LOSY ZESŁAŃCÓW POLSKICH W STALINOWSKIEJ ROSJI** / MIKOŁAJ BANASZKIEWICZ
52 **MARIA KULIK POLECA** / KSIĄŻKI DLA DZIECI I MŁODZIEŻY
53-54 **KSIĄŻKI MIESIĄCA** / NASZE SZCZEGÓLNE REKOMENDACJE
55-60 **RECENZJE NOWOŚCI WYDAWNICZYCH**

eprasa.pl c27f1fba1f

„Zwyrtała 2026" – poszukiwani promotorzy czytania



Rabka Festival, we współpracy z Miejską Biblioteką Publiczną w Rabce-Zdroju, Uniwersytetem Jagiellońskim oraz Uzdrowiskiem Rabka S.A., zaprasza do nadsyłania zgłoszeń do konkursu „Zwyrtała 2026".

Celem konkursu jest wybranie i nagrodzenie najlepszych pomysłów promujących czytelnictwo. Szczególnie wysoko oceniane będą działania, w wyniku których udało się zainteresować książką osoby niemające przyzwyczajeń czytelniczych.

Zgłoszenia przyjmowane są do 22 maja. Spośród nadesłanych propozycji jury wybierze dziesięciu finalistów, którzy przejdą do drugiego etapu i zostaną poproszeni o rozszerzenie opisu oraz dołączenie materiałów dokumentujących projekt (fotografie, nagrania).

Uroczyste wręczenie nagród odbędzie się 17 lipca podczas Rabka Festival 2026.

Regulamin konkursu i formularz na stronie organizatora: https://biblioteka.rabka.pl/konkurs-zwyrtala-2026/.

Kolejna odsłona programu „Mała książka – wielki człowiek"

Instytut Książki ogłosił twórców i wydawców książek dla dzieci w wieku 7-9 lat, które ukażą się w ramach programu „Mała książka – wielki człowiek".

Komisja konkursowa dokonała wyboru trzech zwycięskich projektów:

- Adam Robiński, „Lornetka", il. Maria Strzelecka, Wydawnictwo Druganoga,
- Tessa Moult-Milewska, „Szyszka i Straszydło", il. Adam Święcki i Anna Zając, wydawnictwo Kultura Gniewu,
- Rafał Kosik, „Duch z biblioteki", il. Katarzyna Kołodziej, Wydawnictwo Powergraph.

Jedna z nich trafi do pierwszoklasistów jeszcze tej jesieni, przy współpracy ze wszystkimi szkołami podstawowymi w kraju.

Tytuły do udziału w konkursie zgłaszali wydawcy. Oprócz spełniania określonych wymogów formalnych uczestnicy musieli przedstawić próbkę tekstu, ogólną koncepcję utworu literackiego oraz portfolio ilustratora zaangażowanego do projektu.

„Mała książka – wielki człowiek" to największy w Europie program bookstartowy. W ramach inicjatywy Instytutu Książki wyprawki czytelnicze trafiły już do ponad 6 mln dzieci.

POZNALIŚMY BESTSELLERY EMPIKU 2025

REMIGIUSZ MRÓZ PISARZEM ROKU I DEKADY



Fot. Jacek Kurnikowski/AKPA



24 lutego podczas gali finałowej ogłoszono Bestsellery Empiku 2025. Najchętniej czytanym autorem ostatniej dekady okazał się Remigiusz Mróz, twórca chętnie ekranizowanych powieści i bestsellerowych serii, w tym z Joanną Chyłką i komisarzem Forstem. Odebrał statuetkę Bestseller Empiku 2025 za najwyższą sprzedaż książek w latach 2015–2025. Autor wyznał, że łączna sprzedaż jego książek osiągnęła 13 mln egz.

Remigiusz Mróz odebrał także statuetkę dla Pisarza Roku.

W trakcie gali ogłoszono zwycięzców w książkowych kategoriach:

• Kryminał

„Schronisko, które zostało zapomniane", Sławek Gortych, Wydawnictwo W.A.B.

• Literatura piękna

„Null", Szczepan Twardoch, Wydawnictwo Marginesy

• Literatura polska dla dzieci

„Lamine Yamal. Złota nadzieja futbolu", Yvette Żółtowska-Darska, Jacek Sarzało, Wydawnictwo SQN

• Literatura popularna

„Wschód słońca w dniu dożynek", Suzanne Collins, tłumaczenie Małgorzata Hesko-Kołodzińska i Piotr Budkiewicz, Must Read

• Superprodukcja

„Rumor", Robert Małecki, w rolach głównych: Tomasz Schuchardt, Julia Borkowska, Maciej Jabłoński, produkcja oryginalna Empik Go, Wydawnictwo Literackie

• Audiobook

„Błękit", Małgorzata Oliwia Sobczak, czyta Marcin Popczyński, Wydawnictwo W.A.B.

Na gali wręczone zostały także Odkrycia Empiku dla twórców, „którzy wnoszą do kultury świeżą energię, odwagę i nowe spojrzenie". W kategorii „Literatura" uhonorowano Dorotę Groyecką za książkę „Krwinki. Opowieść o stracie i nadziei", Wydawnictwo W.A.B.

Magdalena Witkiewicz właścicielką wydawnictwa Flow



Bestsellerowa pisarka Magdalena Witkiewicz została właścicielką 100 proc. udziałów w wydawnictwie Flow. Jednocześnie powołano nowy zarząd spółki. W jego skład weszli Piotr Belka jako prezes zarządu oraz Magdalena Witkiewicz i Tomasz Witkiewicz jako wiceprezesi zarządu.

„To dla mnie moment bardzo symboliczny – osobisty i zawodowy jednocześnie. Flow powstało z miłości do opowieści i z potrzeby budowania miejsca, w którym autor i jego historia są naprawdę w centrum. Teraz wchodzimy w nowy etap – bardziej świadomy, bardziej odważny i zdecydowanie bardziej rozwojowy. (...) Przed nami intensywny rozwój. Chcemy budować sprawne, nowoczesne wydawnictwo z silnym zapleczem operacyjnym" – przekazała Magdalena Witkiewicz.

Wydawnictwo Flow powstało w lutym 2022 roku. Magdalena Witkiewicz założyła je z wieloletnią redaktorką, dyrektor zarzą- ▸

eprasa.pl c27f1fba1f

dzającą jednego ze śląskich wydawnictw Anną Seweryn.

15. Targi Książki Regionalnej Silesiana w maju

Targi Książki Regionalnej Silesiana to cykliczna impreza organizowana przez Dolnośląską Bibliotekę Publiczną od 2010 roku. W ramach targów odbywają się spotkania autorskie, konkursy i wystawy.

Tegoroczna, 15. edycja, odbędzie się od 7 do 10 maja na Placu Solnym we Wrocławiu.

Celem wydarzenia jest zaprezentowanie szerokiemu gronu odbiorców dorobku wydawniczego Dolnego Śląska, ze szczególnym uwzględnieniem publikacji wydawanych przez małe, mniej znane wydawnictwa regionalne.

Od 2012 roku w ramach targów przyznawana jest Nagroda Wydawnicza Silesiana dla publikacji, która poprzez treść, osobę autora i/lub formę edytorską w najlepszy sposób promuje Dolny Śląsk i stanowi wizytówkę regionu.

Konkurs Piórko w nowej odsłonie



Rozpoczęła się kolejna edycja konkursu literacko-ilustratorskiego dla twórców książek dziecięcych „Piórko. Nagroda Biedronki za książkę dla dzieci". W tej edycji twórcy mogą wybrać jedną z dwóch ścieżek konkursowych: Piórko Wyobraźni – dedykowaną wyłącznie autorom pracującym bez wsparcia narzędzi technologicznych, oraz Piórko Innowacji – umożliwiającą wykorzystanie potencjału nowoczesnych technologii w procesie twórczym.

Od tego roku Biedronka zaprasza do udziału wszystkich twórców, niezależnie od tego, czy mają już doświadczenie zawodowe. Pisarze i ilustratorzy z bogatym dorobkiem staną ramię w ramię z twórcami początkującymi i tymi, którzy korzystają z narzędzi AI.

W przypadku wyboru tradycyjnej ścieżki konkursu, czyli teksty i ilustracje powstają od podstaw, bez udziału narzędzi cyfrowych generujących treści, laureaci mogą liczyć na 120 tys. zł netto za najlepszy tekst i 120 tys. zł netto za najlepsze ilustracje.

Z kolei w konkursie Piórko Innowacji nagroda wynosi 30 tys. zł netto w każdej kategorii, a stworzona opowieść zostanie opublikowana w formie e-booka, dostępnego z poziomu QR-kodu w drukowanej książce zwycięzcy Piórka Wyobraźni.

Szczegółowe informacje: https://piorko.biedronka.pl.

TARGI KSIĄŻKI W GDYNI Z MOCNYM OTWARCIEM



Blisko 20 tys. uczestników, 140 wystawców i około 100 wydarzeń programowych – tak w liczbach można podsumować pierwszą edycję targów książki w Gdyni, które odbywały się w dniach 20-22.02 w obiekcie Polsat Plus Arena Gdynia.

Jacek Oryl, dyrektor Targów Książki w Gdyni, wiceprezes Fundacji Historia i Kultura, która organizowała wydarzenie wspólnie ze spółką Projekt Książka, nie ukrywa satysfakcji: – Targi debiutowały w Gdyni. I był to udany debiut. Fantastyczna była sobota, dobra niedziela, jeżeli chodzi o frekwencję. Z przyjemnością obserwowałem te tłumy ludzi przed scenami podczas spotkań. Bo to nie był kiermasz książek, ale miejsce, w którym można spędzić cały dzień na spotkaniach autorskich. Wielu wydawców bardzo chwaliło sprzedaż – przekazał Bibliotece Analiz

Zarówno organizatorzy, jak i władze miasta deklarują wolę kontynuacji wydarzenia i rozwijania jego międzynarodowego charakteru. W planach znajduje się wzmacnianie współpracy z krajami nadbałtyckimi oraz rozwój programu zagranicznych gości.

– Bardzo się cieszę z obecności targów książki w naszym mieście. Przez te trzy dni Gdynia będzie portem dla literatury. To tutaj będziemy odkrywać lądy, które może dotychczas były nam nieznane. Bo na tym właśnie polega literatura – żeby przybliżać człowiekowi te myśli, te obszary, te głębokie przeżycia, które na co dzień umykają. Z całą pewnością literatura poszerza horyzonty i to niezależnie od wieku. Pięknem literatury jest to, że każdy w tej literaturze znajduje coś, co go wewnętrznie rozwija – mówiła Aleksandra Kosiorek, prezydent Miasta Gdynia.

Wydawnictwo Dwie Siostry ma 20 lat

Wydawnictwo Dwie Siostry obchodzi w tym roku 20-lecie działalności. W tym czasie przeszło drogę od trudnych początków do ponad 600 wydanych tytułów, prestiżowych nagród i międzynarodowych sukcesów (wśród nich tytuł Najlepszego Europejskiego Wydawcy Dziecięcego Roku przyznanego na targach książki w Bolonii czy ogromna popularność książki „Mapy").

"Gdy zaczynaliśmy, pragnęliśmy estetycznego odrodzenia polskiej książki dziecięcej. Nawiązania do wspaniałych tradycji polskiej szkoły ilustracji i ich twórczego, współczesnego rozwinięcia. Otwarcia naszego rynku na bogactwo sztuki książki całego świata i na to, co w nim najlepsze. W tych dwóch dekadach wszystko to się spełniło. Polska książka i ilustracja dziecięca znów przeżywają świetny okres i odnoszą międzynarodowe sukcesy, a my cieszymy się, że mamy w tym swój udział"- poinformował wydawca.

Uniesienia – nowy imprint wydawnictwa Otwarte



Wydawnictwo Otwarte ogłosiło utworzenie imprintu Uniesienia. W ofercie znajdą się romanse, literatura obyczajowa, nieco mocniejsze erotyki, popularne ostatnio historie sportowe i romanstasy. Na tylnej okładce umieszczona zostanie informacja dot. tzw. „poziomu pieprzności". Ta sześciostopniowa skala ma uświadomić czytelnika, z jaką intensywnością scen erotycznych może mieć do czynienia podczas

eprasa.pl c27f1fba1f

lektury danego tytułu. Jest to ważny i potrzebny ruch zwłaszcza w kontekście młodszych osób pragnących sięgnąć po książkę tego wydawnictwa.

Kolejnym udogodnieniem wprowadzanym przez Uniesienia jest oznaczanie tropów, które pojawią się w środku. Dzięki temu każdy będzie mógł zobaczyć, na jakie motywy może liczyć i czy na pewno trafiają one w jego gusta.

Rebranding w Wydawnictwie Kobiecym

Nastąpiły zmiany w dwóch imprintach Wydawnictwa Kobiecego.

Wydawnictwo Papierowe Serca zapowiedziało powrót do korzeni i dawnej nazwy Niegrzeczne Książki. W ofercie znajdą się głównie erotyki z dużą dawką emocji i bez tematów tabu.

Z kolei wydawnictwo Young będzie teraz funkcjonowało jak Bliss. Tu czytelnicy znajdą powieści New Adult, Young Adult, romanse i romantasy.

Nagroda „Nowych Książek" dla Marka Bieńczyka



Zespół miesięcznika „Nowych Książek" zdecydował, że laureatem jubileuszowej, 25. edycji nagrody zostanie Marek Bieńczyk za prozę „Rondo Wiatraczna" (Wydawnictwo Karakter).

Pucio świętuje 10-lecie

Pucio, ulubiony bohater maluchów, gości w domach czytelników już od 10 lat.

Seria o Puciu została stworzona przez Martę Galewską-Kustrę, doktor nauk humanistycznych, logopedkę, pedagożkę dziecięcą i pedagożkę twórczości. Ma na celu wspomaganie kształtowania się mowy u dzieci na różnych etapach rozwoju. Pierwszy tom, „Pucio uczy się mówić", ukazał się w 2016 roku i z miejsca podbił serca rodziców i dzieci. Zapoczątkował też serię, która dziś liczy ponad 30 książek, gier oraz zabawek wspierających rozwój mowy oraz pobudzających do myślenia.

Jak podsumowało wydawnictwo Nasza Księgarnia, dotychczas sprzedano ponad 6 mln egzemplarzy książek, puzzli i gier. Trudno znaleźć malucha, który nie znałby Pucia. Popularność tej postaci wykracza poza granice Polski. Sprzedano 10 licencji na wydania zagraniczne, m.in. do Włoch, Czech, Ukrainy czy Chorwacji.

Lubuskie Wawrzyny 2025 rozdane



Lubuskie Wawrzyny to jedno z najważniejszych wydarzeń kulturalnych regionu, honorujące twórców literatury, nauki i dziennikarstwa.

Laureatami Lubuskich Wawrzynów 2025 zostali:

• 32. Lubuski Wawrzyn Literacki w kategorii poezja: Sławomir Gowin, „Łódź Dantego" (wydawnictwo Pro Libris),

• 2. Lubuski Wawrzyn Literacki w kategorii proza: Katarzyna Jarosz-Rabiej, „Ulica pachnąca lipami" (wydawnictwo Organon),

• 21. Lubuski Wawrzyn Naukowy: Małgorzata Mikołajczak, „Tropy topografii. W kręgu literatury osadniczej i postosadniczej" (Universitas).

Konkurs Lubuskie Wawrzyny organizowany jest przez Wojewódzką i Miejską Bibliotekę Publiczną im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze oraz Wojewódzką i Miejską Bibliotekę Publiczną im. Z. Herberta w Gorzowie.

Złoty Kościej 2025



Serwis Kostnica przyznał Nagrody Złoty Kościej 2025, którymi honorowane są najlepsze publikacje książkowe z gatunków m.in. takich jak horror, thriller czy kryminał.

• Horror Roku 2025
„Trzeci gatunek" – Grzegorz Kopiec (wydawnictwo Replika)

• Thriller Roku 2025
„Śnieg przykryje" – Michał Śmielak (Skarpa Warszawska)

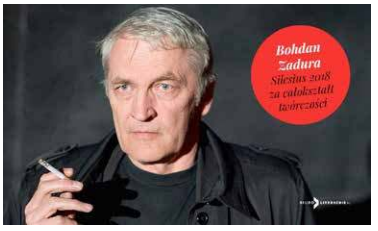
• Kryminał Roku 2025
„Rewers" – Adam Widerski (Novae Res)

• Fantastyka Roku 2025
„Węzeł czasu" – Remigiusz Mróz (W.A.B.)

• Okładka Roku 2025
„Piekielne natchnienie" – Robert Grot (Brda)

• Wydawca Roku 2025
Brda

Nagroda „Odry" 2025 dla Bohdana Zadury



Rada Redakcyjna i Redakcja miesięcznika „Odra" postanowiły przyznać Nagrodę „Odry" za rok 2025 Bohdanowi Zadurze za książkę „Co chciałem powiedzieć" i za całą twórczość, która „łącząc elementy poezji i prozy, snu i jawy, poetyki i polityki – składa się na oryginalny format artystyczny i intelektualny".

Zmarli



Nie żyje Roman Ostrowski (na zdjęciu), animator kultury i człowiek książki. Przez wiele lat był związany z Wydawnictwami Szkolnymi i Pedagogicznymi,współtworzył targi edukacyjne w Kielcach.

Zmarł Henryk Podolski, wieloletni dyrektor Wydawnictwa Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie i również wieloletni prezes zarządu Stowarzyszenia Wydawców Szkół Wyższych, znacząca postać w środowisku książki.

Zmarł dr Andrzej Rostocki – socjolog, wykładowca akademicki. Na rynku książki znany był głównie jako autor cenionych list bestsellerów publikowanych regularnie od około 1990 roku przez kilkanaście lat, najpierw na łamach „ExLibrisu", potem (najdłużej) w „Notesie Wydawniczym", a także w „Rzeczpospolitej". Przez ponad 20 lat prowadził zajęcia na Podyplomowych Studiach Polityki Wydawniczej i Księgarstwa na Uniwersytecie Warszawskim, był też wykładowcą obu edycji Polskiej Akademii Księgarstwa, również na UW. ■

eprasa.pl c27f1fba1f

BESTSELLERY LUTEGO
Niech zdrowie będzie z nami

1 Remigiusz Mróz w „Labiryncie" podąża tropami Agathy Christie. To nienajgorszy przewodnik w świecie, po którym porusza się najpłodniejszy polski autor.

2 Mel Robbins w „Teorii »pozwól im«" przekonuje m.in., że ucząc się dystansować od frustracji związanych z zachowaniem innych, można odzyskać spokój i radość w życiu.

3 James Clear w „Atomowych nawykach": „Rezultaty są tym, co otrzymujesz. Procesy są tym, co robisz. Tożsamość jest tym, w co wierzysz". A myśli niekiedy bywają złote. Tyle że rzadko.

4 Każdy ma swoją pamięć, także Maciej Siembieda, autor „Gołoborza", a powieść ma, naturalnie, swoje prawa i nie należy jej traktować ani jako dzieła naukowego, ani nawet jako reportażu. Ale kiedy – jak czytamy – po latach, już w wolnej Polsce, mieszkańcy powieściowej wsi, z piekła rodem zresztą, fundują ozdobioną kotwicą Polski Walczącej tablicę pamiątkową „W hołdzie bohaterom z oddziału partyzanckiego 'Karasia' poległym za wolność Ojczyzny", a każdemu wiadomo jest, że ów „Karaś" był degeneratem i zbrodniarzem, jak najsłuszniej zlikwidowanym z wyroku Podziemia, to jawi się ta scena li tylko jako okrutna groteska i jawna kpina z Żołnierzy Wyklętych. Niezależnie od faktu, że jest ona wytworem autorskiej fantazji.

5 „Odwaga bycia nielubianym. Japoński fenomen, który pokazuje, jak być wolnym i odmienić własne życie" autorstwa Ichiro Kishimi i Fumitake Kogi wydobywa z niepamięci postać Alfreda Adlera, trzeciego obok Freuda i Junga guru współczesnej psychologii. No może nie tyle współczesnej, ile dziewiętnastowiecznej. Choć czasem – jak w tym wypadku – znaczy to prawie to samo.

6 Tytułowy bohater powieści Freidy McFadden „Idealny syn" wydaje się, istotnie, żywym modelem rodem z Sèvres. Oto marzenie każdej mamusi: wzorowy uczeń, inteligentny, wysportowany, słowem – och i ach. Tylko dlaczego w pewnym momencie zaczyna budzić lęk? [Porównaj też poz. 19 i 20.]

7 Wojciech Sumliński i Ewa Kurek w książce „Porozmawiajmy o... Żydach" opowiadają o sprawach, o których głośno mówi się tylko w domach.

8 Dlaczego warto przeczytać „Zdrowie bez wymówek. Przewodnik po diecie, badaniach i terapii hormonalnej dla kobiet i mężczyzn"? Zdaniem autora – dr. Tadeusza Oleszczuka: „Bo zdrowie to nie cel odległy, lecz codzienna decyzja i odpowiedzialność". Hmm...

9 Laszlo Krasznahorkai w „Szatańskim tangu", które, już po upadku komuny, zekranizował w siedmiogodzinnym (!) filmie Bela Tarr, przedstawił obraz węgierskiej rzeczywistości będący zarazem studium mechanizmów poddaństwa i manipulacji. „Swojej książki na pewno nie pisałem z inspiracji politycznej, a polityczną była o tyle, o ile sądziłem, iż nawet jedno dobre zdanie może zburzyć tamten plugawy system. I chyba miałem rację" – mówił, a w komunizmie najbardziej wstrętne było dla niego „oszukiwanie najbiedniejszych, najuboższych, którym wmawiano, że ten ustrój daje im szansę, tymczasem naprawdę odbierał ostatnią nadzieję".

10 „Quo vAIdis" Andrzeja Dragana to lektura na czasy zdominowane przez sztuczną inteligencję. Wydaje się, że obowiązkowa.

11 Doświadczenia opisane przez Sebastiana Kellera w książce „Niebo. Pięć lat w sekcie" pozostałyby znane jedynie wąskiej grupie czytelników, gdyby nie serial zrealizowany na podstawie tych wspomnień. Z Tomaszem Kotem w roli głównej. I jak tu wybrzydzać na podobne produkcje, choćby ich poziom – nie tylko artystyczny – wołał o pomstę do... nieba właśnie.

12 Z „Obsesji" B.A. Paris: „Bezpieczna. Bawi mnie to słowo. Gdybyś wiedziała, co ci grozi, mimo zaryglowanych drzwi i zatrzaśniętych okien, pewnie zwinęłabyś się w kłębek i dała za wygraną. Mogę cię zabić choćby teraz, jeśli zechcę. Ale lubię się z tobą bawić, coraz bardziej cię straszyć, tak, byś poczuła ulgę, gdy to się wreszcie stanie".

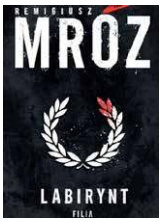
13 Nicholas Sparks i M. Night Shyamalan w powieści „Zostań ze mną": „Czasami jedna rzecz to wszystko, czego potrzeba, żeby zatrzymać wspomnienia, których się nie chce utracić".

14 Julia Popiel i jej „White Shirt", trzeci tom serii „Scars on Ice", dziejącej się wśród hokeistów, czyli osobników uprawiających sport, który niedługo nad Wisłą i Odrą będzie mniej popularny od futbolu amerykańskiego. Tak właśnie dbamy o kulturę fizyczną i jej propagowanie sprowadzające się do transmitowania wszystkich możliwych i niemożliwych lig piłki nożnej.

15 Kogoś, kto lubi Pragę, do przeczytania „Tajemnicy tajemnic" Dana Browna nie trzeba specjalnie namawiać. Mamy tu bowiem nie tylko obowiązkowe Hradczany i darzone szczególną atencją przez ludzi pióra żydowskie zabytki stolicy Czech, ale i, na przykład, Bibliotekę na Strahovie czy Klementinum. Zresztą przeczytajcie Państwo ▸

eprasa.pl c27f1fba1f

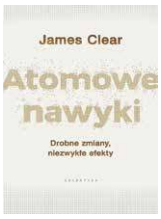
Bestsellery
„Magazynu Literackiego KSIĄŻKI"
LUTY 2026



1



2



3

Poz.	Miejsce w poprzednim notowaniu	Liczba notowań na liście	Tytuł	Autor	Wydawnictwo	ISBN	Liczba punktów
1		nowość	Labirynt	Remigiusz Mróz	Filia	978-83-8402-955-8	503
2	5	9	Teoria „pozwól im"	Mel Robbins	Galaktyka	978-83-7579-953-8	449
3	3		Atomowe nawyki. Drobne zmiany, niezwykłe efekty	James Clear	Galaktyka	978-83-7579-738-1	399
4	22	4	Gołoborze	Maciej Siembieda	Znak	978-83-8367-788-0	358
5	10	23	Odwaga bycia nielubianym. Japoński fenomen, który pokazuje, jak być wolnym i odmienić własne życie	Ichiro Kishimi, Fumitake Koga	Galaktyka	978-83-7579-602-5	326
6		nowość	Idealny syn	Freida McFadden	Czwarta Strona	978-83-6869-215-0	314
7		nowość	Porozmawiajmy o... Żydach	Wojciech Sumliński, Ewa Kurek	Wojciech Sumliński Reporter	978-83-972243-4-6	300
8	6	7	Zdrowie bez wymówek. Przewodnik po diecie, badaniach i terapii hormonalnej dla kobiet i mężczyzn	Tadeusz Oleszczuk	Zwierciadło	978-83-8132-681-0	297
9		nowość	Szatańskie tango	László Krasznahorkai	Czarne	978-83-8396-241-2	267
10	2	4	Quo vAldis	Andrzej Dragan	Otwarte	978-83-8399-008-8	264
11		nowość	Niebo. Pięć lat w sekcie	Sebastian Keller	Otwarte	978-83-8399-003-3	225
12		nowość	Obsesja	B.A. Paris	Albatros	978-83-8361-993-4	224
13		nowość	Zostań ze mną	Nicholas Sparks, M. Night Shyamalan	Albatros	978-83-8361-976-7	222
14		nowość	White Shirt. Scars on Ice. Tom 3	Julia Popiel	NieZwykłe	978-83-8418-439-4	219
15	4	5	Tajemnica tajemnic	Dan Brown	Wydawnictwo Sonia Draga	978-83-8230-998-0	215
16		nowość	Air Fryer. 28 dni na talerzu	Joanna Zielewska	Ringier Axel Springer Polska	978-83-8250-529-0	210
17	25		Nic mnie nie złamie. Zapanuj nad swoim umysłem i pokonaj przeciwności losu	David Goggins	Galaktyka	978-83-7579-884-5	181
18		nowość	Virion. Tom 3. Dom (Legenda Miecza)	Andrzej Ziemiański	Fabryka Słów	978-83-8375-212-9	169
19			Pomoc domowa	Freida McFadden	Czwarta Strona	978-83-6781-588-8	165
20			Pomoc domowa. Sekret	Freida McFadden	Czwarta Strona	978-83-67974-63-9	164
21	8	4	Zanim powiesz żegnaj	Harlan Coben, Reese Witherspoon	Albatros	978-83-8361-704-6	154
22		nowość	Babciu, opowiedz mi swoją historię	Jeffrey Mason	Luna	978-83-68381-91-7	153
23	1	2	A świat trwa	László Krasznahorkai	Czarne	978-83-8396-228-3	148
24			Piaskowy Wilk	Åsa Lind	Zakamarki	978-83-60963-11-1	145
25	11		Schronisko, które przestało istnieć	Sławek Gortych	W.A.B.	978-83-2717-032-3	143
26	20	7	Schronisko, które zostało zapomniane	Sławek Gortych	W.A.B.	978-83-8387-872-0	138
27		nowość	Kuria	Artur Nowak	Prószyński i S-ka	978-83-8391-349-0	129
28			Niesamowite przygody dziesięciu skarpetek (czterech prawych i sześciu lewych)	Justyna Bednarek	Poradnia K	978-83-6778-485-6	128
29	15	3	Dzieje Polski. Tom 7. Upadanie i powstawanie 1673-1763	Andrzej Nowak	Biały Kruk	978-83-7553-445-0	127
30	18		Chłopki. Opowieść o naszych babkach	Joanna Kuciel-Frydryszak	Marginesy	978-83-67674-31-7	126

Lista Bestsellerów - © Copyright Biblioteka Analiz 2026

Nasza lista powstaje na podstawie wyników sprzedaży w ponad 500 księgarniach całego kraju, w tym w sieciach: Empik, Świat Książki i Książnica Polska. O kolejności na liście decydują punkty przyznawane za miejsca 1-30 w poszczególnych placówkach księgarskich.

eprasa.pl c27f1fba1f

sami, do czego namawiam nie tylko czechofilów, skądinąd w Polsce wcale licznych.

16 „Air Fryer. 28 dni na talerzu" Joanny Zielewskiej to pomoc, powiedzmy, że naukowa do zakupu, którego, Drogi Czytelniku, z pewnością dokonałeś w ostatnim czasie. A jeśli ktoś nie ma jeszcze frytkownicy powietrznej, niech natychmiast ją nabędzie, bo uznany zostanie za... frajera.

17 „Koniec z marnowaniem czasu – apeluje David Goggins w »Nic mnie nie złamie«. – Godziny i dni wyparowują jak strumienie na pustyni. Dlatego właśnie dobrze jest być okrutnym dla samego siebie, choć działa to tylko wtedy, gdy zdajesz sobie sprawę z tego, że robisz to, by stać się lepszym. Każdy z nas potrzebuje grubszej skóry, jeśli chce poprawić swoje życie. Bycie mięczakiem, kiedy patrzysz w lustro, nigdy nie spowoduje, że nagle zapragniesz – a co najważniejsze, dokonasz – zmian, których potrzebujemy, aby przekształcić swoją teraźniejszość i otworzyć worek z możliwościami".

18 Virion, bohater „Domu", trzeciego tomu „Legendy Miecza" Andrzeja Ziemiańskiego, jest „starszy, łysy, z bukłakiem w dłoni i cierpliwością jeszcze mniejszą niż kieliszek wódki, który właśnie opróżnił". Zachęcające.

19 Historia opisana przez Freidę McFadden w „Pomocy domowej" wzbudziła zainteresowanie i w naszym pięknym kraju, czemu trudno się dziwić. Bohaterka książki, Millie, zostaje bowiem zatrudniona jako pomoc domowa w pięknym domu Winchesterów na Long Island. A to wszak wciąż marzenie tysięcy naszych rodaczek, niezależnie od podawanych nam na okrągło wiadomości, z których wynika, że żyje się nam bardzo dobrze. Pewnie, tak dobrze, że – jak to śpiewał Bohdan Łazuka – już gorzej być nie może. [Zobacz również poz. 6. i 20.]

20 „Pomoc domowa. Sekret" Freidy McFadden potwierdza autorskie przekonanie, że sprzątanie w luksusowych domach jest czynnością nad wyraz niebezpieczną. Lepiej posprzątać u siebie. [Czytaj także poz. 6 i 19.]

21 „Zanim powiesz żegnaj" autorstwa duetu Harlan Coben i Reese Witherspoon – thriller medyczny, tak się przynajmniej wydaje. Przynosi dowody na to, że z bólem daje się żyć, bo, po prostu, innej możliwości nie ma. Prawdziwy ból nie przechodzi, ani nigdy nie odchodzi. Żyjemy z nim i już.

22 Jeffrey Mason i jego książka „Babciu, opowiedz mi swoją historię" – rzekomo idealny prezent na Dzień Babci. Staruszce pomoże snuć rodziną sagę, w której podkreśli co ważniejsze miejsca, wnuczek (wnuczka) łaskawie je przeczyta – nie będzie przecież męczyć się całością – potem wyduka to na lekcji i dostanie ocenę celującą od nauczycielki głęboko przejętej zainteresowaniami swojego ucznia, zanurzonego w głębinach rodzinnej historii.

23 Sądząc po internetowych wpisach, opowiadania z tomu László Krasznahorkaia „A świat trwa" nie wzbudziły czytelniczego entuzjazmu. Spodobała mi się ocena: „Modernizm jak w mordę strzelił". A jednak książka znajduje wielu nabywców. Czyżby Nobel cieszył się jeszcze prestiżem? Zdumiewające. [Porównaj także poz. 9.]

24 Karusia z książki szwedzkiej pisarki Åsy Lind „Piaskowy Wilk" zastanawia się głęboko nad tym, „dlaczego tata musi czytać gazetę". Trudno odpowiedzieć dziecku na to pytanie, bo kto jeszcze czyta gazety? Co najwyżej przegląda się portale w smartfonie.

25 „Schronisko, które przestało istnieć" Sławka Gortycha – świetna książka, choć w swoim gatunku, bo to przecież kryminał – taki sobie. [Porównaj także poz. 26.]

26 Z książki Sławka Gortycha „Schronisko, które zostało zapomniane": „Intuicja to osąd niepoparty świadomym rozumowaniem, który prowadzi ludzi naiwnych do popełniania poważnych błędów". [Zobacz również poz. 25.]

27 „Kuria" Artura Nowaka rekomendowana jest przez wydawcę intrygującym na pozór pytaniem: „Jakie tajemnice kryją miejsca, z których Kościół zarządza Polską?".

28 Justyna Bednarek i „Niesamowite przygody dziesięciu skarpetek (czterech prawych i sześciu lewych) – evergreen podbudowany obecnością w spisie szkolnych lektur.

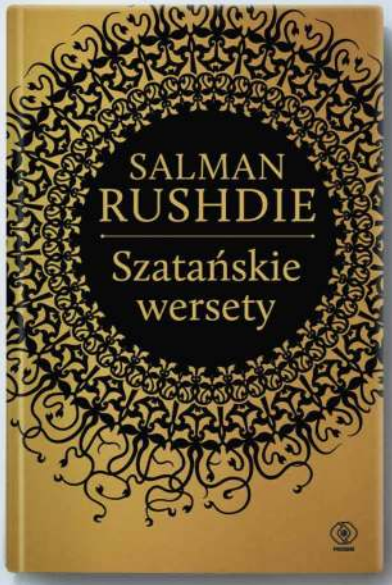
29 Siódmy tom „Dziejów Polski", zatytułowany „Upadanie i powstawanie 1673–1763" kończy Andrzej Nowak przypomnieniem księdza Baki i jego wierszy, niegdyś postponowanych przez większych i mniejszych znawców literatury, a dziś cenionych jako poezja metafizyczna. Pozostają też one jednym z symboli epoki saskiej, a o niej właśnie traktuje najnowszy tom *opus magnum* profesora Nowaka, kończący się stwierdzeniem, że „jakkolwiek byśmy się nie zżymali, wszyscy, albo przynajmniej większość z nas, jesteśmy dziedzicami tamtych czasów i tamtych ludzi: kmieci, panów i półpanków, Żydów, mieszczan, bambrów i Rusinów, Ormian i Tatarów, przemieszanych w gestach i genach tańca życia, jaki toczy się przez następne wieki polskiej historii. Powtórzmy: ona się zmienia, ale nie kończy".

30 W podobnym duchu (patrz punkt 29) „Chłopki. Opowieść o naszych babkach" Joanny Kuciel-Frydryszak mówią o osobach bliskich, najbliższych nam. Choćby i opowieści te całkowicie nie pokrywały się z tym, co znamy z przekazów rodzinnych.

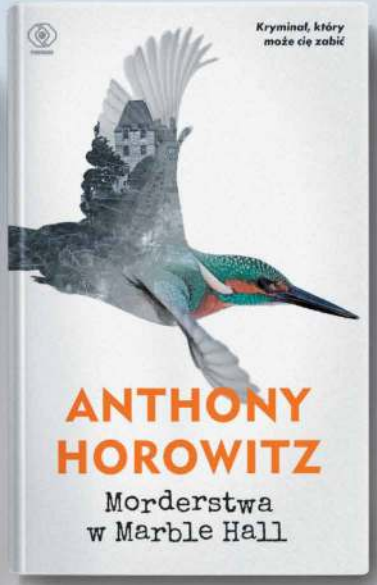
Ranking sporządziła
EWA TENDERENDA-OŻÓG
Komentarz KRZYSZTOF MASŁOŃ

eprasa.pl c27f1fba1f

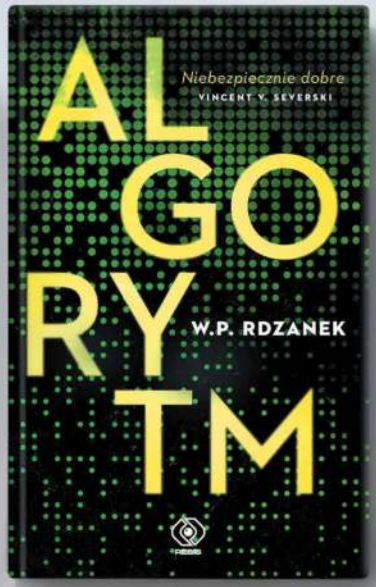
REBIS



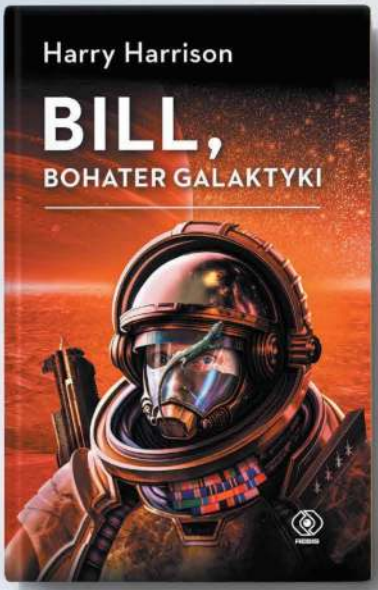
Jedna z najgłośniejszych i najbardziej kontrowersyjnych powieści XX wieku



Kryminał, który może cię zabić



Wejdź do świata zbrodni, hakerów i cybersłużb



Pełna absurdalnego humoru parodia książek gloryfikujących wojnę



Jedna załoga, jedna mikroskopijna i niezwykła misja w głąb człowieka



Przewrotna proza, w której realizm spotyka się z absurdem

REBIS Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o. www.rebis.com.pl

FB/DWREBIS @dom_wydawniczy_rebis

eprasa.pl c27f1fba1f

Strażniczka biblioteki

TEKST I ZDJĘCIA **MIROSŁAWA ŁOMNICKA**

Tym razem po bibliotece nie oprowadza nas właściciel, a jego córka. O księgozbiorze swojego ojca Wiktora opowiada Natalia Woroszylska. Gdy szuka się w internecie informacji o pisarzu, oprócz biogramu pojawi się jego fotografia na tle bogatej biblioteki. Patrząc na zdjęcie z przeszłości i zdjęcie wykonane obecnie, można przeżyć swego rodzaju *déjà vu*. Wiktor Woroszylski zmarł w 1996 roku, jego żona – w 2002, a biblioteka trwa w mieszkaniu na Żoliborzu od 1968 roku. Prawie w niezmienionej formie, przynajmniej wizualnie. Córka Natalia, która opiekuje się spuścizną pisarza, wprowadziła jedynie drobne modyfikacje. Lekko odchudziła dwa rzędy książek, uszczupliła do jednego, ale styl układania, przemieszanie pionu z poziomem, pozostał.

Gabinet

Biblioteka jest imponująca, ale dla spadkobiercy to wyzwanie, kłopot, a przede wszystkim obowiązek. Więzi rodzinne są dobrem, ale wcale nie muszą dotyczyć biblioteki.



– Dołożyłam pojedyncze książki Leszka Kołakowskiego, które wyszły po śmierci ojca. Filozof był dla niego ważny. Przyjaźnili się przez całe życie. To z jego powodu ojciec w 1966 został wyrzucony z PZPR – w proteście przeciwko usunięciu Kołakowskiego z partii – i sam został objęty zakazem druku.

Zlikwidowany przy okazji koniecznego remontu drugi rząd książek trafił do piwnicy. A i tak biblioteczna ściana robi wrażenie. Cztery szerokie i wysokie regały dają przestrzeń na ponad 15 mkw. bibliotecznej spuścizny.

– Jeszcze była głęboka półka naprzeciwko, którą przy okazji remontu przepiłowano w poprzek. Ojciec miał spis księgozbioru z głębokiej półki, nie umiem go znaleźć. Na pewno nie wyrzuciłam.

Natalia Woroszylska przyznaje, że o wielu szczegółach z życia ojca dowiaduje się z pisanych przez niego dzienników, a głównie z listów.

– Pisał, bo taką odczuwał potrzebę. Ojciec uważał, że jego zapiski będą kiedyś dokumentem dla badaczy epoki, raczej nie myślał o ich publikacji.

Zapisków ma w domowym archiwum sporo. Zapakowane są w pudła. W dużym mieszkaniu nie przeszkadzają. Na szczęście księgozbiór można dzielić, nie stanowi spójnej całości bibliofilskiej. Jest to księgozbiór osoby czytającej, zainteresowanej wieloma dziedzinami. Głównie literaturą rosyjską, klasyką z XIX wieku, z wieloma pozycjami w języku rosyjskim, bo Wiktor Woroszylski był też tłumaczem. Spędził cztery lata w Moskwie na studiach dok-



toranckich, w Instytucie Literackim im. Gorkiego. Państwo Woroszylscy przywieźli stamtąd mnóstwo książek, a po powrocie sprowadzali przy pomocy przyjaciół co ciekawsze pozycje. Znakomicie funkcjonowała też księgarnia z rosyjskimi książkami w Warszawie, zaopatrzona często lepiej niż książnice moskiewskie. Swego czasu Rosjanie przyjeżdżali tu w poszukiwaniu niedostępnych u nich tytułów. Natalia pokazuje pojedyncze egzemplarze pism, w których publikował Majakowski, wiele książek z dedykacjami.

Do cennych zbiorów należy książka z dedykacją od Aleksieja Kruczonycha i innych rosyjskich poetów, klasyków i awangardzistów. Woroszylski był nie tylko tłumaczem, ale i popularyzatorem literatury rosyjskiej. Przekładał utwory i listy Zoszczenki, Majakowskiego, Sołżenicyna, Brodskiego, Awierincewa. Wydał powieść o Sałtykowie-Szczedrinie, biografię Włodzimierza Majakowskiego, Sergiusza Jesienina (wspólnie z Elwirą Watałą) i Aleksandra Puszkina. Zwień- ▸

eprasa.pl c27f1fba1f

czeniem jego translatorskiej pracy w dziedzinie poezji rosyjskiej są „Moi Moskale", pozycja zawierająca ponad 200 przekładów 65 poetów, oraz osobiste notki o ich autorach. Z czasu studiów miał wielu znajomych, m.in. poetów Jewgienija Jewtuszenkę, Władimira Sokołowa, Nauma Korżawina, poznał pisarza Fazila Iskandera, zetknął się z czuwaskim i rosyjskim poetą Giennadijem Ajgim. O wielu z nich Natalia słyszała od ojca i zapamiętała scenę:

– Ojciec idzie z Jewtuszenką i rozmawiają o poezji. A Ajgi za nimi, przysłuchuje się.

Kilka lat później Ajgi przysłał Woroszylskiemu maszynopis z wierszami, które go zachwyciły i kilka z nich przetłumaczył, co dało początek międzynarodowemu sukcesowi poety. Zaczęła się ich przyjaźń. Wymieniali się listami, pomagali sobie. Bez pomocy Ajgiego książka o Majakowskim nie mogłaby powstać. Poeta, który pracował wówczas w Muzeum Majakowskiego, przysyłał fotokopie, dokumenty lub przepisywał ręcznie, wypożyczał książki. To Ajgi odkrył przed Woroszylskim Oberiutów i Charmsa.

Skrajny regał, który otwiera bibliotekę, zapełniony jest literaturą polską. Prozą, poezją i różnego rodzaju opracowaniami. Układ pion-poziom, który zwrócił moją uwagę, wynika z prozaicznego powodu. Tak mieściło się więcej książek. Dużo słowników, opracowań z historii, historii literatury. Jest i Wielka Encyklopedia Powszechna, która choć nie przedstawia wielkiej wartości, ma tu swoje miejsce. Natalii zdarzyło się z niej korzystać.

Na kolejnych regałach królują literatura niemiecka, francuska i historia obu literatur. W obu językach.

Wiktor Woroszylski urodził się w Grodnie, tam spędził dzieciństwo, wojnę. Grodno przechodziło z rąk do rąk. Gdy odchodzili Sowieci, zostawili książki rosyjskie. Zbierał je z ulicy i tak poznał rosyjską klasykę. Często mówił o tym w wywiadach.

Jest i regał z Amerykanami: Hemingway, Dos Passos, Salinger, Faulkner. Z boku wciśnięte tomiki z poezją Stanisława Barańczaka, które nie zmieściły się w dziale z literaturą polską.

Natalii trudno jest odpowiedzieć, co lubił czytać ojciec. To się zmieniało. Był ciekaw różnych tematów i ludzi. W jednym z wywiadów opowiadał, jak ważna była dla niego „Mała apokalipsa", którą czytał jeszcze w maszynopisie.

– Kupował książki, także i dlatego, że potrzebował ich do pracy, np. przez wiele lat prowadził w „Zwierciadle" rubrykę „Album poezji miłosnej". Kiedy był w internowaniu, moim obowiązkiem były regularne wizyty w księgarni i zakup książek dla niego, spod lady. Przeglądając listy ojca, znalazłam fragment, w którym chwalił mnie za umiejętność trafnych wyborów.

Część tomów poezji Woroszylski dostawał od młodych poetów, tłumaczy, zbierał także PIW-owską serię „Biblioteka Poetów", zwaną „celofanową", istniejącą od 1956 roku.

– Zachowałam tylko kilka pozycji, resztę pooddawałam.

Woroszylski, działacz opozycji, zbierał gorliwie pozyskiwane najróżniejszymi kanałami towarzyskimi tzw. książki zakazane.

– Czasami pełniłam rolę przedstawiciela ojca. Gdy nie mógł jeździć za granicę, bo nie dostawał paszportu, wtedy przywoziłam mu lektury z paryskiej księgarni z rosyjskimi książkami. Część zabierali na granicy, ale niektóre udawało się przeszmuglować. Choćby książki Michaiła Hellera, rosyjskiego intelektualisty, badacza historii najnowszej.

Przeglądając literaturę rosyjską, można zauważyć wiele współczesnych samizdatów, czy raczej tamizdatów. Tamizdat ukazywał się nie w Związku Radzieckim, tylko na emigracji, głównie w Paryżu, Nowym Jorku, Tel-Awiwie. Tych w bibliotece najwięcej i stoją najwyżej.

– Ostatnio szukałam dla mojego ciotecznego wnuka „Akwarium" Wiktora Suworowa i znalazłam wydanie z Londynu.

Korytarz

Aby pomieścić jak najwięcej książek, mama Natalii, Janina Woroszylska zaprojektowała sprytną dwufunkcyjną szafę do przedpokoju. Część przeznaczono na książki, drugą na ubrania, jej lustrzany układ znajdował się w pokoju małej Natalii, a zlikwidowana ściana





eprasa.pl c27f1fba1f

pomiędzy nimi powiększyła przestrzeń dla książek. Pomysł na tyle dobry, że podczas remontu Natalia pozostawiła projekt, tylko wymieniła materiały budowlane. W obu częściach szafy stoją książki z biblioteki Wiktora Woroszylskiego.

– Traktuję to jako obowiązek. Nie mogę ich wyrzucić. Od czasu do czasu próbuję je przekazać komuś w darze. Książki francuskie bezskutecznie oferowałam wydziałowi romanistyki. Część pamiętników powędrowała do znajomego, który się nimi zachwycił. Trochę niemieckich książek pojechało do mojego brata, który mieszka w Niemczech. Parę ciekawych pozycji wzięła przyjaciółka, tłumaczka Małgorzata Łukasiewicz. Ubyło tyle, że nie odczuwam tych uszczupleń.

Natalia narzeka na brak logicznego porządku, ale zastrzega, że wie, co gdzie stoi.

– Ojciec do mnie mówił: Nataliijko, znajdź mi to i to. Szłam i znajdowałam. Niestety, kiedyś zrobił porządki, wymyślił nowy układ i od tego momentu on i ja straciliśmy orientację. Miało być lepiej, a wyszło jak zawsze.

Pamięta, że ojciec czytał jej to, co tworzył dla młodych czytelników. Jednak pierwszym słuchaczem takich utworów był starszy brat, Felek. Wszystkie wiersze dla dzieci są zebrane w tomie „O Felku, Żbiku i Mamutku". Powieści dla dzieci i młodzieży „Cyryl, gdzie jesteś?" oraz „I ty zostaniesz Indianinem" też najpierw wysłuchiwał Felek. Główną krytyczką tekstów Wiktora Woroszylskiego była żona Janina. Natalia często uczestniczyła w tych „przesłuchaniach", ale była małomówna i tylko słuchała.

Natalia Woroszylska

Książki były zawsze w domu – gdy potrzebowała kolejnej lektury, pytała ojca. Z reguły miał, a jak nie, to przynosił z Biblioteki Związku Literatów, która była świetnie zaopatrzona. Nie korzystała ani z Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego,





ani z Biblioteki Narodowej. Przerażały ją katalogi, nawiedzała jedynie bibliotekę wydziałową na rusycystyce. Nie przypomina sobie, kiedy nauczyła się czytać, ale pamięta, jak ojciec uczył ją rosyjskiego. W piątej klasie, gdy zaczynała się nauka tego języka, umiała już pisać po rosyjsku. Dzieci ze starszych klas ją podziwiały, gdy rozeszło się, że jest dziewczynka, która pisze na tablicy bukwami.

– Gdybym posłuchała ojca, poszłabym na matematykę. W 1976 zdałam maturę i nie był to czas na studiowanie rosyjskiego w Polsce, ale w liceum Lelewela miałam świetną wychowawczynię, Rosjankę. Kiepsko mówiła po polsku, przemawiała do nas po rosyjsku i podejrzewam, że byłam jedyną osobą, która rozumiała, co do nas mówi. Obydwoje rodzice na wywiadówkach też rozmawiali z nią po rosyjsku.

Miała z tego przedmiotu piątkę i dzięki temu, że w olimpiadzie z języka doszła do finału, mogła bez egzaminu dostać się na rusycystykę. Do Lelewela wróciła jako nauczycielka. Nauczanie, któremu poświęciła dwanaście lat, uważa za swój pierwszy i najwspanialszy kawałek zawodowego życia. Nie wyznawała poglądu, jak większość uczniów i nauczycieli, że język wroga trzeba znać. Próbowała pokazać, że język nie ma nic wspólnego z polityką, a rosyjski, jak każdy inny, to znakomity instrument do poznawania świata.

– Od nas zależy, co czytamy. Przynosiłam uczniom różne teksty z prasy młodzieżowej, np. „Sputnik" dostępny w kiosku, ale też utwory literackie. Kiedy przyszedł do mnie uczeń (w roku 1981), dziś postać znana, późniejszy dziennikarz i korespondent, nieżyjący już Wiktor Bater, i poprosił o coś prawdziwie rosyjskiego do czytania, przyniosłam mu „Jeden dzień Iwana Denisowicza" Aleksandra Sołżenicyna, książkę, która opisuje jeden dzień więźnia sowieckiego łagru. Przynosiłam też piękne wiersze Puszkina i nowele Czechowa. Słuchaliśmy rosyjskich bardów.

Jako rusycystka nie pozbyła się tytułów z literatury rosyjskiej. Ojciec od początku wciągał Natalię w tłumaczenia. Pierwszych dokonywali wspólnie, m.in. tłumacząc Daniiła Charmsa, autora z grupy Oberiu, czyli Zrzeszenia Sztuki Realnej. Poznała ją dzięki ojcu. To była radykalna, awangardowa rosyjska grupa literacko-artystyczna, działająca w Leningradzie pod koniec lat dwudziestych i na początku lat trzydziestych XX wieku, koncentrująca się na absurdzie, grotesce i kwestionowaniu realizmu socjalistycznego. Do twórców z tej grupy należeli: Aleksander Wwiedieński, Miko- ▸

eprasa.pl c27f1fba1f

łaj Zabołocki, Konstanty Waginow, Igor Bachteriew i Mikołaj Olejnikow. Artyści Oberiu wiedli szalone i intensywne życie artystyczne.

Problemy z sowiecką cenzurą sprawiły, że większość z nich uciekła w literaturę dla dzieci. Charms był ich czołowym przedstawicielem, to jego abstrakcyjny humor tak ukochał Wiktor Woroszylski. Wielu z nich zostało wtrąconych do więzienia, straciło życie w nieznanych okolicznościach, a sam Charms został zamknięty w szpitalu psychiatrycznym, gdzie zmarł. Woroszylski nie miał okazji poznać ich osobiście, ale interesując się sferą kultury zakazanej w komunie, dotarł do ich twórczości i starał się ją ocalić. Tak przetrwały dzieła Obieriutów – w tłumaczeniach zagranicznych pisarzy. Z czasem stali się bardziej popularni, a nawet modni. Jerzy Czech, współczesny tłumacz literatury rosyjskiej, wydał w 1997 roku obszerny tom utworów Charmsa „Pijcie ocet, panowie", a w 2013 roku antologię „Wdrapałem się na piedestał. Nowa poezja rosyjska" o samizdatowych twórcach rosyjskich.

– Egzemplarz „Płomyczka", w którym znalazło się moje pierwsze tłumaczone opowiadanie, przechowuję do dziś. Ojcu nie udało się zrobić ze mnie tłumaczki pełnoetatowej, bo zawsze miałam inną posadę. A praca z doskoku nie pozwala zostać dobrym tłumaczem, nie doskonali się warsztatu. Ojciec pisał o tym do mnie w listach z internowania, gdy się martwił, kiedy wyrzucono mnie z Lelewela.

Pracowała też w Instytucie Polskim w Moskwie, następnie wylądowała w Polskim Radiu, w redakcji rosyjskiej programu dla zagranicy. Tłumaczyła jedynie krótkie formy. Jest dumna z zaproszenia ojca do współpracy przy tłumaczeniach Charmsa („Tygrys na ulicy") i Zoszczenki („Bądź człowiekiem, towarzyszu"). Książki są dziś nie do kupienia, na szczęście stoją w bibliotece Natalii. W niewielkim zakresie uczestniczyła też przy powstaniu tomików Wysockiego i Okudżawy dla wydawnictwa muzycznego, do których ojciec wybierał i tłumaczył teksty. Przekładała też wraz z ojcem „Choinkę u Iwanowów" Aleksandra Wwiedieńskiego, wystawianą w teatrach na fali popularności Obieriutów w Polsce, oraz fragmenty prozy Fazila Iskandera, pisarza rosyjskiego, z pochodzenia Abchaza.

– U niego znajduję cudowne opisy tradycji, miejsc, smaków, zapachów. Wiele czerpał z folkloru abchaskiego. Jego opowiadania zaludniają malowniczy bohaterowie, prości ludzie, pełni mądrości i humoru.

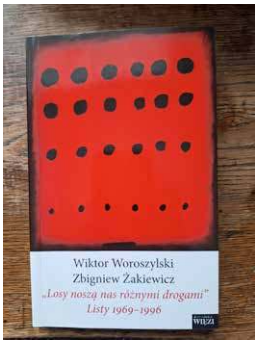
Pisma

To ważna część biblioteki Woroszylskiego, ale nie jest znana Natalii. Na półkach stoi rocznik „Kontinientu", jednego z najważniejszych czasopism tzw. trzeciej emigracji z ZSRR, która skupiała dużą grupę artystów, literatów, intelektualistów. W latach 1974–1992 pismo było wydawane w Paryżu, od 1992 roku – w Moskwie. Woroszylski zebrał komplet paryskiego „Kontinientu". W bibliotece są też inne pisma emigracji rosyjskiej np. „Strielec", „Westnik Russkogo Christianskogo Dwiżenija", „Grani", „Wremia i My", „Arion", a także oprawione roczniki z lat 1921-1929 „Pieczać i riewolucija" (Prasa i Rewolucja), radzieckiego miesięcznika krytycznego, który ukazywał się w Moskwie w latach 1921–1930.

– Nie zaglądam do nich. Wiem, że są cenne, nie wyrzucam.

Czytała rekomendowane przez rodziców, a do dziś stojące na półkach „Kroniki wydarzeń bieżących", najważniejszy samizdatowy periodyk obrońców praw człowieka w ZSRR, informujący o aresztowaniach, procesach i warunkach w łagrach, z lat 1968–1983.

– Zajmowała się nim m.in. znana poetka, dziennikarka, dysydentka Natalia Gorbaniewska. Pismo gro-

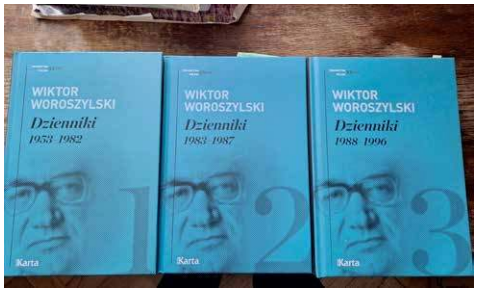














eprasa.pl c27f1fba1f

madziło wiadomości o tym, co się dzieje złego w Związku Radzieckim, o represjach.

Te i pozostałe periodyki zakazane pisarz pozyskiwał z zagranicy, nie z Rosji, o czym Natalia dowiadywała się, czytając np. wydane listy Woroszylskiego i Michaiła Hellera, które zebrał, przełożył i skomentował Jędrzej Piekara, młody badacz biografii i pisarstwa Michaiła Hellera. Ukazały się w tomie pt. „Korespondencja. Michaił Heller, Wiktor Woroszylski".

– Szczerze omawiają aktualną sytuację polityczną (sprawy sowieckie), kwestie związane z paryską „Kulturą" i tematykę literacką. W PRL-u przyjaciele bardzo sobie pomagali, bez przerwy coś dla siebie załatwiali, przesyłali.

Biblioteka Natalii

Podkreśla, że biblioteka ojca jest ważniejsza, ale zaglądamy do jej pokoju. Na studiach przeczytała większość klasyki rosyjskiej, dobrze wspomina lektury Gogola, wielkie wrażenie zrobił na niej Dostojewski. Może dlatego, że czytała go w wydaniach z końca XIX wieku, które stoją na półce. Jeszcze z czasów dzieciństwa pochodzi ukochanie Charmsa.

– Jest taka sztuka Charmsa „Elżbieta Bam", też tłumaczona przez ojca (wspólnie z Ziemowitem Fedeckim), o relacji władza-jednostka, nawiązująca do motywu absurdalnego aresztowania, znanego z powieści Franza Kafki „Proces". Pełna ironii, groteskowa.

Promotorem Natalii na studiach był René Śliwowski, polski historyk literatury rosyjskiej, tłumacz i krytyk, zafascynowany Płatonowem, autorem zmagającym się z sowiecką cenzurą. Rekomendacje Śliwowskiego przekładały się na lektury studentki. Czytała wszystko, co tłumaczył promotor, a wraz z żoną Wiktorią przetłumaczył większość utworów Andrieja Płatonowa.

– Na rusycystyce dużo czytałam po rosyjsku i po polsku, m.in. Walentina Rasputina i Jurija Trifonowa. Czytałam też i pisałam pracę magisterską o Wasiliju Szukszynie.

Kupowała książki, czasami nawet dublując pozycje zebrane przez ojca. Kiedy wyprowadziła się od rodziców, większość jej biblioteki została. Dziś swoje książki ustawia na ikeowskich półkach. Zachowała część podręczników studenckich, wiele słowników, niektóre z ojcowskich zbiorów, np. stary rosyjsko-białoruski, który niedawno jej się przydał. Na samym dole w jednolitej szarej okładce stoją roczniki „Nowej Polszy", pisma, które powstało z inicjatywy Giedroycia, a założył je i redagował Jerzy Pomianowski. Miesięcznik wydawany był od 1999 roku w Warszawie, po rosyjsku, z myślą o inteligencji rosyjskiej, jego misją było przeciwdziałanie wzajemnym uprzedzeniom, nieufności i myśleniu stereotypami. Natalia posiada wszystkie egzemplarze.

– To było fantastyczne pismo, rozsyłane po bibliotekach slawistycznych i rusycystycznych na całym świecie. Do śmierci Pomianowskiego, a nawet kilka lat później, istniało w postaci książkowej. Ceniłam miesięcznik za bardzo wysoki poziom.

Natalia wyjmuje pierwszy z brzegu numer. Wybitny pisarz, eseista i poeta, zastępca redaktora naczelnego Piotr Mitzner gwarantuje jakość. W spisie treści fragmenty pamiętników Barbary Toruńczyk, rozmowa z profesorem Adamem Danielem Rotfeldem, wiersze Rafała Wojaczka, felieton Leszka Szarugi o polskiej literaturze współczesnej, fragmenty powieści Krzysztofa Vargi „Gulasz z turula", teksty Jerzego Giedroycia, historyka Leszka Olejnika, stała rubryka Wiktora Kulerskiego pt. „Kronika (niektórych) wydarzeń bieżących", kronika kulturalna redagowana przez Elżbietę Sawicką.

– Od kroniki zawsze zaczynałam lekturę, dowiadywałam się, co w kulturze, prasie kulturalnej, co w życiu społeczno-politycznym. Porządkowała mój obraz świata.

Natalia Woroszylska współpracowała z pismem. Odpowiadała m.in. za stronę internetową, zajmowała się redagowaniem tekstów, czasami tłumaczyła.

– W 2019 pismo zostało przejęte przez Centrum Polsko-Rosyjskiego Dialogu i Porozumienia, zmieniło koncepcję, rozstało się z całym zespołem, zachowując tytuł. Ma postać strony internetowej. Profesor Pomianowski pytany o losy „Nowej Polszy", odpowiadał, że po jego śmierci zapewne nastąpi wrogie przejęcie.

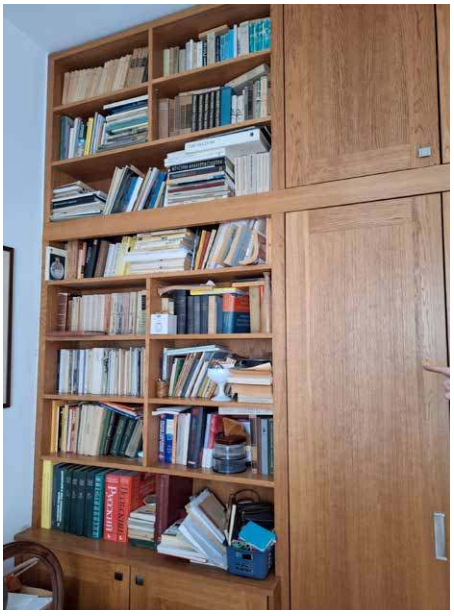
Kolejne regały zapełnione są książkami, pamiątkami, zdjęciami, ułożonymi przypadkowo, pomieszanymi z książkami ojca. Czytani przez Natalię pisarze w wersji rosyjskiej i polskiej: Jurij Trifonow, Wasilij Szukszyn, Walentin Rasputin.



– Trifonow pisał głównie o inteligencji rosyjskiej i jej zderzeniu z totalitaryzmem, Szukszyn jest bardziej znany jako człowiek kina, a w prozie sięgał do swoich chłopskich korzeni, podobnie jak Rasputin. Autorzy radzieccy byli kiedyś bardziej znani w Polsce, dziś są całkowicie zapomniani. W sypialni trzymam książki, które lu- ▸

eprasa.pl c27f1fba1f





bię, i pisarzy, którzy byli dla mnie kiedyś ważni. Dlatego przeniosłam z półek ojca całego Iskandera. Tu stoi „Wierny Rusłan" Gieorgija Władimowa, wspaniała książka, można ją porównać do najwybitniejszych dzieł literatury łagrowej, np. Sołżenicyna. Piękna, smutna i prawdziwa. Autor to dysydent, prześladowany za działalność opozycyjną, emigrował do RFN. Książka po wydaniu w 1975 roku była rozpowszechniana w ZSRR w drugim obiegu i jest nieustannie wznawiana na całym świecie.

Inne półki wypełnione są pozycjami z Ośrodka Karta. Fundacja Ośrodka Karta wydała „Dzienniki. Tomy I-III" Wiktora Woroszylskiego w latach 2017–2019. Od tego czasu datuje się przyjaźń z wydawnictwem i Natalia Woroszylska dostaje tytuły przez nich wydawane. „Dzienniki" Wiktora Woroszylskiego znajdują się w głównej bibliotece.

Widać też sporo kryminałów Borysa Akunina, które Natalia kupowała z wielką namiętnością. Wszystkie w języku rosyjskim, przywiezione z Moskwy. Akcja większości z nich rozgrywa się w realiach carskiej Rosji, a sam autor od 2014 roku, po aneksji Krymu, wyemigrował z Rosji.

– Są świetnie napisane. Bardzo lubię jego głównego bohatera, detektywa Erasta Fandorina. Przeczytałam większość, ale nie powracam do lektury.

„Przywłaszczyła" sobie ojcowski egzemplarz wydania zagranicznego „Sandro z Czegemu", Iskandera, bo ma do tej sowizdrzalskiej opowieści o kaukaskim wujku duży sentyment. W losach Sandro Iskander ukazuje dramatyczne dzieje Abchazji, a część tej powieści pt. „Uczty Baltazara" była przez wiele lat dostępna tylko w wydaniach zagranicznych. „Uczty Baltazara" to jedna z przygód Sandro z Czegemu: bohater dołącza do zespołu pieśni i tańca i występuje przed pijanym, a odpoczywającym na Kaukazie Józefem Stalinem, który dla rozrywki poniża osoby ze swojego otoczenia. Iskander stworzył w tej książce jeden z najbardziej wyrazistych portretów dyktatora w literaturze rosyjskiej.

– Autor cudnie opisuje gruziński taniec, obyczaje kaukaskich górali. Pełne wydanie ukazało się w 1979 w USA.

Osobna półka poświęcona jest Natalii Gorbaniewskiej, przyjaciółce rodziny, która zatrzymywała się u Natalii. Stoją tomiki jej poezji, wśród nich piękne, dwujęzyczne wydania wierszy wybranych 1957–2007, opublikowane przez Wydawnictwo UMCS z okazji przyznania jej tytułu doktora honoris causa. Kolejne książki to tzw. biblioteka bardowska: Okudżawa, Wysocki, antologie, książki o nich, po polsku i po rosyjsku. Piękne wydanie „Autorskiej pieśni", albumu o piosence autorskiej, która była w ZSRR popularna, jako alternatywa dla oficjalnej kultury. Obok Bułata Okudżawy – Aleksander Galicz, Aleksander Wertyński, Aleksander Gorodnicki. To poeci, zwykle wykonawcy własnych pieśni i ballad.

Natalia muzyką interesowała się od dawna, swego czasu „Echo Moskwy", jedna z pierwszych niezależnych działających w Moskwie stacji radiowych, zaproponowała jej tworzenie audycji o polskiej piosence. Zaczęła od piosenek Kaczmarskiego. Przez kilka miesięcy opowiadała o polskich bardach i ich piosenkach.

Za półką bardowską stoją egzemplarze dzieł ojca, które nie zmieściły się na regałach, m.in. wspomnienia „Powrót do kraju", tom wierszy „Z podróży, ze snu, z umierania" oraz felietony z „Więzi" – „Na kurczącym się skrawku i inne zapiski z kwartalnym opóźnieniem". Obok „W dżungli wolności" i „Pozwólcie nam się cieszyć" – kolejne dwa zbiory felietonów i innych zapisków przygotowane jeszcze przez samego autora, ale ukazały się już po śmierci Wiktora Woroszylskiego.

– Teoretycznie znam wszystkie pisma ojca. Od czasu do czasu coś czytam. Wychowałam się na jego książkach dla dzieci, które bardzo ▸

eprasa.pl c27f1fba1f

lubię. Z wierszyków wyrosłam, ale jego powieści młodzieżowe można czytać w dorosłości i znajdować coś dla siebie. Kiedy szykowało się nowe wydanie książki „Cyryl, gdzie jesteś", z przyjemnością czytałam i odkrywałam rzeczy, o których zapomniałam albo wcześniej nie zwróciłam na nie uwagi. To samo dotyczy książki, którą bardzo lubię, a która jest mniej znana z tzw. młodzieżowych: „Podmuch malowanego wiatru". To historia podróży trójki młodych ludzi przez krainy, w których zdarzają im się rozmaite przygody, np. trafiają do kraju zarządzanego w sposób niedemokratyczny, gdzie namawiani są różnymi metodami do donosicielstwa, albo do krainy, w której bohaterowie noszą telefony w kieszeni. Bardzo wówczas śmiała wizja. Świetna książka. Miała później tylko jedno wydanie, ale kiepskie edytorsko i przeszła niezauważona.

Kolejne książki Wiktora Woroszylskiego: egzemplarze książek dla dzieci, wykłady o literaturze rosyjskiej (Uniwersytet Latający, 1978–1979) przygotowane przez Piotra Mitznera, numer miesięcznika „Twórczość", w którym jest esej Wiktora Woroszylskiego „O demonicznej wizji rzeczywistości i Bułhakowie". Dalej: „Kto zabił Puszkina", „Życie Majakowskiego", „Życie Sergiusza Jesienina". Każda napisana inną techniką. Książka o Majakowskim jest złożona z dokumentów, montowana jak film dokumentalny, co miało na celu przechytrzenie cenzury. Książki stoją na najwyższych półkach, sąsiadując z czytanymi kiedyś przez Natalię powieściami science fiction Arkadija i Borysa Strugackich. Kolejne, niższe boksy to bieżące lektury, Natalia czyta zwykle kilka pozycji naraz.

– Świeżo przeczytałam „Wczoraj byłaś zła na zielono". Jestem pod wielkim wrażeniem, świetnie napisana, ważna. W ramach odreagowania przeczytałam kryminał, właśnie skończyłam „Drugie życie Czarnego Kota" o wędrowaniu po Warszawie i spotkaniach z rozmaitymi rzeczami, organizmami, roślinami, ptaszkami. Jestem wielbicielką książek Stanisława Łubieńskiego, jego perspektywa patrzenia na świat uzmysławia, jak przelotnymi jesteśmy przechodniami na Ziemi. Teraz czytam wydaną pośmiertnie książkę Marcina Wichy „Proste rzeczy".

Nie skreśliła kultury i literatury rosyjskiej, ale nie ma teraz do niej serca. Chce lepiej poznać literaturę ukraińską. Jeszcze przed wojną przeczytała „Dom dla Doma" Wiktorii Ameliny.

– Autorka została zabita w czasie wojny. To wielka strata, bo książka jest wspaniała i godna polecenia. Czytałam Serhija Żadana „Internat", to historia, która przypomina mi medytacyjno-symboliczny film „Stalker" Tarkowskiego, w którym bohaterowie idą przez tajemniczą, zakazaną strefę, tu podróż odbywa się przez wojenną przestrzeń. Czytałam „W mieście wojna", złożoną z wpisów w mediach społecznościowych, bardzo poruszające. Była w tym energia i nadzieja, bo prawie każda notatka kończy się stwierdzeniem, że jesteśmy o jeden dzień bliżej do zwycięstwa.

Rozmyślania biblioteczne

Biblioteka ojca nie jest opisana i Natalii Woroszylskiej brakuje pomysłu na jej przyszłość. Jej rozmyślania nie są łatwe, raczej pesymistyczne.

– Chciałam zatrudnić studentów, ale katalogowanie tak wielkiego księgozbioru to praca ogromna. Nie znalazłam nikogo kompetentnego. Sama zaczęłam spisywać w Wordzie, tylko że w międzyczasie nastąpiły zmiany i zawiesiłam prace.

Posiada pieczątkę, gotową do stemplowania: „Dar z biblioteki Janiny i Wiktora Woroszylskich".

– Czy oddaję jedną książkę, czy 10 – wstawiam pieczątkę, chcę, żeby został ślad. Może ktoś pomyśli i zaciekawi się, kto był właścicielem książek?

Cześć archiwum przekazała już do Biblioteki Narodowej. Cześć ciągle jest w domu.

Choć jest na emeryturze – ciągle jeszcze jest czynna zawodowo, współpracuje z radiem.

– Czasami ktoś się do mnie zgłasza po wiersze ojca. Muszę wtedy przekopać się przez archiwa, znaleźć, sprawdzić, żeby wiedzieć, na co się zgadzam.

Jest dużo książek w bibliotece ojca, których nie czytała, myśli, że i on sam wszystkich nie przeczytał. Przy tak wielkim księgozbiorze to standard. I nie powód, żeby od czasu do czasu nie kupić nowej ciekawej książki. ■



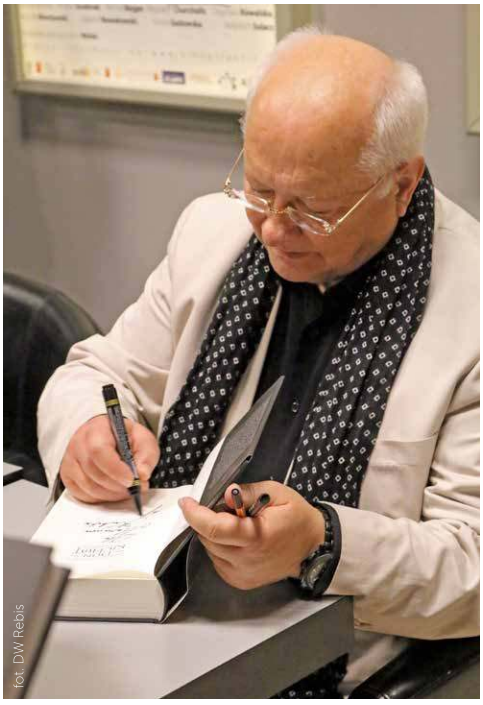
eprasa.pl c27f1fba1f

ZANURZ SIĘ W OPOWIEŚCIACH PEŁNYCH EMOCJI



swiatksiazki.pl KSIĘGARNIE Świat Książki KSIAZKI.PL

eprasa.pl c27f1fba1f


fot. DW Rebis

Jeśli mam coś światu do opowiedzenia, muszę to robić swoim językiem

Rozmowa
z WOJCIECHEM SIUDMAKIEM

Wiele osób z mojego pokolenia po raz pierwszy zetknęło się z pana twórczością za sprawą okładek książek z cyklu „Kroniki Diuny" oraz zbiorów opowiadań Franka Herberta i Philipa K. Dicka…
A ile ma pan lat?

33.
Czyli wszystko przed panem. Moja przygoda zaczęła się po pięćdziesiątce. Wtedy zrozumiałem, czym jest prawdziwa dojrzałość, choć niektórym może się wydawać, że to za późno. Nie mają racji. A gdy byłem w pana wieku, uśmiechnął się do mnie los. W 1975 roku zrobiłem pierwszy z trzech obrazów, które posłużyły jako oficjalne plakaty kolejnych festiwali w Cannes. Nawet sobie wtedy nie zdawałem sprawy, jaki to przełomowy moment. Niejako zmieniłem bieg rzeczy, który kierował dotychczas moim życiem. Te moje obrazy „wytrąciły" poprzednią modę na plakaty. Zresztą plakat jako taki we Francji w zasadzie nie istniał. W tamtym roku cała słynna Promenade de la Croisette została obwieszona surrealistycznymi obrazami. To poszło na cały świat i nagle okazało się, że kogo nie spotkałem, ten miał u siebie mój obraz w formie plakatu. Tam też poznałem Felliniego, choć nie rozumiałem jeszcze w pełni wagi tych wydarzeń.

Zrozumienie pewnych rzeczy nadchodzi z czasem. Dziś niejeden z nas chciałby móc powiedzieć, że spotkał Federica Felliniego…
Potem napisał na mój temat, że trafił mi się talent „niemalże niewiarygodny, zdolniejszy i bardziej nieskończony niż ten, który tworzy, wyraża i prowadzi nasze najbogatsze marzenia". To może brzmi jak szaleństwo, ale nim nie jest. On był Włochem, tak samo jak Leonardo da Vinci, Michał Anioł, a oni jako pierwsi poruszyli temat „palca Bożego". Był w nich duch artysty, który jest czymś więcej niż tylko rzemieślnikiem. Da Vinci pokazał, że niektórych rzeczy nie da się zrobić po prostu rzemieślniczo. Sam studiował pod okiem rzeźbiarza i malarza Andrei del Verrocchio – typowo renesansowego artysty, który wszystko umiał. Leonardo działał jako jego pomocnik od malowania głów, inni byli od pejzaży czy innych elementów. Wszystko po to, by pracować szybciej. Dzisiaj nam tego brakuje. Chciałbym, aby obraz „Ostatnia wieczerza" pomógł mi namalować w dużym formacie. Bo ja sam będę go malował pół roku, a przy pomocy asystentów zajęłoby to dwa miesiące. Ale dziś już taka opcja nie wchodzi w grę.

Taki podział obowiązków byłby w ogóle możliwy we współczesnym świecie wypełnionym przez indywidualizm? I główny artysta, i jego pomocnicy musieliby umieć się pogodzić ze świadomością, że to nie jest do końca „ich" dzieło.
Przez całą historię sztuki artysta miał asystentów. Nie umniejszało to w ogóle jego talentowi, bo mógł dzięki temu zrobić więcej. Słusznie pan zauważył, że dziś jest to niemożliwe przez skupienie na indywidualizmie. Do czego to prowadzi? Moim zdaniem do powolnego zasuszania inwencji artystycznej. Bo co jeden człowiek jest w stanie zrobić? Wszystkie klasyczne rzeźby powstały przy pomocy asystentów. Da Vinci, Michał Anioł, Bernini – wszyscy robili swoje dzieła z pomocą asystentów i pantografu. Właściwy artysta tylko wykańczał dzieło, ale ▸

eprasa.pl c27f1fba1f

dlaczego w zasadzie miałby walić młotkiem w ten marmur? To mógł zrobić rzemieślnik, który odmierzał pantografem gotowy projekt. Ten indywidualizm prowadzi do takich idiotyzmów, jakie obserwowałem w akademii. Pamiętam dziewczynę, która od pierwszego do ostatniego roku rzeźbiła pracę dyplomową, waliła w granit i czego się nauczyła? Co chciała przekazać? Wszystko to kończy się artystyczną nędzą.

Moglibyśmy jeszcze długo rozmawiać na ten temat, ale pozwoli pan jednak, że wrócę do swojego pierwotnego pytania. Jak pan reaguje na fakt, że dla wielu osób pierwszy kontakt z pańską twórczością prowadzi przez książki?
Widzę to jako swój przywilej i obowiązek zarazem. Wytłumaczę to słowami Antoine'a de Saint-Exupéry'ego, który powiedział, że jesteś odpowiedzialny za tego, kogo oswoiłeś.

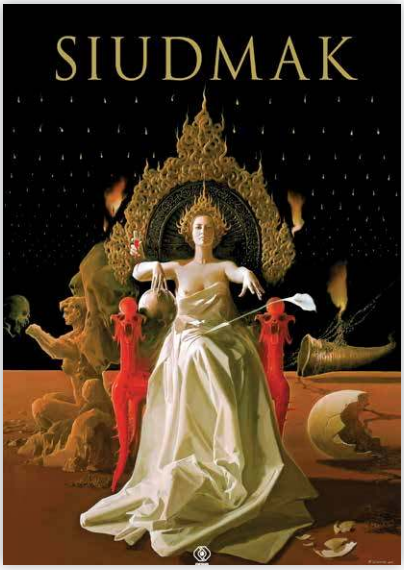
A jak w ogóle doszło w pana przypadku do skrętu w tym kierunku?
Początkowo chodziłem ze swoimi obrazami po galeriach, ale one tam we Francji nikogo nie interesowały. Paryż był wtedy w niesamowitym ruchu. Kończyła się abstrakcja, zaczynał się nowy realizm, a potem hiperrealizm. Czuć było ten artystyczny ferment. Musiałem znaleźć na siebie pomysł. Przyjechałem tu bez żadnego profilu artystycznego. Gdybym został w Polsce, dostałbym ocenę, zapisałbym się do Związku Polskich Artystów Plastyków, wystawiałbym swoje rzeczy – i co dalej? Nikt by nie podważał przyjętego przeze mnie kierunku, bo grupa była zawsze za tym, żeby nie podważać. W poszukiwaniu własnego miejsca wróciłem do normalnego rysowania. Poświęciłem na to 10 lat. Co ważne, „normalnego", ale jeszcze nieudolnego. Zacząłem robić małe rysunki satyryczne do przepisów kuchennych. Wbrew pozorom to było cenne, bo musiałem rysować ze słownikiem pod pachą, co pomogło mi w nauce języka. Potem tworzyłem ilustracje do bardziej poważnych pism i powolutku nawiązałem kontakty w kręgu francuskich intelektualistów zainteresowanych fantastyką, filozofią i science fiction.

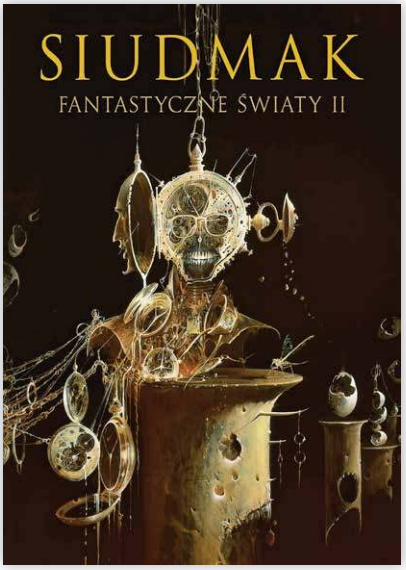
Wspomniał pan o ilustracjach, ale z naszej pierwszej rozmowy telefonicznej wiem, że nie jest pan fanem tego określenia.
Tak, zwykle mówię o rysunkach, bo od początku czułem wstręt do ilustrowania książek. Trzeba uszanować tekst, który przeważnie jest misternie zrobiony. Ja mam dopowiadać za autora? Dajmy czytelnikowi odkrywać samemu te fantastyczne światy.

Co w takim razie było dalej?
Zacząłem współpracować z wydawnictwami. Początkowo z małymi, ale bardzo prestiżowymi, które przedrukowywały Philipa K. Dicka, Franka Herberta, Roberta A. Heinleina i tak dalej. Z czasem zaczęli do nich dochodzić coraz więksi wydawcy. Stopniowo poszerzałem też grono znajomych, wśród których najbardziej reaktywni byli ci związani z komiksem.

Lubimy sobie wyobrażać, że inspiracja przychodzi na człowieka niczym grom z jasnego nieba. Czy pan na tej drodze do swojej właściwej twórczości miał taki moment, w którym mógłby wykrzyknąć: „Eureka!"? A może to był raczej powolny, rozłożony na lata proces?
Jestem w stanie wskazać taki jeden przełomowy moment, ale bardziej kronikarski niż artystyczny. Punktem zwrotnym okazał się ten obraz, który zrobiłem jako plakat do festiwalu w Cannes. Te moje powolne poszukiwania nie przeszły niezauważone. Po drodze były jeszcze rysunki do piosenek Juliena Clerca, które robiłem dla młodzieżowego „Hit Magazine". Dostałem wtedy dużą wolność twórczą i to były moje pierwsze surrealistyczne, kolorowe prace. Środowisko dostrzegło, że moja artystyczna osobowość się krystalizuje, dlatego dostałem taką propozycję. Ale prawdziwe uznanie pojawiło się dopiero za sprawą festiwalu. W pewnym momencie Ada i Yves Remy umieścili mnie nawet jako bohatera książkowego, który nazywał się Cygne Siudmak, co oznacza po francusku „łabędź".

Na tym etapie miał pan po raz pierwszy styczność z amerykańskimi gigantami literatury science fiction, takimi jak wspomniani Philip K. Dick czy Frank Herbert. Czy to lektura tych dzieł napędzała pana artystyczną ścieżkę w kierunku realizmu fantastycznego, czy też było odwrotnie?
Było odwrotnie, bo nasza grupa, do której należał m.in. Jean-Pierre





eprasa.pl c27f1fba1f

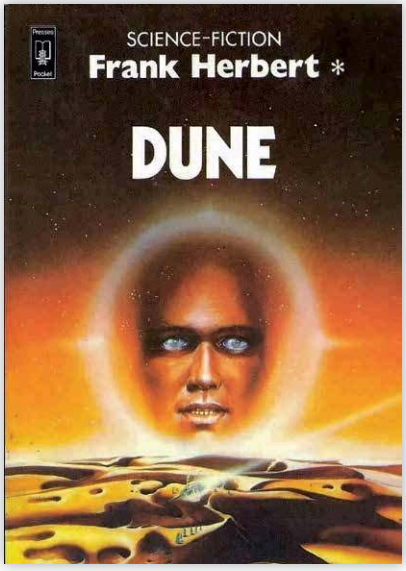
Luminet, poszła własną drogą. Francja zawsze była odrębna od USA, zwrócona w stronę człowieka i mniej techniczna niż Stany. Dlatego wyrobiła sobie swój własny profil science fiction. My to stworzyliśmy, a nurt z czasem rozprzestrzenił się na Włochy, Niemcy, Hiszpanię i Polskę. Uważam, że to nasza zasługa. Wcześniej mi się to wydawało nieważne, ale nie miałem racji. Myśmy się oderwali od Amerykanów i nadali gatunkowi nowe kolory, choć oczywiście Francja jest małym krajem i nie była w stanie narzucić tego samego tempa wydawniczego. Niech pan natomiast nie myśli, że to ograniczało się tylko do Europy. Przez związki z językiem francuskim nasz styl przeniknął do Kanady i innych francuskojęzycznych krajów. Tak po raz pierwszy na moje dzieło natrafił Denis Villeneuve. Mając 13 lat, kupił książkę z moją okładką, to była „Diuna". Jak sam twierdzi, wtedy zaczął marzyć o nakręceniu filmu na podstawie tej powieści. Można powiedzieć, że był naszym wychowankiem.

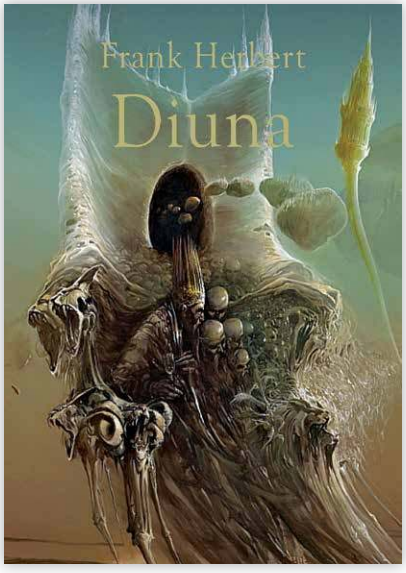
Dostrzegł pan swoje obrazy w „Diunie" Villeneuve'a?

Denis Villeneuve to intelektualista, inaczej niż George Lucas. On nie kopiuje. To tak jak ja, gdy chodzę do galerii sztuki i podziwiam cudze dzieła, to się nimi nasycam, ale nie po to, żeby po kimś powtarzać. Jeżeli człowiek ma jakąś osobowość, to z takich bodźców rodzi się coś nowego, co wzbogaciliśmy o własne emocje czy doświadczenia. Tak właśnie jest z Villeneuve'em. A dlaczego ja mówię to z taką satysfakcją? Bo w przeciwieństwie do różnych kreatorów mody, jak Yves Saint Laurent, którzy nigdy nie przyznali się do inspiracji nami, on miał odwagę to zrobić.

W jakich okolicznościach miał pan okazję poznać osobiście reżysera nowej wersji „Diuny"?

Zostałem zaproszony na premierę pierwszej części „Diuny" do takiego niezwykłego francuskiego kina, które nazywa się Le Grand Lex. Przez lata przetoczyli się przez to miejsce wszyscy wielcy aktorzy i reżyserzy. Przed pokazem Villeneuve pojawił się na scenie razem ze świtą aktorów. Wszyscy powiedzieli kilka słów, a Denis w pewnym momencie wyznał: „Jestem tutaj dziś, bo kiedy miałem 13 lat, zobaczyłem okładkę książki w księgarni w Trois-Rivières w Quebecu. Nie chcę opowiadać o wszystkim, co mnie pociągało w samej książce i w tym rysunku, bo byłem 13-latkiem. Autorem obrazu na okładce jest artysta Wojciech Siudmak i czuję głębokie poruszenie, mogąc powiedzieć państwu, że jest tu dzisiaj z nami". Wtedy ludzie zaczęli bić brawo. Poczułem, że mnie nie zapomnieli, może nawet ich w jakiś sposób wychowałem. Pomyślałem wtedy: „Nie straciłem mojego czasu", a przecież przez 20 lat pracowałem, robiąc obrazy, które trafiały na okładki książek.





Co pana zdaniem jest największą różnicą między rysunkiem towarzyszącym dziełu a ilustracją?

Rysunek jest dialogiem z treścią, a czasem również z tematem dzieła. Tak widzę tę różnicę. Nie ilustrowałem książek Herberta czy Dicka, to był nasz układ z dyrektorem literackim wydawnictwa, który był wielkim erudytą i niezwykle inteligentnym człowiekiem. Gdybym na nieszczęście zrobił jakąś ilustrację, to bym czytelników zakleszczył w czymś, czego oni nie chcieli. Każdy z nas coś sobie przecież wyobraża w trakcie czytania. Jak byłem dzieciakiem, to podarowano mi książkę o Herkulesie. Ilustrator tej książki był fatalny, przedstawił go jako umięśnionego gościa. Już wtedy myślałem: „On nie mógł tak wyglądać, był przecież herosem". Szybko znienawidziłem ilustracje, bo ich autorzy nie mają prawa ustawiać sufitu naszych wyobrażeń. To należy tylko do nas. Zresztą wystarczy pomyśleć, ile wysiłku wkładał taki Herbert w opisanie sceny w wybrany sposób. A tu jakiś nędzny ilustrator nagle zacznie nadawać temu formę i wszystko psuje.

Jak wygląda proces doboru takiego, a nie innego obrazu na okładki wydawane przez Dom Wydawniczy Rebis? Wydawnictwo prowadzi z panem dialog, konsultuje ten wybór? Muszę przyznać, że niektóre z wyborów stały się dla mnie absolutnie ikoniczne, inne zaś nigdy mi nie pasowały.

Cały proces zaczyna się od książki. Rebis mówi mi, o jaki tytuł chodzi i jakiej okładki potrzebują. Ja czasem odpowiadam, że widziałbym inną i wtedy zaczynamy to ustalać. Po drodze pojawia się jeszcze pan Sławomir Folkman, który jest grafikiem i specjalistą w temacie. Na koniec Rebis musi wybraną okładkę wysłać do akceptacji do Stanów Zjednoczonych, ale zwykle ten etap

eprasa.pl c27f1fba1f

przebiega bez problemów. A proszę powiedzieć, było kiedyś tak, że okładka „przetrąciła" panu książkę?

Aż tak nigdy nie było. Po prostu niektóre z obrazów wybranych na okładkę wydają mi się dzisiaj nierozerwalnie związane z daną książką, nadają jej nowy wymiar. Ale są też takie wybory, które były dla mnie bardzo zaskakujące.
Mało mam zarzutów do wydawnictwa, ale nawet wtedy decyzje uważam za coś całkowicie normalnego. Gdy wybieramy obraz do książki Philipa K. Dicka lub robię do niej rysunki, nie czytam jej dokładnie, bo boję się, że wtedy zacznę ilustrować. Tylko ją przeglądam, żeby uchwycić strukturę. Jak pan na pewno wie, sam tytuł u Dicka prawie opowiada książkę (śmiech). Mnie chodzi o to, żebyśmy wraz z autorem stanęli obok siebie. Tu jest pisarz, tu jestem ja, a między nami jest temat, nad którym pracujemy. On rozwiązuje pewne rzeczy inaczej, a ja inaczej. Czasem może to komuś nie pasować, zaś czasem pasuje idealnie. Rozmyślania Dicka są mi bardzo bliskie, więc nawet jeżeli obraz nie pasuje, to zawsze w jakiejś części oba dzieła będą ze sobą związane. Jestem przekonany, że Dick mówi dokładnie to samo, co sam chcę przekazać, lecz robi to innym, literackim językiem.

Czyli Philip K. Dick jest panu bliższy niż Frank Herbert?
Na pewno obcowanie z jego twórczością było dla mnie większym ciosem moralnym niż lektura książek Herberta. One są wzniosłe niczym opera, ale nie wywołują we mnie takich emocji.

A czy w pana oczach już istniejący obraz pańskiego autorstwa kiedykolwiek zyskał nowe znaczenie właśnie przez połączenie z dziełem literackim?
W moich obrazach zawsze jest bardzo konkretny przekaz. Dlatego myślę, że to nie ma wpływu. Mamy tu do czynienia po prostu z dwiema równoległymi drogami. I całe szczęście. To pan lub dowolny inny odbiorca stanowi pomost między nimi. Pan decyduje, czy przejdzie przez niego powoli, czy też szybko. Zresztą nie ma rzeczy idealnych.

Nie powiedziałbym zresztą, że teksty Dicka dążą do ideału. To zupełnie nie tego typu literatura.
Kiedy dostałem zlecenie od prestiżowego francuskiego wydawnictwa na zrobienie rysunków do dzieł Dicka, nie umiałem jeszcze dobrze mówić po francusku. Czytałem książkę ze słownikiem i encyklopedią, więc jej treść utkwiła mi na zawsze w pamięci. Miałem wrażenie, że tamten tekst był jak lejący się camembert. Wszystko było takie żywe, dziwaczne. Ta pierwsza książka to było dla mnie cholerne przeżycie. Z tego, co pamiętam, to było tuż przed festiwalem w Cannes i to ona mnie utwierdziła w przekonaniu, że to dla mnie właściwa droga.

Wspomniał pan już wcześniej o tym, że jako grupa szukaliście humanizmu w science fiction. Podobne wrażenie mam często w trakcie oglądania pana obrazów. Pomimo całej misterii, jaka się w nich kryje, to nigdy nie są wyłącznie technicznie doskonałe obrazy z klasycznie oddaną anatomią. Ta filozofia dziś nadal panu przyświeca?
Myśli pan pewnie o Michale Aniele i dekoracji Kaplicy Sykstyńskiej jego autorstwa, gdzie przedstawione zostają grupa z Adamem i grupa z Bogiem, a ta druga jest idealnym przekrojem mózgu. On to zrobił w sposób dokładny. Pytanie, gdzie kryje się Bóg, gdzie jest dusza, bardzo go trapiło. Szukał tego, robił sekcje zwłok, a ten fakt pozostaje dziś w dużej mierze nieznany. Amerykanie się tym wszystkim tak bardzo nie trapią. Może są bardziej powierzchowni, a może po prostu idą szybciej? Tylko że to nic nie znaczy, lepiej iść powoli, ale do celu.

Publikowane przez Dom Wydawniczy Rebis albumy z pana obrazami noszą tytuł „Fantastyczne światy".
Te niezwykłe, czasem jakby znajome, innym razem wyraźnie wyobcowane światy prowadzą wielu odbiorców pana twórczości do porównań z dziełami Zdzisława Beksińskiego. Jestem ciekaw, jak pan reaguje na podobne głosy?
Ja szanuję oczywiście to, co robił Beksiński, ale to nie jest mój temat. Nawet nie mogę na jego obrazy specjalnie patrzeć.

Dlaczego?
Mówiąc w cudzysłowie, to jest trochę pójście na łatwiznę. Powiem tak: jak tu się nie przerazić na autostradzie, gdy mijamy rozwalony samochód, martwych ludzi na ziemi, a wokół widać plamy krwi albo dziecięcy but leży na środku jezdni? Nie mogę na takie rzeczy patrzeć, ponieważ urodziłem się w Wieluniu i byłem świadkiem tego, co pozostawiła tam po sobie wojna. To, co widziałem, to, jak można zniszczyć człowieka, zrobiło na mnie ohydne wrażenie. Być może Beksiński nie miał takich doświadczeń, nie mam pojęcia. Dotknęło go, zainspirowało coś innego, jakaś choroba, powolne umieranie. To jego świat i jeśli ludzie się tym zachwycają, mają do tego prawo. Ja tego nie potrzebuję, wręcz to odrzucam.

Zechce pan opowiedzieć więcej o tych doświadczeniach z Wielunia?
Pamiętam, jakie obrazki oglądałem, gdy jako dziecko szedłem do szkoły. Mijałem śmierdzące baraki poniemieckie, tam mieszkali ludzie, którzy zatruwali się przez lata. Widziałem ludzi okaleczonych, kuśtykających po ulicy, a także inwalidę bez nóg jadącego w skrzynce, którą popychał z pomocą klocków. Pamiętam ludzi chorych, mających zepsute zęby, ładne dziewczyny z koślawymi nogami, ludzi psychicznie chorych wałęsających się po ulicach... Uciekałem od tego, ale te widoki bardzo wryły mi się w pamięć. Szukałem jakiegokolwiek piękna na ulicach, patrzyłem przez zardzewiały druciany płot i podziwiałem lwie paszcze.

eprasa.pl c27f1fba1f

Bo to było coś innego, coś pięknego. Chodziłem nad staw, bo tam rosły bazie i latały ważki – to mnie fascynowało, gdyż było inne od mojej codzienności. Można oczywiście lubować się w tej ohydzie, byli tacy artyści jak Bronisław Linke, którzy malowali jakąś ciemną piwnicę z powrozem. Ja i ludzie z mojego pokolenia szukaliśmy piękna, żeby się nie przyznać do otaczającej nas klęski. A później ówcześni krytycy, zakochani w abstrakcjonizmie, pisali, że to wszystko jest za ładne, bo tak ich nauczył Picasso.

Nie brzmi, jakby był pan wielkim fanem Pabla Picassa…

Autentycznie go nie znoszę i już wyjaśniam, z jakiego powodu. Nie uważam, żeby szkoły plastyczne były ważne. One psują, mnie popsuły. Straciłem co najmniej 10 lat na te głupie, abstrakcyjne rysunki. To był istny obłęd. Wszyscy robili to samo i nie wiedzieli, czemu to robią. Picasso został nam zaszczepiony ze względów politycznych, bo był zwolennikiem komunizmu. Z Picassem wiąże mnie też jednak pewne bolesne doświadczenie.

To znaczy?

Opowiem panu, bo nie chcę, żeby ktoś uznał, że tak po prostu wymyślam na Picassa. Mój profesor z liceum w Warszawie, który był chyba najlepszym pedagogiem, jakiego spotkałem w życiu, dał nam na czas powrotu do domu zadanie, byśmy rysowali jak najwięcej. Potem mieliśmy te rysunki przywieźć z powrotem, żeby je razem omówić. Gdy wróciłem do domu, zobaczyłem tatę siedzącego przy stole z głową w dłoniach. Mama go pocieszała, ale razem płakali. Na początku nie chcieli powiedzieć, co się dzieje, ale w końcu tato wyznał, że był tego dnia u lekarza. Kardiolog powiedział mu, że ma straszne problemy z sercem i zostało mu już niewiele czasu. Spadło to na mnie niczym piorun z jasnego nieba. To był okropny cios, ale posłuchałem rady profesora, wziąłem kałamarz z tuszem i patyk, którym mieliśmy rysować. Wtedy był modny właśnie Picasso, więc zacząłem rysować jak on. Krzyczałem i rysowałem na papierze wszystkie te jego trójkąty i geometryzmy. Zrobiłem tego mnóstwo.

Co było po pańskim powrocie do Warszawy?

Mieliśmy taki zwyczaj, że na ścianie, gdzie odbywały się spotkania, rozwieszaliśmy nasze prace na płytach pilśniowych. Cała klasa siedziała na środku, a ja i profesor staliśmy w drzwiach. Inni uczniowie komentowali: „Ale dużo pracowałeś!", „Jaka ciekawa kreska", „Szkoda, że nie zrobiłeś kolorowych rzeczy" i tak dalej. Gratulowali mi, a ja słuchałem ich słów i nie wierzyłem, że nikt nie słyszy tego krzyku, który przelałem na papier. To był największy dramat mojej młodości, tato mógł umrzeć w ciągu kilku dni czy tygodni, a oni mi gadali o kompozycji. Wtedy coś się we mnie załamało i znienawidziłem Picassa, ale też zarazem zrozumiałem coś ważnego. Jego język był właśnie tym – jego językiem. A ja jestem Wojtek Siudmak i jeśli mam coś światu do opowiedzenia, muszę to robić swoim językiem. Wtedy odrzuciłem akademię i jej idiotyczne zajęcia, a nawet zacząłem zajmować się czymś zupełnie innym i ćwiczyłem podnoszenie ciężarów. Potem w Paryżu spadł na mnie kolejny cios, gdy nikt nie chciał oglądać moich wczesnych prac, ale o tym już opowiadałem. Dość powiedzieć, że nie przyjechałem odebrać dyplomu z akademii.

Nasza rozmowa, siłą rzeczy, zahaczała często o przeszłość, ale jestem ciekaw, co dzisiaj pana prowadzi i fascynuje w sztuce?

To jest może najciekawszy okres w moim życiu, ponieważ pozbyłem się kompleksów. Przez wiele lat tworzyłem projekty rzeźb, ale nie decydowałem się na ich pokazywanie szerokiej publiczności i moim fanom, skupiając się na obrazach i rysunkach. Teraz rzeźba jest dla mnie ogromną fascynacją, zresztą jak przez całe moje życie, ale wspólnie z moim marszandem Markiem Duchnowskim, właścicielem Galerii ToTuart, nareszcie pokazujemy światu tę część mojej twórczości. Ba, nie tylko realizuję rzeźby w formatach gabinetowych, ale tworzę wielkoformatowe obiekty, na przykład już w czerwcu tego roku powstanie czterometrowa rzeźba odlana z brązu pt. „Sensuel" i stanie ona na rynku w Zduńskiej Woli. Teraz zauważyłem, że mogę rzeźbić prawie jak Michał Anioł. Przy odpowiednim wysiłku, ćwicząc przez lata, naprawdę możemy robić rzeczy tak doskonałe jak Michał Anioł. A przecież mamy nad nim przewagę właśnie dzięki science fiction. W naszej sztuce możemy używać tych skrótów myślowych, tej wyobraźni, które były dla niego niedostępne. Miał przed sobą tajemnice anatomii, to go fascynowało, ale nasze czasy zapewniają jednak wyraźną przewagę. Dlatego myślę, że to niezwykle piękny okres w moim życiu. Realizuję się w tylu nowych obszarach, o których zawsze marzyłem. Nie istniały one wyłącznie w mojej głowie, w mojej wyobraźni, ale również w formie mniej lub bardziej zaawansowanych projektów. Tworzę między innymi biżuterię, design. Otwieramy Centrum Kultury i Sztuki Sci-Fi im. Wojciecha Siudmaka, miejsce to ma być przestrzenią łączącą sztukę z nauką i szeroko rozumianą kulturą.

Nic tylko korzystać z tej przewagi, którą daje nam science fiction.

Szkoda tylko, że jestem w takim, a nie innym wieku. Bo mam przed sobą tyle różnych projektów, które wciąż chciałbym zrealizować. Warsztat pojąłem późno, bo gdzieś koło 2000 roku, ale cała ta treść prześladuje mnie, odkąd przyjechałem do Paryża. Żeby móc zrealizować te rzeźby i obrazy, może też w dużym formacie – tak widzę swoją przyszłość.

ROZMAWIAŁ
TOMASZ GARDZIŃSKI

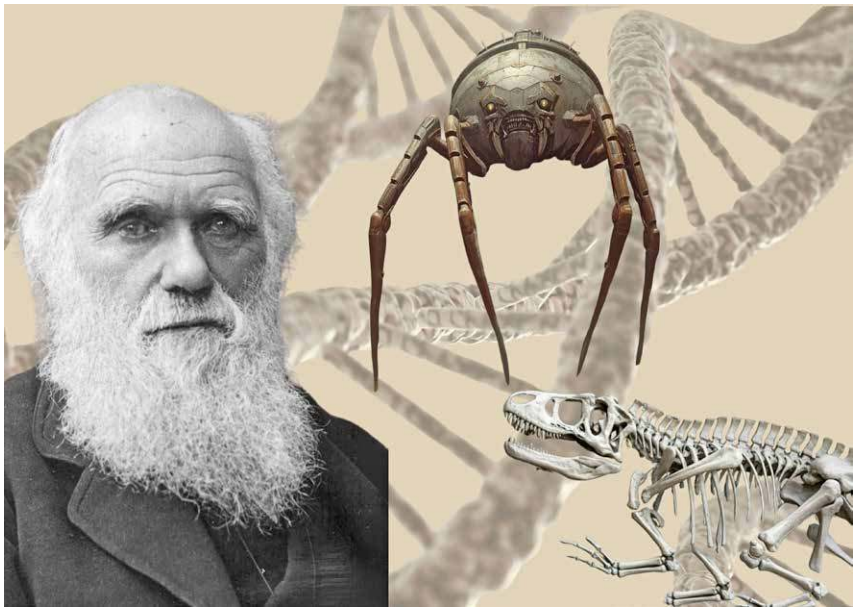
eprasa.pl c27f1fba1f

O wymyślaniu gatunków

Gdyby cofnąć się w czasie i zagadnąć jakiegoś religijnego angielskiego dżentelmena po 1859 roku o Karola Darwina i o jego „O powstawaniu gatunków", mężczyzna ten zapewne nie odpowiedziałby: „Co za wymysł! Czyste science fiction!". Głównie dlatego, że argumenty przeciwników Darwina opierały się przeważnie na kreacjonizmie, rzadziej zaś na realnych naukowych wątpliwościach. Opowieść o trwającej miliony lat ewolucji gatunków i zmianach następujących z pokolenia na pokolenie na skutek doboru naturalnego dla wielu osób żyjących w czasach brytyjskiego przyrodnika mogła jednak brzmieć nieprawdopodobnie. Dziś wiemy, że teoria ewolucji, w nieco zmodyfikowanej formie, stanowi podstawowy model wyjaśniający różnorodność organizmów oraz mechanizmy ich zmian od momentu pojawienia się życia na Ziemi.

Darwin nie opowiadał fikcji, ale twórcy science fiction (a nawet fantastyki) w zasadzie od początków istnienia gatunku w jego nowożytnej formie korzystali z osiągnięć Brytyjczyka, w mniej lub bardziej świadomy sposób. Czymże jest bowiem „Frankenstein, czyli współczesny Prometeusz", jeśli nie opowieścią o narodzinach życia? O czym jako pierwsze w historii opowiadają „Nieporównana przygoda niejakiego Hansa Pfaalla" oraz „Wojna światów", jeśli nie o zetknięciu się naszego gatunku z obcym, budzącym na równi ciekawość i przerażenie, życiem zrodzonym na innej planecie? Wreszcie jaki los czeka bohatera „Wehikułu czasu", jeśli nie konfrontacja z ponurym wyobrażeniem życia na Ziemi po zniknięciu z niej ludzi?

Wszystkie te historie mają swoje nierozerwalne powiązanie z teorią ewolucji, a ich autorzy często jako



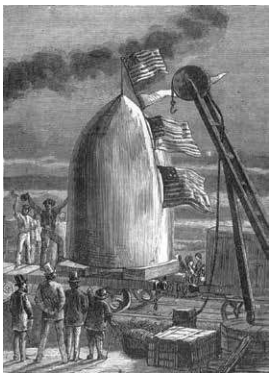
pierwsi zadawali sobie pytania, które z czasem stały się podstawą ewolucji spekulatywnej – cudownego i niepowtarzalnego mariażu wyobraźni i twardych podstaw naukowych.

Uwaga, Marsjanie atakują!

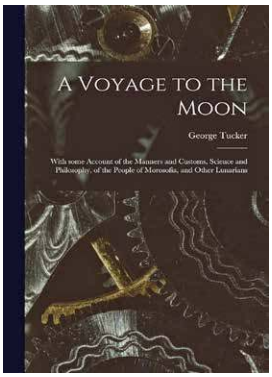
Jak czytamy w The Oxford English Dictionary, sam termin „science-fiction" (wówczas jeszcze pisany z łącznikiem) został użyty po raz pierwszy w 1851 roku w książce „A Little Earnest Book Upon A Great Old Subject" autorstwa Williama Wilsona. Istniał więc już w czasach Karola Darwina, ale swój globalny renesans przeżywał w latach dwudziestych XX wieku. To właśnie wtedy Hugo Gernsback zaczyna go używać w odniesieniu do historii publikowanych w swoim pulpowym magazynie „Amazing Stories". Na upartego można więc powiedzieć, że science fiction wyprzedza teorię ewolucji, takie stanowisko ma zresztą swoje potwierdzenie w dacie wydania pierwszej edycji „Frankensteina", która przypada na 1818 rok. Kolejne dekady po opublikowaniu przez Darwina jego wiekopomnego dzieła i kolejnych tytułów, spośród których szczególne znaczenia dla naszych rozważań ma jeszcze „O pochodzeniu człowieka" z 1871 roku, zaczęły coraz mocniej wiązać zagadnienie ewolucji z historią sci-fi.

Warto wszakże pamiętać, że na tym etapie sam gatunek był jeszcze w powijakach. Widać już było rosnące zainteresowanie naukowymi tematami i zagadnieniami, ale w tekstach z pierwszej połowy XIX wieku opowieść o samej podróży w kosmos była ważniejsza od tego, co bohaterowie tam znajdowali. Mowa o takich dziełach jak powieść „A Voyage to the Moon: With Some Account of the Manners and Customs, Science and Philosophy, of the People of Morosofia, and Other Lunarians" George'a Tuckera i zainspirowane nią opowiadanie „Nieporównana przygoda niejakiego Hansa Pfaalla" Edgara Allana Poego, a nawet o nieco późniejszej książce „Z Ziemi na Księżyc" Juliusza Verne'a. Pierwsze próby wyobrażenia sobie obcego życia, które powstało na obcej planecie bądź na Księżycu, stawały się coraz powszechniejsze, choć nie za- ▸

eprasa.pl c27f1fba1f



Ilustracja Henri de Montauta do powieści Juliusza Verne'a „Z Ziemi na Księżyc"





Istoty zamieszkujące Ziemię za 30 milionów lat, ilustracja Virgila Finlaya do powieści „Wehikuł czasu", 1950

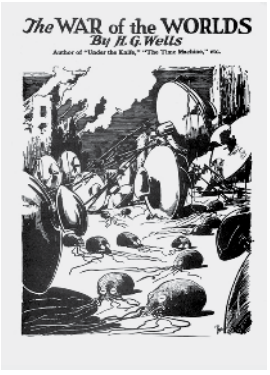
wsze nadchodziły ze spodziewanej strony.

Edgar Allan Poe nie ukrywał później, że planował swoją satyryczną opowieść o Hansie Pfaallu jako gazetowe oszustwo, które miało przybrać formę rzeczywistej relacji z podróży na Księżyc. Kolejne części ostatecznie nie powstały, bo w tym samym roku nowojorska gazeta „The Sun" opublikowała serię artykułów informujących o odkryciu życia na naturalnym satelicie Ziemi. Według tych doniesień, na Księżycu zaobserwowano między innymi bizony, kozy z pojedynczym rogiem, minizebry, ale też... jednorożce, chodzące na tylnych łapach bobry bez ogonów i humanoidalne istoty będące skrzyżowaniem człowieka z nietoperzem. Oszustwo miało na celu znaczące podwyższenie sprzedaży „The Sun" (co się jak najbardziej udało), ale też wyśmianie coraz powszechniejszej tendencji do rozpowszechniania w prasie oderwanych od rzeczywistości naukowych teorii. Jeszcze w tym samym roku periodyk przyznał się do sfabrykowania artykułów, ale dziś tamta próba stanowi niejako preludium do późniejszych rozważań wywodzących się już bezpośrednio z dzieł Karola Darwina.

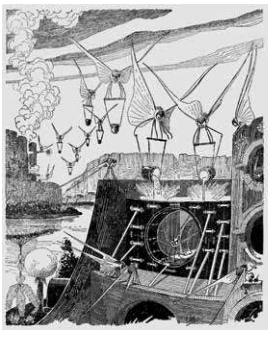
O krok dalej w swoich rozważaniach na temat życia pozaziemskiego poszedł H.G. Wells. Brytyjskiego pisarza zainspirowały odkrycia włoskiego astronoma Giovanniego Schiaparelliego, który w 1877 roku zauważył na powierzchni Marsa proste linie, które wziął za kanały. Na bazie tych obserwacji (od lat wiemy, że opisany przez Schiaparelliego efekt to złudzenie optyczne) Amerykanin Percival Lowell wysnuł hipotezę o stworzonych przez inteligentne istoty kanałach służących do nawadniania powierzchni w odpowiedzi na trudne warunki panujące na Marsie. Z kolei w 1894 roku francuski astronom zauważył dziwne światło na powierzchni Czerwonej Planety, co Wells wykorzystał bezpośrednio w swojej „Wojnie światów".

W trakcie prac nad „Wojną światów" pisarz podjął się spekulacji na ten temat w publicystycznym tekście „Intelligence on Mars" opublikowanym w 1896 roku na łamach „Saturday Review". Podjęte przez niego naukowe rozważania na temat wykształcenia się inteligentnego życia na sąsiadującej z Ziemią planecie są wyraźnie powiązane z ideami przedstawionymi w kultowej powieści oraz w napisanym w 1897 roku opowiadaniu „Kryształowe jajko".

Założenia, którymi kierował się Wells w swoich tekstach, dotyczące bliskiego podobieństwa warunków panujących na Ziemi i Marsie, okazały się całkowicie błędne. Inaczej niż sama idea, by myśleć o narodzinach życia na obcej planecie w kontekście selekcji naturalnej i innych założeń teorii Darwina. Pisarz był przy tym świadomy gigantycznej liczby zmiennych, od których zależy wykształcenie się nowego gatunku. Dlatego jego wizja Marsjan jest znacznie odważniejsza niż koncepcje promowane przez dzisiejszych teoretyków ewolucji spekulatywnej czy te serwowane nam później przez popkulturę. Niby dlaczego inteligentne życie miałoby przyjąć postać „małych zielonych ludzików"? Dla autora „Wojny światów" równie dobrze inteligentne życie mogłoby przybrać formy zupełnie dla nas obce. Jak podkreśla w „Intelligence on Mars", Marsjanie „mogliby słyszeć, a mimo to być głusi na to, co słyszymy my – mówić, a jednak pozostawać dla nas niemi". To fascynująca i niezwykle współczesna wizja zaprezentowana przez ojca nowoczesnego science fiction, warto więc ją docenić. Co ciekawe jednak, również Edgar Allan Poe nie był od niej daleki, gdy w „Nieporównanej przygodzie niejakiego Hansa Pfaalla" pisał o mieszkańcach Księżyca jako istotach pozbawionych uszu, co wynikało z niezwykle cienkiej atmosfe-







Ilustracja Franka Rudolpha Paula do „Kryształowego jajka" w magazynie „Amazing Stories", 1926

eprasa.pl c27f1fba1f

ry i specyfiki komunikacji między nimi.

Na kartach „Wojny światów" i „Kryształowego jajka" H.G. Wells przedstawia trzy różne rodzaje inteligentnych istot zamieszkujących Marsa. Do pierwszego z nich należą latające osobniki o niewielkich ciałach, parze dużych oczu, skrzydłach o budowie zbliżonej do motylich, a także dwóch parach chwytnych odnóży przypominających macki. Bohater „Kryształowego jajka" zauważa również drugi rodzaj istot – podobnych do ich latających pobratymców, ale o większych głowach i bez skrzydeł. Te stworzenia w dużej mierze przypominają marsjańskich zdobywców z „Wojny światów", którzy zostają tam opisani jako ośmiornicopodobne istoty o olbrzymich głowach, które posiadają cztery pary macek i ułożony na wzór litery V otwór gębowy. W powieści pojawiają się ponadto przedstawiciele trzeciego gatunku – dwunożni obcy o bardziej humanoidalnej budowie ciała, mierzą około 1,8 metra, mają duże głowy i kruche kości, a ich budowa nie pozwala na przetrwanie w ziemskiej grawitacji. Nie jest natomiast pewne, czy te stworzenia również pochodzą z Marsa, bo wszystkie giną jeszcze przed przybyciem na naszą planetę, w dodatku prawdopodobnie służą Marsjanom za pożywienie. Sami najeźdźcy nie doceniają z kolei zagrożenia związanego z obecnymi na Ziemi (a obcymi dla ich fizjonomii) patogenami i umierają na skutek zarażenia śmiertelną dla nich infekcją bakteryjną.

Białe motyle, ohydne kraby i to coś, od czego mdleją światli ludzie

Widoczne we wspomnianych dziełach Wellsa ślady teorii ewolucji są nie do przecenienia, lecz nie należy traktować pisarza jako pełnoprawnego przedstawiciela biologii spekulatywnej. Brytyjczyk pisał bądź co bądź fikcję i niekiedy łączył wątki mające swoje oparcie w nauce z czystą wyobraźnią i paranauką. Dość powiedzieć, że tak przecież kompetentnie zarysowani od strony anatomicznej Marsjanie z „Wojny światów" zdaniem narratora powieści porozumiewają się… za pośrednictwem telepatii. Podobnie zresztą jak Coś z „Piekielnego lodu" i z „Kim jesteś?" Johna W. Campbella (istota straciła tę umiejętność we współczesnych filmowych adaptacjach), a także niektórzy Wielcy Przedwieczni z panteonu H.P. Lovecrafta.

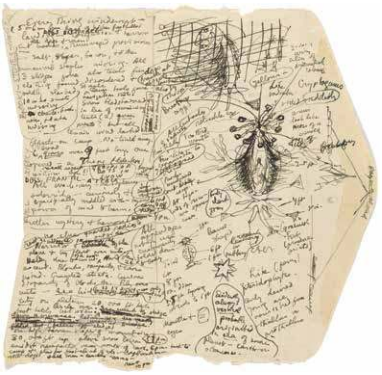
Jeśli chodzi o Samotnika z Providence, czyli H.P. Lovecrafta, to wykorzystywał on w swoich dziełach niektóre elementy przynależne do teorii ewolucji, ale pojmował całe zagadnienie w sposób daleki od jego współczesnego rozumienia. Nie ma sensu ukrywać, że rasizm Lovecrafta często napędzał tę błędną i sprzeczną z założeniami Karola Darwina interpretację jego teorii. We wczesnych opowiadaniach Amerykanina, takich jak: „Szczury w murach", „Święto", „Ustalenia w sprawie zmarłego Arthura Jermyna i jego rodu" czy „Bestia w jaskini", prym wiedzie mocno naznaczona eugeniką genetyka. Bohaterowie tych tekstów odkrywają tajemne sekrety swoich rodzin, których członkowie wchodzili w konszachty z istotami nieczystymi, nieludzkimi bądź będącymi hybrydą między człowiekiem a zwierzęciem, co z kolei budzi w nich wcześniej ukryty gen „bestii" i/lub wywołuje szok, głębokie obrzydzenie, a nawet szaleństwo.

Tego typu historie mogą na pierwszy rzut oka budzić skojarzenia z zagadnieniem ewolucji, ale kryje się w nich błąd w rozumieniu, który często popełniali zwolennicy darwinizmu społecznego i ortogenezy. Teoria Karola Darwina nie zakłada, że ewolucja prowadzi po linii prostej od organizmów bardziej prymitywnych do złożonych i wiedzie życie w stronę jakiegoś długofalowego celu. Dobór naturalny pozwala na zachowanie wewnątrz jednego gatunku cech, które sprzyjają lepszemu przystosowaniu do określonego środowiska w danym czasie. Złożoność sama w sobie nie zakłada postępu, co na pewnym etapie zdawał się propagować Lovecraft.

Inna sprawa, że ewolucja u tego pisarza zostaje niejako „naznaczona" elementem nadnaturalnym. Na kartach „W górach szaleństwa" możemy bowiem przeczytać, że to pochodzące spoza naszej planety Starsze Istoty „stworzyły całe ziemskie życie", a z pozostałej po ich eksperymentach z Shoggothami materii wykształciły się formy wielokomórkowe. O ile więc trudno mówić o „celowości" tego działania, gdyż jego przyczyny (jeżeli w ogóle jakieś były) nie zostają wyjaśnione, o tyle narodziny życia są bezpośrednim efektem czyjegoś działania. Co ciekawe, same Starsze Istoty – w przeciwieństwie do Cthulhu czy przedstawicieli rasy Mi-Go – są wytworami materii z naszej rzeczywistości (przypominają budową ciała szkarłupnie o symetrii promienistej) i zostają opisane zaskakująco pozytywnie przez narratora „W górach szaleństwa". Zagłada spada na nich ze strony istot, które sami stworzyli, co umiejscawia jedno z najsłynniejszych dzieł Lovecrafta na innym spektrum tematycznym niż wiele pozostałych utworów wchodzących w skład Cthulhu Mythos.

Bohater Lovecrafta mówi o „obcej ewolucji" i „istotach o możliwościach przekraczających wszystkie twory naszej planety" w kontekście Wielkich Przedwiecznych (tudzież Starych Istot). Można się jednak zastanawiać, na ile to określenie odnosi się do Cthulhu i jego pobratymców. Tak fizjonomia Kapłana Przedwiecznych (posiada wybrane cechy istot żyjących w środowisku wodnym i lądowym, a ponadto ma smocze skrzydła), jak i jego nadnaturalne umiejętności wydają się wykluczać Cthulhu z grona istot żywych. Nawet śmierć podobno jest dla niego stanem, z którego może powrócić i w trakcie którego „śni wieczny sen". Dyskusja o ewolucji istot takich jak Azathoth, Nyarlathotep czy Yog-Sothoth wydaje się zaś jeszcze bardziej pozbawiona sensu. Ba, samo wspomnienie tych nazw może doprowa- ▸

eprasa.pl c27f1fba1f



Strona rękopisu „W górach szaleństwa"



Wehikuł czasu na okładce czasopisma „Famous Fantastic Mysteries", sierpień 1950; grafika autorstwa Normana Saundersa

dzić bohaterów prozy Amerykanina do szaleństwa, czego nie da się powiedzieć o żadnym z żyjących bądź wymarłych gatunków.

Choć to H.P. Lovecraft jest dziś uznany za mistrza horroru egzystencjalnego, w poszukiwaniu pierwszego przykładu istoty tak przerażającej, że zdolnej doprowadzić na skraj załamania nerwowego ponownie musimy cofnąć się do H.G. Wellsa... oraz książki uznawanej dziś za symboliczny początek ewolucji spekulatywnej. Mowa oczywiście o „Wehikule czasu", gdzie znajdziemy zarówno wyobrażenie przyszłego etapu ludzkiej ewolucji, jak i wizję życia na Ziemi po zniknięciu z niej człowieka.

Do powszechnej świadomości z treści „Wehikułu czasu" przebiła się głównie ta część, która dotyczy dwóch skrajnie odmiennych gatunków ludzi – znanych jako Elojowie i Morlokowie – w dodatku w mocno przerobionej, filmowej wersji. Ich struktura społeczna i wygląd opierają się głównie na przemyśleniach Wellsa dotyczących współczesnej mu brytyjskiej cywilizacji, dlatego dziś cała opowieść miejscami „trąci myszką". Nie brak tu też jednak refleksji wysuniętych bezpośrednio z zagadnień teorii ewolucji. Małe, podobne do dzieci humanoidy, znane jako Eloi, na skutek coraz mniejszej liczby naturalnych zagrożeń zatraciły część cech, które doprowadziły do podboju Ziemi przez gatunek *Homo sapiens*. Ich dieta ogranicza się do owoców, a życie – do przyjemnych rozrywek. Wykazują pewną inteligencję, ale brak wewnętrznej ciekawości, siły ducha i sprawności fizycznej skutkuje tym, że nie mają żadnych sposobów obrony przed Morlokami atakującymi zamieszkane przez Elojów tereny w bezksiężycowe noce. Bliższe małpom człekokształtnym istoty zajmują podziemia, gdzie operują maszynerią pozwalającą na utrzymanie pozornego raju na powierzchni planety, a wszystko po to, by zapewnić sobie stałe źródło pożywienia w postaci Elojów.

Co ciekawe, w pierwotnej wersji „Wehikułu czasu" (publikowanej w częściach na łamach „New Review") pojawia się jeszcze jeden fragment dotyczący ludzkiej ewolucji, który został usunięty w edycji książkowej. Wells wymyślił go na skutek nalegań swojego redaktora W. E. Henleya, który pragnął, by pisarz pokazał „ostateczną degenerację człowieka". W omawianym fragmencie podróżnik w czasie przenosi się tysiące lat dalej w przyszłość od czasów Morloków i Elojów, gdzie napotyka stworzenia podobne do skrzyżowania królika z kangurem. Szybko dostrzega w nich cechy ludzkiej anatomii, lecz dalsze badanie przerywa pojawienie się groteskowej istoty przypominającej olbrzymią stonogę, która zmusza bohatera do ucieczki. Wizja przyszłości ludzkiej rasy, która po tysiącach lat zatraca swoje człowieczeństwo, na powrót upodabniając się do zwierząt, z czasem stała się popularnym motywem w ewolucji spekulatywnej, ale H.G. Wells nie były zadowolony z nadprogramowej sceny i usunął ją w późniejszym wydaniu.

Pozostawił tam natomiast rozdział poświęcony dalszej podróży bezimiennego bohatera w przyszłość. Oczom mężczyzny ukazuje się opustoszała powłoka Ziemi. Planeta zakończyła ruch wokół własnej osi i spoczywa nieruchomo pod gigantyczną powłoką czerwonego słońca. Podróżnik dostrzega wątłą roślinność przystosowaną do życia w półmroku. Wtem ciszę przerywa rozdzierający krzyk latającego stworzenia podobnego do wielkiego, białego motyla, a następnie pochód potężnej istoty przypominającej czerwonego kraba, tylko że z potężnymi mackami, wąsami i garbami. Bohater ucieka przed tymi zwierzętami o kolejne tysiące lat w przód, aż zatrzymuje się ponad 30 mln lat od swoich czasów. Wydaje się, że na skutej lodem planecie przetrwały jedynie blade mchy i porosty, lecz wtedy podróżnik w czasie dostrzega poruszenie czarnego kształtu wśród czerwonych wód morza. Coś, co początkowo bierze za złudzenie nadwątlonych zmysłów, okazuje się podskakującym „potworem", którego widok niemal pozbawia bohatera zmysłów, niczym istoty z książek Lovecrafta, opowiadań składających się na „Króla w żółci" Roberta W. Chambersa czy „Domu na granicy światów" Williama Hope'a Hodgsona. Ostatecznie jednak mężczyźnie udaje się powrócić do swoich czasów, aby potem ruszyć w kolejną podróż wehikułem.

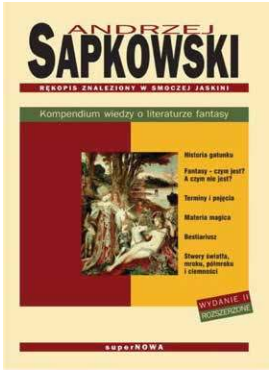
Zróbmy sobie bruxę

Zanim opuścimy wspomnianych wyżej autorów i również przeniesiemy się w przyszłość, tym razem u boku twórców rozwijających w kolejnych dekadach ewolucję spekulatywną w obrębie science fiction, warto pochylić się też nieco nad tym, jak teoria ewolucji wpłynęła na fantasy. Gatunek ten (tak przecież pojemny i zróżnicowany) kryje bowiem w sobie gigantyczny potencjał do uszczegóławiania stworzonego na potrzeby danej historii świa- ▸

eprasa.pl c27f1fba1f

ta przedstawionego. W ciągu ponad 70 lat od wydania „Władcy Pierścieni" współczesna fantastyka doczekała się nie tylko rozmaitych kosmogonii i rozbudowanych mitologii, encyklopedii, atlasów i książek historycznych (by wymienić tylko „Silmarillion" oraz „Ogień i krew"), ale też dzieł skupiających się na sferze biologicznej. Najpopularniejsze spośród nich są bestiariusze, które stanowią próbę usystematyzowania zwierząt i istot, w tym również magicznych, zamieszkujących fikcyjny świat. Tego typu dzieła cechują się różnym stopniem naukowości i dbałości o zgodność ze swoimi realnymi odpowiednikami, ale niektóre z nich wcale nie są tak dalekie w formie od klasycznych dzieł ewolucji spekulatywnej.

Ciekawym przypadkiem jest tu twórczość Andrzeja Sapkowskiego. Gigant europejskiego fantasy jest znany z ogromnego oczytania i ze swojej miłości do klasyki, co obejmuje również średniowieczne bestiariusze. Polski pisarz stworzył nawet swój własny bestiariusz w ramach książki „Rękopis znaleziony w smoczej jaskini. Kompendium wiedzy o literaturze fantasy". Podzielił go na dwie części: bestiariusz właściwy (pisany w stylu delikatnie parodiującym bestiariusze sprzed wieków), a także posługującą się współczesnym stylem część drugą zawartą w rozdziale „Stwory światła, mroku, półmroku i ciemności".



Oczywiście, trudno tutaj mówić o trzymaniu się teorii ewolucji, choć sam autor odwołuje się do jej założeń we fragmencie dotyczącym elfów: „Najbardziej rzucającą się w oczy elfią cechę – spiczasto zakończone małżowiny uszne – zwykle kryją włosy. Można też elfa rozpoznać po zębach (...). Elfy mianowicie, nie będąc płodem ewolucji, nie posiadają w uzębieniu kłów". To z pozoru anegdotyczne wtrącenie w rzeczywistości nabiera ogromnego znaczenia również w kontekście sagi wiedźmińskiej. Andrzej Sapkowski bynajmniej nie ignoruje tam bowiem kwestii ewolucji, lecz w wykreowanym przez niego świecie dochodzi do wydarzenia znanego jako Koniunkcja Sfer. W jej wyniku na Kontynent trafiają istoty z innych światów, w tym wiele potworów, na które polują wiedźmini, ale też, według relacji elfów, ludzie. Ci ostatni mieli podobno zniszczyć swój własny świat „zaledwie pięć milionów lat po wykształceniu się jako gatunek".

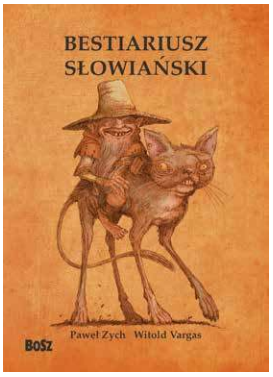
Koniunkcja Sfer sprawia, że wiele fantastycznych istot z „Wiedźmina" nie posiada (przynajmniej z początku) swoich nisz ekologicznych i nie sposób prześledzić ich drogi ewolucyjnej. Ewolucja nie jest jednak zjawiskiem chwilowym ani jednorazowym. To proces rozłożony na setki, tysiące i miliony lat. Obce dla świata istoty z czasem znajdują więc odpowiadające im środowisko i w poszukiwaniu jak najlepszej ścieżki do przetrwania wkraczają w rytm doboru naturalnego – czasem sprowadzając po drodze inne gatunki na skraj wyginięcia, jak to czynią ludzie ze Starszym Ludem.

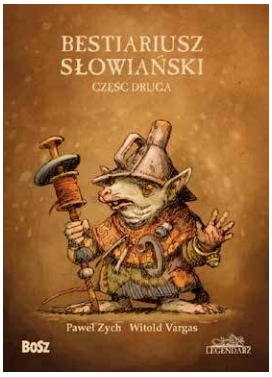
Cały ten pomysł jeszcze mocniej pociągnęły gry wideo z serii „Wiedźmin", w których stwory takie jak alpy, bruxy, nekkery czy skolopendromorfy są traktowane jak każde inne, „zwykłe" zwierzę – nawet jeśli posiadają szczątkową inteligencję. Polujący Geralt może więc poznać konkretne szczegóły na temat środowiska naturalnego istoty, na którą poluje, a niekiedy nawet potrafi rozróżnić poszczególne gatunki na podstawie zmian w zachowaniu, po wyglądzie czy zdolnościach adaptacyjnych. Oczywiście, nie należy bynajmniej stawiać znaku równości między tym, co obserwowaliśmy w grze, a co opisuje Sapkowski. Ba, polski pisarz, choć we własnym bestiariuszu żartobliwie psioczy na J.R.R. Tolkiena za błędne przedstawienie hobgoblina, też niekiedy swobodnie poczyna sobie z istniejącymi w folklorze stworami. Dość powiedzieć, że kikimora opisana przez niego w „Rękopisie znalezionym w smoczej jaskini" jako „stwór przybierający postać staruchy okutanej w chałat utkany z mchów i wodorostów" w „Mniejszym złu" jawi się jako „pająkowaty, obciągnięty zeschłą czarną skórą kształt" mający „szkliste oko z pionową źrenicą" oraz „igłowate kły w zakrwawionej paszczy". W grze z kolei jest istotą żyjącą w roju i bardziej przypominającą połączenie mrówki z krabem.

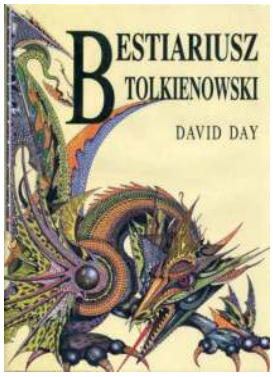
Tym, co najmocniej odróżnia książki takie jak kultowy „Bestiariusz słowiański" Witolda Wargasa i Pawła Zycha czy „Bestiariusz Tolkienowski" Davida Daya od książek typu „After Man" Dougala Dixona i „All Tomorrows" C.M. Kösemana, wbrew pozorom wcale nie jest wyższa „wiarygodność" tych drugich. Ewolucja spekulatywna przeważnie trzyma się dosyć ściśle praw natury, ale wcale nierzadko poczyna sobie z nimi dosyć swobodnie i stawia odważne pytania. To zresztą naturalne, gdy choćby próbujemy wyobrazić sobie życie oparte na innym pierwiastku niż węgiel. Niektóre fantastyczne istoty bynajmniej nie wydają się bardziej obce dla naszego pojmowania otaczającego świata od tego, co serwują nam najodważniejsi z przedstawicieli biologii spekulatywnej.

Zasadnicza różnica kryje się za to w temporalnym nastawieniu jej autorów. Bestiariusze poświęcone istotom fantastycznym nie naruszają ustalonych szczegółów, nie tworzą nowych podań i historii – to dzieła skupione na skrupulatnym udokumentowaniu przeszłości. Dla kogoś, kto nigdy wcześniej nie słyszał o banniku, morowej dziewicy czy goblinach, czytanie o tych stworach z legend i przypowieści będzie fascynującym doświadczeniem, lecz czytelnik lepiej zorientowany nie może liczyć na coś ▸

eprasa.pl c27f1fba1f







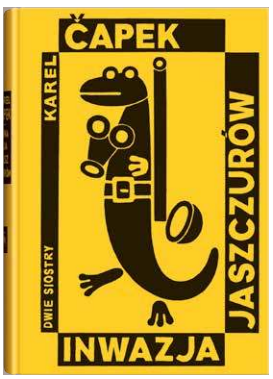
zaskakującego lub obrazoburczego. Ewolucja spekulatywna z kolei sama w sobie jest naddatkiem, czymś ekstra, wyobrażeniem przyszłości, które, z uwagi na ogromny dystans czasowy, sięgający dziesiątek milionów lat, uwalnia się od wielu ograniczeń.

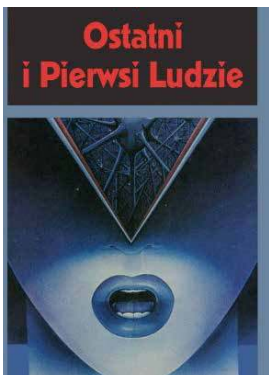
Co po nas, co bez nas, co z nami?

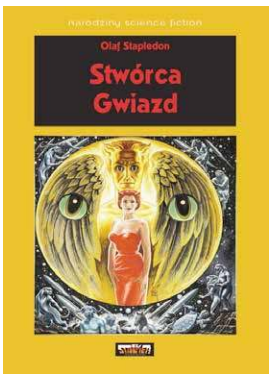
W ogólnej dyskusji o biologii spekulatywnej często po wspomnieniu o jej początkach i H.G. Wellsie od razu przechodzi się do przełomu lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, gdy za sprawą książki „After Man" Dougala Dixona zagadnienie nabrało nowej prędkości. Nie jest jednak prawdą, że rozważania o zoologii czy botanice obcych planet bądź przyszłej Ziemi w ogóle nie zajmowało artystów w okresie między „Wehikułem czasu" a trylogią Dixona. Można natomiast podzielić ten czas w historii science fiction na autorów, którzy spekulowali o ewolucji w ramach utworu łączącego w sobie cechy powieści i eseju (czasem humanistycznego, czasem mocno satyrycznego), oraz twórców wykorzystujących podobne wątki niejako w tle głównej fabuły, gdyż w ten sposób ich dzieła nabierały większego realizmu. W dziełach Stanleya G. Weinbauma, autora „Odysei marsjańskiej" i innych opowiadań z tzw. cyklu planetarnego, a także „ojca Tarzana" Edgara Rice'a Burroughsa, który wsławił się cyklem „Barsoom", wątki ewolucyjne stanowiły element światotwórczy. Współcześnie za bardziej istotne i wpływowe uznaje się mimo wszystko jednak teksty z pierwszej grupy.

W tym kontekście na szczególne wyróżnienie zasługuje kilka tekstów. Nie sposób nie wspomnieć o czeskim prozaiku Karelu Čapku (znanym za sprawą popularyzacji słowa „robot"), który w swojej „Inwazji jaszczurów" z 1936 roku opowiada o odkryciu inteligentnego gatunku płazów, wykorzystywaniu jego przedstawicieli przez ludzkość, a następnie wielkiej wojnie między obiema społecznościami. Čapek łączy w swoim dziele elementy fabuły, traktatu naukowego, artykułów prasowych, epistolografii, a nawet notatek rządowych, aby wyśmiać zyskujące wtedy na sile faszyzm, rasizm, komunizm, ale też nieposkromiony kapitalizm. Co ciekawe, stosunkowo podobnym tropem podąża także „Sprawca Gwiazd" (w niektórych polskich tłumaczeniach „Stwórca Gwiazd") Olafa Stapledona – wydana rok po „Inwazji jaszczurów" powieść również stanowi reakcję autora na popularność faszyzmu i zbliżającą się wielkimi krokami II wojnę światową.

Brytyjski pisarz na tym etapie kariery miał już za sobą jedno wybitne dzieło science fiction z dziedziny ewolucji spekulatywnej. W książce „Ostatni i Pierwsi Ludzie. Historia bliskiej i dalekiej przyszłości" snuje wizję rozwoju ludzkości na przestrzeni dwóch miliardów lat. „Sprawcę Gwiazd" można traktować jako nieformalny *sequel* tamtej powieści, pojawia się tu wiele podobnych obserwacji opartych na cyklicznej koncepcji czasu i zagadnieniu zbiorowej świadomości. Książka z 1937 roku oferuje przy tym znacznie szerszy punkt widzenia, bo jej narrator podejmuje rozważania o historii cywilizacji i przyszłości rasy ludzkiej przez pryzmat życia wykształconego na różnych planetach powstałych w naszej i innych galaktykach. Niektóre z tych światów są podobne do Ziemi, a tamtejsi „ludzie" przypominają nas zarówno pod względem wyglądu, jak i stosunków społecznych. Dopiero po dojściu kolejnych umysłów składających się na zbiorową świadomość podróżników kosmicznych są oni w stanie odnaleźć inteligentne istoty skrajnie odmienne od nas samych pod względem fizycznym i psychicznym. Stapledon wymyślił między innymi rasę morskich istot przypominających wielkie statki, a także „innych ludzi" o budowie ciała zbliżonej do szkarłupni (dostrzec można tu interesujące, ale chyba mimo wszystko niezamierzone podobieństwo do Starszych Istot z „W górach szaleństwa"). Bohaterowie powieści wraz z rozwojem swojego stanu coraz mocniej pragną spotkać się z tytułowym Sprawcą Gwiazd, by poznać prawdę o sensie istnienia, które choć przybiera tak rozmaite formy, koniec końców przeważnie kończy się zagładą. Lektura „Sprawcy Gwiazd" stanowi fascynujący wgląd w psychikę autora, nie dziwi zatem, że do wielkich







eprasa.pl c27f1fba1f

fanów Stapledona i jego książki należeli Arthur C. Clarke, Stanisław Lem, Virginia Woolf czy Jorge Luis Borges.

Do wspomnianej „satyryczno-filozoficznej" grupy należy zaliczyć również „Galapagos" Kurta Vonneguta, choć wydana w 1985 roku powieść należy do późniejszego (i w powszechnym mniemaniu słabszego) okresu jego twórczości. Amerykanin podejmuje w niej zagadnienie dewolucji, czyli (błędnej z naukowego punktu widzenia) teorii o stopniowym zanikaniu złożoności organizmów do form bardziej prymitywnych. Narrator powieści nie ma najmniejszych wątpliwości, że źródłem wszelkich ludzkich nieszczęść (w tym też bliżej niesprecyzowanej zagłady cywilizacji) są „zbyt wielkie mózgi" wykształcone w toku ewolucji przez *Homo sapiens*. Na przykładzie potomków grupy rozbitków, których ogołocony z najważniejszych urządzeń pokładowych statek osiada w pobliżu jednej z wysp archipelagu Galapagos, pokazuje dalszy przebieg ludzkiej ewolucji. Ta zaś w wyniku trudnych warunków panujących na Wyspach Żółwich i coraz bardziej wodnego trybu życia jej mieszkańców prowadzi ludzkość ku znacznie mniej inteligentnym, przypominającym nieco foki istotom. Tym nowym ludziom tak typowe dla nas zło i wewnętrzne cierpienie są obce, bo nigdy nie opuścili swojej niszy i nawet nie zbliżyli się do ponownej kolonizacji globu.

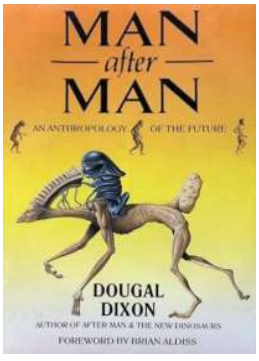
Ewolucja w próbówce, komputerze i na papierze

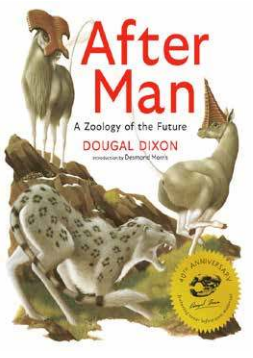
Ewolucja spekulatywna okazała się wygodnym narzędziem nie tylko w dyskusji o coraz bardziej niepokojącej teraźniejszości i nieubłaganej drodze do zagłady rodzaju ludzkiego. Kolejny krok wykonał szkocki paleontolog Dougal Dixon, który w trzech popularnonaukowych książkach podjął się spekulacji na temat: ewolucji gatunków na Ziemi pozbawionej obecności człowieka („After Man"); dalszego rozwoju nielotnych dinozaurów na alternatywnej Ziemi, gdzie nie doszło do zderzenia z meteorytem i masowego wymierania na koniec ery Kredy („The New Dinosaurs"); ewolucji człowieka w ciągu kolejnych pięciu milionów lat („Man After Man"). Dzieła Dixona zapisały się w pamięci fanów science fiction i naukowców zajmujących się zagadnieniem ewolucji z kilku powodów. Jednym z nich jest zgodność jego rozważań z ówczesną wiedzą naukową, która to stanowiła budulec dla często niezwykle interesujących i poruszających wyobraźnię przewidywań na temat rozwoju istniejących rzędów zwierząt i roślin. W niektórych przypadkach Dixonowi udawało się nawet przewidzieć cechy, o których wówczas nie wiedziano, a które z czasem odkryto w żyjących gatunkach. W swojej książce o dinozaurach stanął z kolei po stronie zwolenników upierzenia tych zwierząt, co nie było wtedy jeszcze powszechnie uznawaną hipotezą. Znajomość tematu sprawiła, że autor „After Man" zyskał sobie odpowiedni szacunek nie tylko wśród czytelników sci-fi, a spekulatywna ewolucja zyskała znaczenie wykraczające poza funkcję fabularną.

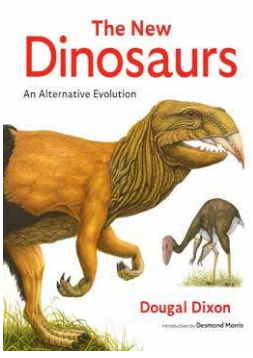
Dougal Dixon nie stracił przy tym z oczu faktu, że tworzy książki dla ludzi zafascynowanych życiem na Ziemi i mających otwarte umysły. Spekulatywna ewolucja od początku miała w sobie bowiem element nieskrępowanej wolności i szaleństwa, bo czym są potomkowie pingwinów wielkości wielorybów czy chodzący po lądzie następcy nietoperzy, jeśli nie efektem całkowitej swobody w tworzeniu pozornie nieprawdopodobnych scenariuszy? Co więcej, dzięki fenomenalnym ilustracjom dołączanym do jego książek czytelnik nie musiał już tylko ograniczać się do niezbyt konkretnych opisów pisarzy science fiction. To zaś sprawiło, że od czasu „After Man" ewolucja spekulatywna na dobre weszła w epokę audiowizualną.

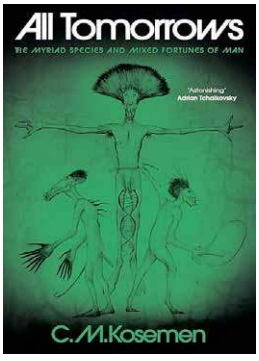
Najgłośniejszym filmowym projektem tego typu była kultowa „Dzika przyszłości" z 2003 roku, czyli wyprodukowany przez BBC fikcyjny serial dokumentalny opowiadający o dzikiej przyrodzie żyjącej na Ziemi za 5, 100 i 200 mln lat. W tworzenie „Dzikiej przyszłości" mocno zaangażowany był oczywiście Dougal Dixon.

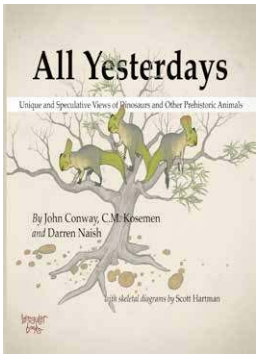
Dziś biologia spekulatywna ma niezwykle mocną bazę w przestrzeni internetowej, gdzie swoje przyszłe bądź odległe od Ziemi światy tworzą artyści z całego globu. Wśród nich największą sławę zyskał urodzony w Turcji rysownik i pisarz Cevdet Mehmet Kösemen, który ponad 20 lat temu rozpoczął projekt artystyczny „All Tomorrows". Pokazał w nim drogę rodzaju ludzkiego od podboju Marsa, przez późniejszą wojnę obu światów, stworzenie nowej rasy „gwiezdnych ludzi", opanowanie galaktyki i spotkanie z obcą cywilizacją, która dokonuje niemal całkowitej eksterminacji ludzkości, aż po wykształcenie się na nowo inteligentnego życia w formach często kompletnie obcych dla człowieka XXI wieku,











eprasa.pl c27f1fba1f

ostatnią wielką wojnę toczoną przez „ludzi" żyjących poza planetami i aberrację w postaci śmiercionośnych maszyn działających w oparciu o ludzką świadomość. Rozbudowana narracja stworzona przez C.M. Kösemena obejmuje więcej niż miliardy lat i czyni inżynierię genetyczną stałym składnikiem przyszłej ewolucji. Turecki artysta nie był oczywiście pierwszym autorem, który snuł takie rozważania, bo podobne wątki można znaleźć już u Olafa Stapletona, lecz i tak stał się ulubieńcem internetowych geeków (inna sprawa, że Kösemen otwarcie przyznaje się do inspiracji dziełami Brytyjczyka).

Najlepiej o jego popularności świadczą wskaźniki filmów dotyczących „All Tomorrows" na platformie YouTube – wiele z nich przekracza milion wyświetleń, a rekordowe wideo zostało do tej pory obejrzane 19 mln razy. W 2024 roku twórca zorganizował kampanię crowdfundingową, dzięki której chciał wydać „All Tomorrows" po raz pierwszy w formie drukowanej książki. Wyznaczony cel zdołał osiągnąć w ciągu niecałych 24 godzin. Dwanaście lat wcześniej ukazała się z kolei współtworzona przez Kösemena wraz z Johnem Conwayem i Darrenem Naishem książka „All Yesterdays", w której spróbowali na nowo wyobrazić sobie życie dinozaurów w środowisku naturalnym na bazie obserwacji żyjących zwierząt. Rok później dzięki internetowej zbiórce powstał *sequel* tej książki, do którego rękę przyłożyli domorośli hobbyści i fani oryginału. Wciąż aktywny pozostaje także otwarty na społeczność internetową spekulatywny projekt Snaiad rozpoczęty przez Turka. A to tylko jeden z wielu działań fascynatów futurologii i biologii. Jakkolwiek więc będzie wyglądać przyszłość ewolucji na Ziemi i poza granicami Układu Słonecznego, jedno pozostaje pewne – ludzie dalej będą śnić, marzyć i wyobrażać sobie przyszłość, której sami nie doczekają. Do czego spekulatywna ewolucja pozostaje jednym z najbardziej przydatnych i oryginalnych narzędzi.

TOMASZ GARDZIŃSKI

Komu książkę, komu



Dzieje słów to fascynujące przygody. Nie sposób się nimi nie pasjonować, jeśli się robi w literaturze. Czasem prześledzenie historii jednego słowa choćby wyjaśnia niejedną zawiłość, także psychologicznej i socjologicznej natury. Angielskie słowo „target" – które jest ważne w tej gadce – wywodzi się od starofrancuskiego i oznaczało drzewiej małą tarczę. Dziś jego zakres ewoluował, oznacza cel, w który się mierzy, a przede wszystkim grupę docelową, do której chce się dotrzeć. A chodzi o to, by grupa była jak największa. Bo słowo przylepiło się przede wszystkim do handlu i reklamy.

W tym do sztuki, do literatury. Wielu współczesnym twórcom wcale nie chodzi o to, by wyrazić siebie, postawić pytania dręczące światu, ale by ustrzelić jak największą grupę klientów – fanów. I do tego celu dostosowują pisarską strategię. Nie jest to wcale sprawa łatwa, a strategie mogą być bardzo różne, rozmaici są przecież czytelnicy.

Jak treści książek i ich język bywają związane z rodzajem targetu, do którego celują autorki i autorzy, będę się zastanawiać na przykładzie tekstu „Tylko durnie żyją do końca"* Zyty Rudzkiej i powieści „Lata ciszy"** Aleny Mornštajnovej. Już słowa „tekst" i „powieść" użyte w poprzednim zdaniu sygnalizują odmienności. To drugie tworzy prosty pomost, ułatwiający wpisanie czeskiej pisarki w nurt popularnej twórczości obyczajowo-psychologicznej, lubianej przez kobiety szukające wyjaśnienia zagadek w relacjach rodzinnych, źródeł wszelkich traum; traktujące literaturę trochę jak gabinet terapeuty, w którym można rozładować przy okazji własne napięcia i wyleczyć niektóre kompleksy (świetnie się w tej roli czuje ostatnio również Magda Knedler). To pierwsze sygnalizuje nietypowość gatunkową, choć dziś coraz częściej obcięcie pewnych cech, charakterystycznych dla dojrzałej klasycznej prozy, traktuje się jako nowoczesne, jako *trendy*. Rozbudowana fabuła, pogłębiona psychologia, wielość postaci, operowanie na długich odcinkach czasowych uznaje się za domenę seriali, których oglądanie zastępuje żmudne ślęczenie nad książką. I – na ogół – kojarzone jest z rzeszami odbiorców mniej z siatką odniesień kulturowych obeznanych.

Krótszym tekstom sprzyjają warunki rynkowe i mody promocyjne. Mniejsza objętościowo książka wymaga mniej wysiłku od autora/ki, mniejszych nakładów od wydawcy, a recenzentowi/tce ułatwia realizację kolejnych wyzwań ilościowych.

„Tylko durnie żyją do końca" jest faktycznie niezbyt długa, w dorobku Zyty Rudzkiej może najkrótsza (wszystkie pozostałe zamykały się bodaj w granicach 250 stron), sformatowana w niewielkich rozdziałach, kilkuzdaniowych akapitach, ▸

* Z. Rudzka, „Tylko durnie żyją do końca", W.A.B., Warszawa 2025, s. 208.

** A. Mornštajnová, „Lata ciszy", Wydawnictwo Amaltea, Wrocław 2022, s. 256.

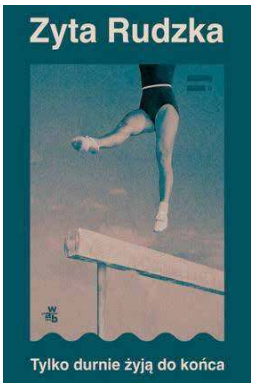
eprasa.pl c27f1fba1f

bez wyodrębnionych dialogów, z licznymi pustymi przestrzeniami. Zasługuje na jedną z największych pochwał tuzinów blogerek – „szybko się czyta".

Tylko ze względu na objętość, czy także z powodu konstrukcji, typu bohaterki, języka, wrażliwości i hierarchii wartości?

Akcja biegnie przez powtarzalne epizody: kąpiele w rzece, przejażdżki na motorze „na ostro", wieczory przy bimbrze z pigwy, namiastki dialogów, relacjonowanych przez wyrazistą, zdecydowaną w swoich poglądach kobietę w nieokreślonym wieku, nauczycielkę „niższego rzędu", byłą sportsmenkę, która po doświadczeniu współpracy z czterema trenerami zdecydowała, że „nikt jej nie będzie tresował". Jej żołniersko-proste opinie o ludziach (nauczycielce geografii, księdzu proboszczu, matce Maryli, partnerach od pigwa-bimbru i seksu – Ziucie i Rochu) mają w sobie coś z wyroków sądu najwyższego. Być może Lida ma ten arbitralizm w genach, ale nad tym się nie zastanawia, co więcej, już w pierwszym akapicie zastrzega się, że „nie daje nura w przeszłość", a „odwraca się tylko w trakcie treningu". Dwaj ostatni wymienieni panowie plus ojciec, były adwokat, który odwiedza bohaterkę na wsi, gdzie osiedliła się, porzuciwszy miasto „jak burą sukę", sprawiają wrażenie o wiele bardziej akceptowanych niż wspominane kobiety, w tym matka. Lida nie ma w sobie więc nic z osobowości celebrujących relacje siostrzane i wrogość wobec mężczyzn, choć wpisuje się z powodzeniem w nurt kreowanych – ku uciesze feministek – kobiet silnych, wybierających model życia jako prowokacji.

Strategia obejmuje styl życia i język wzbudzający najwięcej zachwytów. Nie mogą być przypadkiem twierdzenia psycholingwistów, że wulgaryzacja w wypowiedziach kobiet wykształconych jest świadomym zabiegiem, mającym sygnalizować ich bezpruderyjność i wyzwolenie erotyczne. W wypadku Lidy to się sprawdza. Autorka nie epatuje scenami seksu, jest nawet bardziej powściągliwa niż w relacjach fryzjerki Wery, której opowieść splatała wyraźniej sferę Thanatosa i Erosa, a pogrzeb i żałoba mogły być traktowane jako sposób na przeżywany bunt wobec opresji tworzonej przez wielowiekową tradycję. Ale jej poliamoryczny związek z Ziutem i Rochem jest faktem.





Warto się jednak zastanowić, czy nie ma w tej kreacji ambiwalencji. Czy może Rudzka tyleż propaguje odwagę i niezależność, ile z niej kpi, doprowadzając język i styl życia do skrajności i nie konfrontując jej skutków w zasadzie z niczyją postawą? A może istotnie Wery i Lidy – choć z genezy plebejuszki – to dzisiejsze idolki tej lub owej ministry? Może autorce nie zależy na inspirowaniu przemyśleń i wątpliwości czytelników poszukujących? Może zależy na potwierdzeniu pożądanych przez pewne kręgi tez społeczno-obyczajowych? Na ich porozumiewawczym przyklepaniu? Odpowiedź na te pytania będzie pochodną bańki, w której dał się zamknąć czytelnik.

Mornštajnová w „Latach ciszy" nie brutalnością i odwagą obyczajową uwodzi, lecz staroświeckim wyrafinowaniem. W konstrukcji, w operowaniu czasem, w posługiwaniu się słowem. Czasu zwłaszcza używa niczym plasteliny. W czeski stalinizm nie cofa się tylko w retrospekcji, lecz zdarzenia każe bohaterom przeżywać *in statu nascendi*, na wielu stronach, a czytelnikowi towarzyszyć uwikłaniom Svatopluka i jego bliskich w politykę, która niszczy relacje intymne, rodzinne. Która – to brzemienny wątek – skłania ojca do wyrzeczenia się i publicznego potępienia syna, bo to dyktuje mu logika jego kariery.

Rozgrywane na przestrzeni 30-40 lat wypadki układają się w figury wielopokoleniowej rodziny z przyległościami. Skłaniają czytelnika do snucia refleksji o odpowiedzialności, o zemście losu za postępki niegodne, popełniane z wyboru i pod presją. Mężowi i żonie, córce i ojcu pozwalają dostrzec po latach ich podszewkę. Opowieść jest prowadzona dwutorowo. Trzecioosobowy narrator odsłania motywacje i cele wszystkich osób, koncentrując się na karierze i upadku głównego bohatera, który ucieka w niesławie ze stolicy na prowincję, a pierwszoosobowy – rozszyfrowywany stopniowo – ułatwia współodczuwanie i towarzyszenie w przeżywaniu skutków zachowań, dotykających boleśnie też wszystkich w zasadzie bohaterów. Przecinające się perspektywy – podobnie jak we wcześniejszej „Hanie" – czynią świat bardziej skomplikowanym, utrudniają pochopne potępienia, ale też umożliwiają obserwowanie zmian w emocjach i wzajemnych relacjach matki i syna, ojca i córki, żony i męża czy przyjaciół – wydawałoby się – na wieczność skłóconych.W poprzedniej książce Zyty Rudzkiej fryzjerka męska Wera rzuca budującą sentencję: „Człowiek musi czasem popatrzeć na drugiego człowieka, od tego mu lepiej". Chciałoby się temu ochoczo przyklasnąć: od tego jest sztuka, a zwłaszcza literatura. Bo kreuje świat i ludzi, którym się można przyglądać, których można podziwiać, którym można współczuć. Podejrzewam, że wielu czytelników bez trudu wskaże, który typ spełnia tę funkcję lepiej – powieści czeskiej czy polskiej pisarki. Który z nich odbiorców dzieli, a który integruje.

JANINA KOŹBIEL

eprasa.pl c27f1fba1f

Marcowe premiery wydawnictwa Novae Res



Alfabet pięknych pań
Mona Gin

Gdy arystokratyczna bajka okazuje się elegancką iluzją...

Augusta Maclay szykuje się do ślubu, a londyńska socjeta znów ma temat do plotek. Gdy dawne skandale wracają, piękna bańka zaczyna pękać, a przyjaciółki muszą wybrać między miłością a lojalnością.



Kim naprawdę jesteś?
Oliwia Piątkowska

Nikt nie wie, co skrywa wnętrze drugiej osoby...

Wrażliwa Kamila po zniknięciu ojca uczy się nie ufać nikomu, aż do chwili, gdy poznaje tajemniczego Szymona. Gdy na jaw zaczynają wychodzić sekrety, dziewczyna musi zmierzyć się z pytaniem, czy można naprawdę poznać drugiego człowieka.



Nie ma we mnie m...
Aleksandra Ziaja

Możesz nie wierzyć w miłość. Ale ona i tak cię znajdzie.

Pisarka romansów, która nie wierzy w miłość, spotyka dziennikarza chcącego napisać o niej artykuł. Rozmowy i powrót do przeszłości zmuszą ich do konfrontacji z uczuciami, przed którymi uciekali.



Grzechy przeszłości: Pokuta
Szymon Zając

Każdy grzech ma swoją cenę

Trzy kobiety, trzy historie i jedna wspólna siła – mrok, który prowadzi ku władzy i zniszczeniu. Fascynacja krwią i pakt z demonem splatają się w opowieść o obsesji, ambicji i cenie prawdziwej mocy. Poznaj bohaterki, które nie boją się przekroczyć granic.



Trzódka
Grzegorz Nieckarz

Czasem życie bywa trudniejsze od śmierci

Pięcioro nieznajomych podejmuje ostatnią próbę uwolnienia się od traum w ramach tajemniczej terapii, która szybko odsłania ich sekrety. Przekonaj się, dokąd może zaprowadzić desperacja.



Krew, Klucz i Słowiańskie Wrota
Adam Czajkowski

Legendy – jak i twoje demony – tylko czekają, by je obudzić.

Wakacyjna podróż Aleksa i jego przyjaciół zmienia się w walkę o przetrwanie, gdy zaczyna ich tropić istota ze słowiańskich legend. Sekrety, które w trakcie wychodzą na jaw, mogą kosztować ich życie.



Miłość przez przypadek
Weronika Górska

Przypadki chodzą... parami!

Nowe miasto, nowa praca i sąsiad, który okazuje się... jej szefem. Charlie nie planowała miłości, ale jedno przypadkowe spotkanie wywraca jej poukładany świat do góry nogami.



Tropikalna strefa uczuć
Magdalena Artomska-Białobrzeska

Tu możesz się zatracić i wygrać albo przegrać... wszystko.

Niewinny flirt w rajskiej scenerii wplątuje Lizę w niebezpieczną grę z przestępczym tłem i agentem, który nie odpuszcza. Na Karaibach namiętność miesza się z ryzykiem, a stawką jest coś więcej niż złamane serce.



Porto Venere. Nowe życie
Eliza Borowiak

Nie ma silniejszego pragnienia niż życie w miłości. I większego bólu od jej braku.

Ana wkracza w dorosłość i ucieka do Porto Venere, chcąc zostawić przeszłość za sobą. Gdy spotyka Filipa, dawne emocje wracają ze zdwojoną siłą, a włoski azyl staje się miejscem próby.



Nagonka
Przemysław K. Korona

W świecie zawieszonym między światłem a cieniem przetrwają tylko wybrani

Kasper, syn bartnika, trafia do Mrokowicy – świata słowiańskich bóstw i legend. Wciągnięty w konflikt trzech królestw, musi opanować budzącą się w nim moc. Od tego zależy los całej krainy.



Offline: Jak odnaleźć równowagę w cyfrowym świecie
Krzysztof Zbiciński

Czy wiesz, ile wartości może wnieść do twojego życia bycie offline?

Praktyczny poradnik dla tych, którzy czują się przytłoczeni cyfrowym chaosem i chcą odzyskać kontrolę nad własnym czasem i energią. Dzięki niemu technologia znów zacznie działać na twoją korzyść.

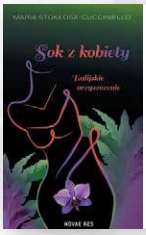
eprasa.pl c27f1fba1f



Protector St. Elmo's fire
Cara M.J.

Była córką fortuny. Stała się więźniem własnego nazwiska

Maria żyje według zasad wpływowej rodziny – aż do chwili, gdy na jej drodze staje Leonardo. Ich zakazane uczucie może spalić na popiół nie tylko rodzinne imperium, ale i jedyną obiecaną Marii przyszłość.



Sok z kobiety. Balijskie Oczyszczenie
Maria Stokłosa-Cucciniello

Kobiecość to nie wiek, waga ani status społeczny. To siła, która w nas drzemie.

Cztery kobiety w różnym wieku spotykają się na Bali, by zrzucić maski i zmierzyć się z tym, co naprawdę je boli. Ta podróż stanie się dla nich oczyszczeniem i początkiem życia na własnych zasadach.



Zła percepcja
Marcin Pełka

Przyszłość nadeszła! Ale... nie każdemu spodoba się to, co zobaczy.

Zła percepcja to dwadzieścia przewrotnych opowiadań science fiction, w których absurd celnie punktuje nasze lęki. Sprawdź, jak może wyglądać przyszłość – i daj się zaskoczyć!



Nadzieja
Joanna Dudzik

Codziennie umiera kawałek jej duszy. Ale nikt nie może jej pomóc.

Nadzieja dorastała w przemocy, a dziś sama tonie w depresji oraz toksycznych relacjach. To przejmująca opowieść o bólu, który przechodzi z pokolenia na pokolenie.



Pergaminowe andruty
Dariusz M. Preisler

Opowieści z *Pergaminowych andrutów* przenoszą do mrocznych lat 70. Lovecraftowski niepokój splata się tu z realizmem magicznym i obecnością zagadkowej kobiety. Sięgnij po tę książkę i odkryj, co kryje się po drugiej stronie codzienności.



Wilcze rządy. Część I. Początek
Milena Gniado

Ludzie przestali dyktować warunki. Teraz władzę mają bestie.

Basti traci rodzinę w cieniu krwawej zagłady i odkrywa w sobie budzącą się, dziką moc. Jego zemsta może ocalić świat – albo pogrążyć go w mroku. Sięgnij po tę mroczną opowieść i sprawdź, kim się stanie.



Zakon
Remigiusz Dudziec

Nie wszystkie demony żyją w piekle...

Dziennikarz Tomek dostaje zlecenie napisania tekstu o śmierci, do której doszło podczas kontrowersyjnego egzorcyzmu, i trafia na ślad tajemniczego Zakonu. Gdy w miasteczku zaczynają się brutalne morderstwa, odkrywa, że granica między światami została naruszona.



Zanim otworzysz drzwi
M.D. Holloway

Małe miasteczko. Wielkie sekrety. I morderca, który jest o krok przed wszystkimi.

Po zabójstwie barmanki z białą różą u boku śledztwo ujawnia sieć skrywanych latami tajemnic. Gdy do policji zaczynają trafiać rymowane listy od sprawcy, staje się jasne, że ktoś prowadzi z nimi wyrachowaną grę.



Full
Kamila Gródecka-Sobkowiak

Zwycięzcą będzie ten, kto odważy się poddać swoim pragnieniom

Izabella po zdradzie męża leci z przyjaciółkami do Włoch, by zacząć od nowa. Spotkanie z tajemniczym Marcello wciąga ją w grę pełną namiętności i ryzyka, w której stawką są jej najskrytsze pragnienia.



Czas i uznanie
Maciej Budzyński

In dubio pro libertate.

Czym naprawdę jest prawo i skąd bierze swoją moc? To prawnofilozoficzny esej o wolności, sprawiedliwości i granicach władzy, który pokazuje, że fundamentem porządku społecznego jest uznanie zasad zakorzenionych w naturze człowieka.



BELLWOOD QUARRY
Bartłomiej Ludwisiak

Tajna operacja pogrzebana pod warstwami kłamstw. Jeden człowiek gotowy dokopać się do prawdy.

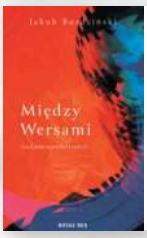
Po latach więzienia Carter wraca, by odkryć, kto zniszczył jego życie. Szybko trafia na ślad układu, który nigdy nie miał ujrzeć światła dziennego.



Tam i z powrotem + trzy metry
Sebastian Orszulik

Do czego się posuniesz, by zaspokoić swoje najskrytsze pragnienia?

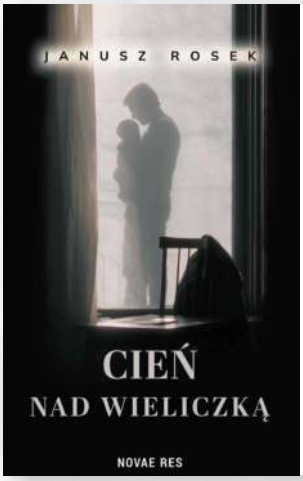
W piwnicy nowego bloku znaleziono zwłoki mężczyzny. Śledztwo prowadzi do świata erotyzmu, przemocy, mrocznych obsesji i... żony ofiary. Rozpoczyna się niebezpieczna gra.



Między Wersami
Jakub Brudziński

Umysł to labirynt, z którego nie ma ucieczki

Zwykły szkicownik zmienia życie Lucasa w koszmar, w którym granica między wyobraźnią a rzeczywistością przestaje istnieć. Kto naprawdę trzyma ołówek – on czy mroczny głos w jego głowie? Wejdź do świata, gdzie umysł staje się najgroźniejszą pułapką.



Cień nad Wieliczką
Janusz Rosek

W czasach, które wymagają odwagi, najtrudniej zawalczyć o siebie

Dorastając w cieniu PRL-u i solidarnościowych ideałów rodziców, Andrzej wybiera własną, ryzykowną drogę – wstępuje do Milicji, nieświadomy nadchodzących zmian. Sięgnij po „Cień nad Wieliczką" i zobacz, jak historia kształtuje człowieka.

NOVAE RES

eprasa.pl c27f1fba1f

Pisarz i jego Jemioł



Najsławniejszym i najlepiej zarabiającym pisarzem polskim w dwudziestoleciu przedwojennym był Tadeusz Dołęga-Mostowicz. Śmiało można określić go jako gwiazdora literatury popularnej, tym bardziej że zarówno jego sławę, jak i dochody spotęgował film, trafiający w najdalsze zakątki Kresów Wschodnich, tam gdzie nie było nawet małej biblioteki, nie mówiąc o księgarni. A większość zamieszkującej te tereny ludności nie umiała czytać ani pisać. Najsławniejszym filmem opartym na prozie tego autora był „Znachor" wraz z dwiema kontynuacjami.

Dołęga-Mostowicz zdobył popularność wydaną na początku lat trzydziestych satyryczną powieścią „Kariera Nikodema Dyzmy", ukazującą w krzywym zwierciadle stosunki polityczne w II RP na początku lat trzydziestych. Swoją drogą cenzura dała dowód niezwykłego liberalizmu, dopuszczając ten utwór do druku i poprzestając jedynie na wykropkowaniu miejsc opisujących „specjalne metody" Policji Państwowej zastosowane wobec Mańki, próbującej mścić się na tytułowym bohaterze.

Inna powieść Dołęgi-Mostowicza – „Prokurator Alicja Horn" doczekała się ekranizacji Michała Waszyńskiego w 1933 roku, ale nie zdobyła sukcesu, pomimo udziału w tytułowej roli samej Jadwigi Smosarskiej, nietypowej dla swojego romantycznego emploi, bo kobiety niezależnej, drapieżnej i zawziętej. Ten brak powodzenia sprawił, że realizatorzy nie sięgali przez kilka lat po prozę tego autora, a zmienił to dopiero „Znachor", drukowany w odcinkach w jednej z gazet codziennych, który wzbudził ogromne zainteresowanie czytelników. Co ciekawe, fabuła powstała jako scenariusz i pisarz proponował go kilku wytwórniom, ale te odrzuciły materiał, uważając, że nie jest on wystarczająco atrakcyjny dla kinowej publiczności. Autor przerobił go więc na powieść i w ten sposób – okrężną drogą – wrócił do świata filmu.



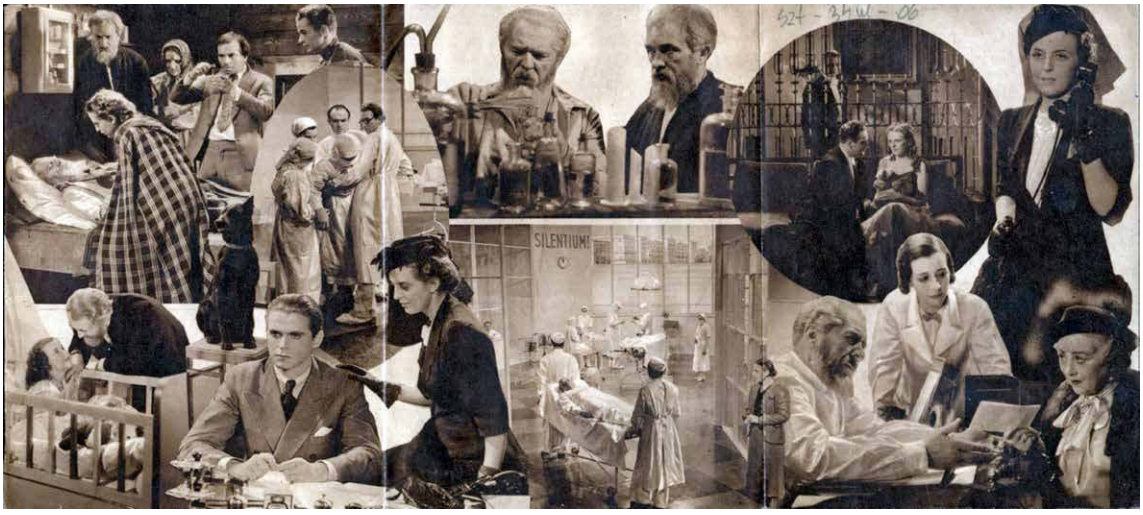
Tadeusz Dołęga-Mostowicz

Tytułowym bohaterem „Znachora" był prof. Rafał Wilczur, znany i ceniony chirurg, mężczyzna spełniony w pracy zawodowej, a pozornie również i w życiu rodzinnym. Miał znacznie młodszą od siebie żonę, Beatę, która, jak sądził, kochała go i była mu wierna. Niestety, piękna pani Wilczurowa nie odwzajemniała uczucia i pewnego dnia porzuciła go, zabierając córeczkę Marysię. Pogrążony w depresji lekarz snuł się po zmroku ulicami miasta, trafiając do podejrzanej spelunki na peryferiach. Po wyjściu z lokalu w towarzystwie przypadkowego kompana został brutalnie pobity i obrabowany. Po odzyskaniu przytomności nie pamiętał, kim jest i co mu się przydarzyło. Tak rozpoczęło się jego drugie życie jako „znachora" – wędrował po kraju przez kilkanaście lat pod przybranym nazwiskiem, udzielał pomocy ludziom poszkodowanym w wypadkach, podświadomie posługując się swoimi medycznymi umiejętnościami. Tymczasem do miasteczka, w którym zamieszkał Wilczur, trafiła Marysia, już jako piękna panna. Beata zmarła, jej kochanek zginął przygnieciony drzewem, a osierocona córka tułała się po wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej. Zdobyła w końcu pracę w małym kinie, gdzie grą na pianinie akompaniowała projekcji niemych filmów. Kiedy została ciężko ranna w wypadku, a miejscowy lekarz uznał, że jej stan jest beznadziejny, Wilczur wykradł torbę z narzędziami medyka i zoperował nieprzytomną dziewczynę. Trafił za to do aresztu, po czym stanął przed sądem, ale zeznania pacjentów, w tym Marysi, która dzięki niemu powróciła do zdrowia, sprawiły, że sędzia odstąpił od wymierzenia kary. Towarzysząc Marysi i jej narzeczonemu Leszkowi na cmentarz, niespodziewanie Wilczur stanął nad grobem Beaty. Na widok napisu na nagrobku nastąpiło nagłe, poprzedzone omdleniem, ustąpienie amnezji. W finale profesor ponownie objął kierownictwo swojej szpitalnej kliniki i szczęśliwy uczestniczył w ślubie Marysi i Leszka.

Mędrek od Olesia Macedońskiego

Na ogromny sukces „Znachora" złożyło się kilka przyczyn. Reżyser Michał Waszyński, którego wcześniej krytykowano za robione pospiesznie, bez dubli, filmy rozrywkowe, nabrał już wprawy i pomimo ciasnego atelier oraz papierowych dekoracji udających plenery Kresów zdołał poprowadzić w sposób ciekawy wątek losów głównego bohatera, jak również wątki poboczne. Pracował zresztą na bardzo dobrym scenariuszu pióra Anatola Sterna, który wydobył z pierwowzoru literackiego kwintesencję ▸

eprasa.pl c27f1fba1f



Folder reklamowy do filmu „Profesor Wilczur", fot. Mazowiecka Biblioteka Cyfrowa

dramatyzmu, zręcznie dzieląc film na ciąg scen o narastającym napięciu oraz dodając happy end już w Warszawie (sceny w klinice i w kościele), bo akcja książki urywała się na cmentarzu, tuż po ozdrowieniu bohatera.

Największe jednak wrażenie wywołała kreacja Kazimierza Junoszy-Stępowskiego w tytułowej roli, z wyczuciem wcielającego się w dwie odmienne postaci: dystyngowanego lekarza oraz bezdomnego włóczęgę. Czysto ludzkie ciepło i naturalność, jakie wyrażała grana przez niego postać, w obu zresztą wcieleniach, przyniosły aktorowi wysokie oceny ze strony krytyków filmowych oraz uwielbienie publiczności.

Ale „Znachor" miał szczęście również do innych wykonawców. Bardzo przekonujący okazał się Jacek Woszczerowicz w drugoplanowej roli Jemioła, wykolejonego inteligenta, mędrka z marginesu społecznego, przywołującego postaci „Olesia Macedońskiego" i „wielkiego Machiavellego", jak i wielu innych postaci historycznych. Pozytywne wrażenie zrobiła również Elżbieta Barszczewska w podwójnej roli Beaty i Marysi.

Kontynuacją losów doktora Rafała był „Profesor Wilczur" (1938). Bohater, który powrócił do pracy zawodowej, cieszył się przez pewien czas szczęściem córki u boku kochającego ją męża. Niestety, egzystencjalne komplikacje ponownie zawitały do jego życia, tym razem za sprawą intrygi dr. Stefana Dobranieckiego, marzącego o zajęciu stanowiska swojego szefa z kliniki. Również małżeństwo Marysi zostało wystawione na ciężką próbę z powodu adorującego ją śpiewaka operowego, o którego chorobliwie zazdrosny stał się Leszek. Sam Wilczur zmarł w finale, po tym jak przeprowadził operację usunięcia guza mózgu u ciężko chorego Dobranieckiego. Profesor, zgodnie z przypisanymi do tej postaci wartościami etyki lekarskiej, pospieszył z pomocą wrogowi i uratował mu życie, sam jednak przypłacił swój wysiłek śmiercią.

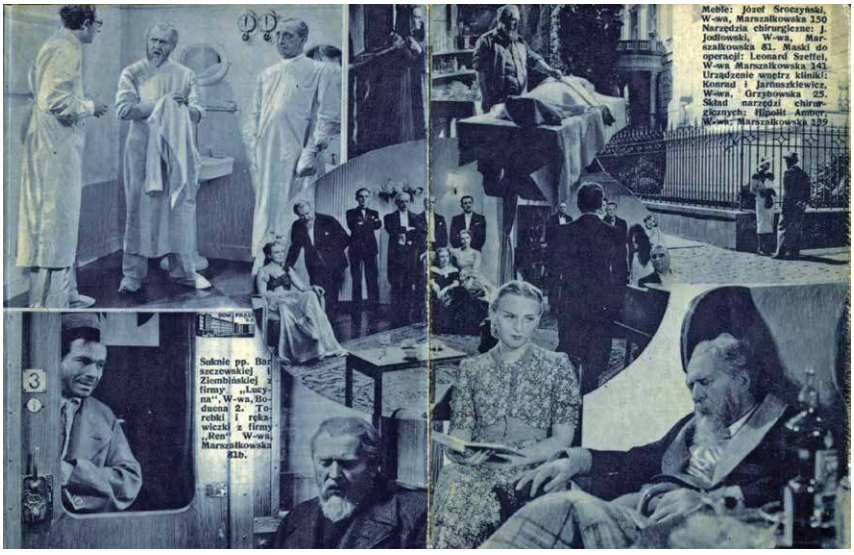
„Profesora Wilczura" oceniono równie przychylnie jak „Znachora", dorównał również frekwencją powodzeniu poprzednika. Chwalono staranność warsztatową Waszyńskiego oraz kreacje aktorów. Tym razem Kazimierza Junoszę-Stępowskiego przyćmił nieco Jacek Woszczerowicz jako Jemioł, który za sprawą pióra Dołęgi-Mostowicza miał zdecydowanie więcej do powiedzenia na ekranie niż w poprzedniej części. Żałując za swoje winy, uzyskał przebaczenie od Wilczura i został jego współpracownikiem.

Testament Wilczura

Kolejna część tryptyku o Rafale Wilczurze powstała w lecie 1939 roku, ale światło dzienne ujrzała trzy lata później, w czasie okupacji. W fotelu reżysera zasiadł Leonard Buczkowski, a publiczność nie zobaczyła już na ekranie dystyngowanego chirurga w działaniu (pokazano go za to na zdjęciu), gdyż rozstał się on z życiem w finale poprzedniej części. Nie wystąpiła również Elżbieta Barszczewska. Personalnymi łącznikami z poprzednimi wątkami byli: Jacek Woszczerowicz (Jemioł), Józef Węgrzyn (Dobraniecki) oraz Mieczysława Ćwiklińska (Florentyna Szkopkowa). Ponadto w obsadzie znalazły się Helena Grossówna i Tamara Wiszniewska. Pojawił się także sam Dołęga-Mostowicz w roli pisarza. „Testament profesora Wilczura" – bo o tym filmie mowa – powstał tym razem nie jako adaptacja książkowa, lecz został oparty na oryginalnym scenariuszu napisanym specjalnie przez autora „Kariery Nikodema Dyzmy" i „Prokurator Alicji Horn". Dołęga-Mostowicz był nie tylko scenarzystą i odtwórcą roli samego siebie, ale również producentem artystycznym obrazu. Niestety, jak dotąd nie wiemy, jak wypadł na ekranie „żywy" autor, gdyż negatyw i kopie tego filmu zaginęły podczas wojny.

Tym razem głównym bohaterem uczynił on Jemioła, który trzymając się uczciwego życia, mocno zaangażował się we wcielenie w życie idei zmarłego Wilczura. A było nią zorganizowanie sieci higieniczno-leczniczych przychodni na wsi. Jemioł założył Fundację im. Profesora Wilczu- ▸

eprasa.pl c27f1fba1f



Folder reklamowy do filmu „Profesor Wilczur", fot. Mazowiecka Biblioteka Cyfrowa

ra i efektywnie zabrał się do roboty. Jako prezes przedsięwzięcia dokonywał inspekcji jego poszczególnych placówek i w jednej z nich zetknął się z ciężko chorą Elżbietą (w tej roli Tamara Wiszniewska). Wprowadzając tę postać, autor scenariusza odsłonił przed widzem niewiadomą, jaką do tej pory była przeszłość Jemioła. Był on bowiem przed wieloma laty uznanym dyrygentem, który zakochał się w Elżbiecie, próbował zbudować z nią związek, po czym został brutalnie i szyderczo potraktowany i porzucony. W ten sposób stoczył się na dno i wiódł życie jako oberwaniec i bandyta. Przed jej śmiercią Elżbieta i Jemioł wybaczyli sobie wszystko. Komplikację w fabule wprowadzili dawni jego kompani, którzy dowiedziawszy się, że został on prezesem bogatej fundacji, zaczęli go namawiać, a następnie zmuszać szantażem do okradzenia kasy. Kiedy on stanowczo i odważnie sprzeciwił się, sami włamali się do siedziby fundacji i zabrali pieniądze. Podejrzenia padły na Jemioła, ale po jego stronie stanęła Bronka, urzędniczka fundacji (w tej roli Helena Grossówna) oraz jej narzeczony, dziennikarz Stefan (Mieczysław Milecki). Udało im się ustalić sprawców i wskazać Jemiołowi miejsce ukrycia łupu. Kiedy ten odbierał pieniądze, zjawili się dawni kamraci i wywiązała się walka. Śmiertelnie ranny od postrzału Jemioł zdążył przekazać zrabowane fundusze Bronce. Zmarł, ale prawdę o jego trudnym losie, rehabilitacji i poświęceniu para narzeczonych przekazała opinii publicznej.

Kiedy wybuchła wojna, film nie był jeszcze gotowy do pokazu. Trzeba było dokończyć montaż i udźwiękowić materiał. Dokonano tego w czasie okupacji, za zezwoleniem Niemców, zainteresowanych istnieniem propagandowej iluzji, że w Generalnym Gubernatorstwie Polacy mogą produkować własne filmy, podobnie jak Czesi w Protektoracie Czech i Moraw. W rzeczywistości wprowadzono na ekrany kilka obrazów powstałych przed 1 września, względnie zgodzono się na ich ukończenie. „Testament profesora Wilczura" wszedł na ekrany kin przeznaczonych dla ludności polskiej 27 stycznia 1942 roku i stał się największym okupacyjnym hitem. Wbrew zaleceniu Polskiego Państwa Podziemnego głoszącego, że „tylko świnie siedzą w kinie", przed kasami ustawiały się długie kolejki, a „koniki" oferowali bilet po paskarskich cenach. Z nielicznych zachowanych zdjęć nie możemy rzecz jasna powiedzieć niczego o poziomie artystycznym całości.

Tragedia nad Czeremoszem

Zapoczątkowane „Znachorem" powodzenie książek Dołęgi-Mostowicza sprawiło, że pod koniec lat trzydziestych stał się on najczęściej ekranizowanym polskim pisarzem. W 1938 roku Michał Waszyński przeniósł na ekran „Ostatnią brygadę" (znaną również pod tytułem „Prawo do szczęścia"), a w 1939 Juliusz Gardan sfilmował „Doktora Murka", Waszyński sięgnął po „Trzy serca", natomiast Jan Fethke zaadaptował dwie powieści: „Złotą Maskę" oraz „Wysokie progi", tworząc z nich film pod wspólnym tytułem „Złota Maska".

Po wojnie twórczość tego autora ponownie trafiała na duży oraz mały ekran. Jan Rybkowski zekranizował dla kin „Karierę Nikodema Dyzmy" (jako „Nikodem Dyzma", 1956), po czym ten sam reżyser wraz z Markiem Nowickim nakręcili serial telewizyjny „Kariera Nikodema Dyzmy" w 1980 roku. Po raz trzeci po tę powieść Dołęgi-Mostowicza sięgnął Jacek Bromski, realizując parodystyczną, osadzoną we współczesnych realiach „Karierę Nikosia Dyzmy" (2002). Po „Znachora" sięgnął Jerzy Hoffman w 1981 roku, kręcąc film kinowy, w odróżnieniu od poprzednika – kolorowy oraz realizowany w plenerach. W 2023 roku powstała kolejna wersja, którą wyreżyserował Michał Gazda. Na ekran przeniesiono również ostatnią opublikowaną przed wojną książkę Dołęgi „Pamiętnik pani Hanki". Film wszedł na ekrany w 1963 roku (reż. Stanisław Lenartowicz).

A powieści Tadeusza Dołęgi-Mostowicza dostąpiły nie tylko licznych wznowień, ale i wyżyn akademickich katedr. Niemal co roku ukazują się zbiory jego nieznanych tekstów, odnalezionych na łamach czasopism lub wydobytych z archiwów kryjących liczne, niewykorzystane rękopisy. Podobnie jak uczone rozprawy i eseje o jego twórczości.

Dołęga-Mostowicz zginął we wrześniu 1939 roku od sowieckich kul, gdy wiózł ciężarówką chleb dla pozostawionych w Kutach, przy rumuńskiej granicy, żołnierzy polskiej Straży Granicznej, którzy nie przeprawili się na drugą stronę Czeremosza.

PIOTR KITRASIEWICZ

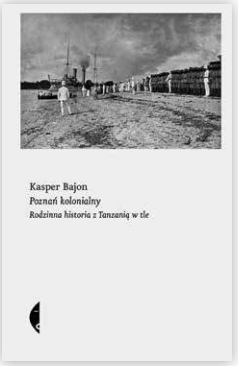
eprasa.pl c27f1fba1f



fot. Julian A. Ch. Kernbach i Zuzanna Kernbach

Kontynent jutra

Rozmowa z KASPREM BAJONEM, autorem książki „Poznań kolonialny"



„Rodzinna historia z Tanzanią w tle", jak brzmi podtytuł pańskiej publikacji, była w domu okryta nimbem tajemnicy?
Nie wiem… Podejrzewam, że mówiło się o niej. Pozostały też znaczki pocztowe, widokówki, artefakty, które świadczyły o tym, że z Jeżyc do Tanzanii było bliżej, niż mogło się wydawać. Niemniej nikt mi tej historii wprost nie opowiedział, a przynajmniej nie pamiętam tego. Dlatego wielu rzeczy musiałem się domyślić, do niektórych dokopać. Pewne wnioski wyciągnąłem przez analogie, inne – po analizie doniesień prasowych. Chcę jednak zaznaczyć, że to przemilczenie nie jest moim zdaniem intencjonalne, ot, po prostu być może wątek afrykański nie wydawał się aż tak istotny, by za wszelką cenę i cały czas o nim opowiadać. Jeden z epizodów historii, bardziej egzotyczny, spod znaku opacznie rozumianych przygód, chociaż może nie tak ważki. Dzisiaj jednak widać, że był wcale znaczący, być może nawet fundamentalny.

Kiedy kwitł kolonializm, Polska nie istniała, zatem chyba brak nam w tej kwestii powodów do ekspiacji.
Ani pierwsze, ani drugie zdanie nie jest do końca prawdą. Nowożytny kolonializm zaczął się wraz z wielkimi odkryciami, kiedy Polska nie tylko istniała na mapach, ale uważała siebie za wielką potęgę, wręcz imperium. Nasi kupcy jeździli po świecie, a obywatele Rzeczypospolitej, na przykład mieszkańcy Księstwa Kurlandii i Semigalii, zakładali faktorie czy nawet kolonie w Afryce lub na Karaibach. Natomiast co do XIX wieku, to Polski rzeczywiście na mapach brakowało, lecz Polacy przecież żyli i uczestniczyli – w ramach na przykład Cesarstwa Niemieckiego – w ekspansji kolonialnej. Ponadto jesteśmy dzisiaj częścią tak zwanego Zachodu, jego kultury i gospodarki. Warto pamiętać, że ta zmierzchająca dziś potęga została zbudowana na eksploatacji Południa. I my – pośrednio – jesteśmy jej beneficjentami.

Zastanawia mnie, na ile ingerencja kolonizatorów rzutowała na postęp cywilizacyjny rdzennych ludów afrykańskich?
Idea postępu jest ideą okcydentalną i zwodniczą. Trudno w zasadzie powiedzieć, czym postęp miałby być. Czy chodzi o technologię, technikę, kulturę, sztukę, braterstwo? O czym mówimy, mówiąc o postępie? Moim zdaniem zachodni kolonizatorzy odpowiadają jedynie za kompletną dezintegrację Południa, za krzywdy tak gigantyczne, że aż trudne do opisania; za śmierć milionów ludzi, za traumy i choroby psychiczne, o których pisał m.in. Frantz Fanon.

W ujarzmieniu Czarnego Lądu pomogły trunki?
Bez wątpienia i w dwójnasób. Z jednej strony pozwalały kolonizatorom oswoić strach i lęk, zaś z drugiej – skolonizowani mieszkańcy byli za sprawą alkoholu otępiani czy truci.

Niemiecki bzik tropikalny zawierał pierwiastki ideologii hitleryzmu?
Niemiecki kolonializm był uprzedni wobec hitleryzmu, w jakimś sensie stanowił jego prefigurację. Wystarczy prześledzić losy rodziny Goeringów w Afryce, by się o tym przekonać. W Tanzanii walczył też Emil von Zelewski, kuzyn Ericha von den Bach-Zelewskiego – kata Warszawy. Jednocześnie pierwsze niemieckie obozy koncentracyjne zakładane były w Niemieckiej Afryce Wschodniej, czyli dzisiejszej Tanzanii, czy w Niemieckiej Afryce Zachodniej – obecnej Namibii.

Afryka to kontynent z przyszłością?
Myślę, że na pewno. Świadczą o tym chociażby prognozy demograficzne. Jednocześnie nasze postrzeganie Afryki nie tylko jest niepełne, ale też tendencyjne. Między innymi za sprawą wymyślonego przez spin doktorów rzekomego zagrożenia migracyjnego. Tutaj warto wspomnieć, że Europę wybiera ledwie ułamek emigrantów z Afryki. Chiny, Indie, kraje arabskie, słowem: Azja wydaje się im znacznie bardziej interesująca. Na mariażu z Afryką, kontynentem przyszłości właśnie, gasnąca Europa mogłaby jedynie zyskać. Niemniej, by to zrozumieć, trzeba nie tylko mieć wyobraźnię wykraczającą poza wąski krąg zachodniej kultury, ale również należy do Afryki jeździć, aby zobaczyć, jak dynamicznie się rozwija…

ROZMAWIAŁ
TOMASZ ZB. ZAPERT

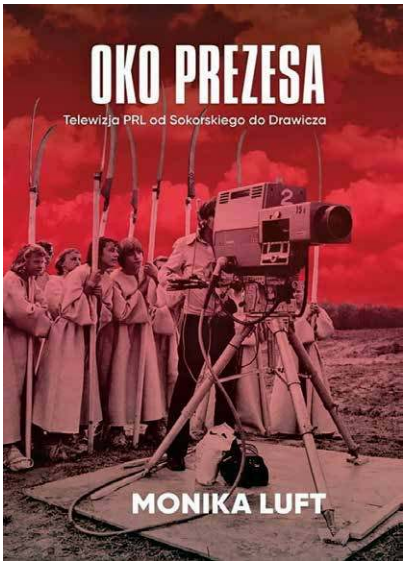
eprasa.pl c27f1fba1f

W telewizji pokazali



Ostatnio pojawiło się sporo książek, które czytam nieco inaczej niż kiedyś. Nawet nie ze względu na nie same, raczej z powodu własnego wieku tudzież prywatnych doświadczeń. Że dotyczy ów tryb odszyfrowywania spraw rynku wydawniczego i rzeczy ściśle literackich, wie ten, kto coś tam wiedzieć o mnie powinien. Przez całe zawodowe życie, a poniekąd i wcześniej, dotyczą mnie książki w rozmaitych konfiguracjach, kształtach oraz jakościach. Moja córka, pytając kiedyś, czy posiadamy w domu jakiś tom, gdy usłyszała, że owszem, zamruczała: „Dlaczego mnie to nie dziwi…?!". Dziecko przesadza. Tylko troszeczkę.

Notabene dla filologa, a uprawiam taki zawód, ciekawsze bywają teksty drugo- lub wręcz trzeciorzędne, bo ujawniają mnóstwo, choćby warsztat autorów. Fachowcy lubią, przynajmniej powinni lubić, dekonstruowanie magii. Wystarczy wziąć genialnego Prusa i zejść z wyżyn kanonicznych dzieł (czyli „Lalki" oraz „Faraona") do poziomu rozczulających dziś naiwnością „Emancypantek", a tym bardziej kompletnie zapomnianej powieści „Dzieci", aby sporo ciekawych spraw „prusologicznych" zrozumieć. U Sienkiewicza też inaczej niźli Trylogia czy „Krzyżacy" przemawia „Rodzina Połanieckich" lub słabiutkie „Wiry", powieści odsłaniające szczegóły warsztatu.



Ale do rzeczy. Felieton nie dotyczy literatury *sensu stricto*, lecz szeroko rozumianego życia kulturalnego PRL-u. Cóż, trochę o nim wiem, nawet kiedyś wykładałem studentom warszawskiej polonistyki taki przedmiot. Natomiast chyba nie zajmowałem się dotąd sprawami telewizji. Mam ze szklanym okienkiem sporo doświadczeń, choć nie zasadniczych może; zawsze wolałem bardziej mikrofon radiowy niż kamerę telewizyjną. Wszelako osobiście telewizja zaczęła mnie dotyczyć nieco intensywniej we wczesnych latach siedemdziesiątych, kiedy statystowałem dla pieniędzy oraz z ciekawości w Teatrze Wielkim. Zwerbowano wtedy grupę takich jak ja statystów z opery do udawania tłumu w wielkiej propagandowej imprezie „Warszawa Moskwie, Moskwa Warszawie". Coś w rodzaju widowiska po części plenerowego odbywającego się w centrum stolicy. Wtedy poznałem słynnego na cały świat Marka Bernesa, który, obejmując mnie oficjalnie przyjaznym radzieckim ramieniem, w większej gromadzie kroczył w okolicy Domów Towarowych Centrum, śpiewając równie słynną jak on sam pieśń „Serce". Przez dekady, może wciąż, wielki radziecki przebój. Epizodzik, ale uświadomił mi, jak działała wielka machina medialna powołana przez ówczesnego prezesa telewizji, Szczepańskiego, po cichu zwanego „krwawym Maciusiem". Spoglądałem od środka, obserwując zachłannie. Później, w latach osiemdziesiątych, kiedy intensywnie i na dekady związałem się z radiem, telewizja też mnie jednak troszkę dotyczyła. Prowadziłem teleturniej paremiologiczny w ośrodku warszawskim, pod tytułem „Mądrej głowie dość dwie słowie". To się chyba tak nazywało. No i konsultowałem, pisałem pytania oraz jurorowałem w czternastu odcinkach „Wielkiej Gry". Aha, wspólnie z Bożeną Dykiel współprowadziłem wielogodzinny niedzielny blok programowy, zdaje się pod nazwą „Popołudnie ze Studiem Dwa". Itd., itp. Wtedy miałem okazję dokładnie spenetrować zakamarki gmachu przy Woronicza. No a w latach dziewięćdziesiątych zaproponowano mi stworzenie i prowadzenie w Dwójce programu poświęconego poezji, który nazwałem „Oddech". Do dziś żałuję, że mój znajomy (ale nie kolega!) ze studiów, Jurek Kapuściński, rządzący wtedy publicystyką kulturalną w tej jaczejce, zdjął „Oddech" po emisji dwóch z czterech nagranych programów, aby w jego miejsce władować własne coś. Zdaje się filmowego. Zero zdziwienia. Telewizja zawsze kierowała się zasadami kumoterstwa. Moje kontakty nie wystarczyły, abym się ostał, mimo dobrych recenzji „Oddechu". Żałuję o tyle, że pewnie nie zachowały się zapisy dwóch nagranych „półkowników", szczególnie trzeciego – z udziałem między innymi Ryszarda Krynickiego, bo omawialiśmy ciekawe sprawy dotyczące tak zwanego drugiego obiegu literackiego w czasach Gierka. Przeszło, zniknęło.

Wszystko to wspominam, aby uwiarygodnić wstępną uwagę, że z przeszłości telewizji coś tam rozumiem. Miało to znaczenie podczas lektury książki napisanej i opatrzonej niezwykle obfitymi przypi- ▸

eprasa.pl c27f1fba1f

sami przez Monikę Luft, związaną przez długie lata z telewizją. Przez lata i znacznie obficiej niż ja, nieboraczek. Tom nosi tytuł „Oko Prezesa. Telewizja PRL od Sokorskiego do Drawicza" (LTW, Łomianki 2025). Autorka zadziwiła mnie pracowitością, starała się szczegółowo odtworzyć dzieje medium, podzielone na etapy zarządzane przez kolejnych władców gabinetu prezesa. To bardzo porządnie napisana książka, choć pani Luft nie ustrzegła się błędów czy zbytniego subiektywizmu. Nie jest prawdą, że początki telewizji datować trzeba na rok 1953, pierwsze eksperymentalne programy produkowano już w roku 1938. Wątpię także, aby na początku telewizji powojennej panowała tak sielska anielska atmosfera w zespole, jaką przywołuje Monika Luft. Wszelako cały tom wart jest lektury, sporo mówi o porządkach i sprawach tej instytucji. Nawet jeśli pomija w przypadku pierwszego szefa, czyli Włodzimierza Sokorskiego, słynne anegdoty na temat kanapy, na której zwykł testować przydatność aspirujących do posad wszelkich młodych żeńskich kadr. Na temat swoich romansów konfabulował były już prezes naprawdę obficie. O ostatnim z zarządców PRL-owskiej tv, czyli Andrzeju Drawiczu, też można by powiedzieć sporo bez wątpienia dobrego, gdyby nie mrożący mnie fakt, że z akt IPN wyłonił się TW Kowalski… Moja osobista obsesja, nie znoszę donosicieli…Prezesów było w sumie dziesięciu, dziewięciu aparatczyków, co podkreśla pani Monika, choć bardzo różnej klasy. Ja cenię kompetencje Andrzeja Kurza, bardziej zasłużonego na fotelu szefa Wydawnictwa Literackiego, chociaż rzeczywiście nieodrodnego produktu epoki socjalizmu nierealnego i realnego także. Swoją drogą wszyscy bez wyjątku prezesi telewizji zapętleni byli z aparatem bezpieczeństwa, a pracowników tej instytucji dotyczy to zapętlenie w równie wysokim albo i wyższym stopniu. Trochę w „Oku Prezesa" napomknień jest. Skłonny byłbym nawet postawić tezę, że kabli w telewizji było może więcej niż w środowisku literackim. Nawet po wstrząsającym opracowaniu Stanisława Beresia „Niepamięć. O literaturze polskiej XX wieku", które zresztą w „Magazynie Literackim KSIĄŻKI" przywoływałem osobno. Tam wyłania się pisarska psiarnia agencji ucho.

Przypomnę jeszcze na koniec świetną, do końca PRL-u zakazaną piosenkę Jacka Kleyffa „Telewizja", rozpoczynającą się od słów: „W telewizji pokazali, a uczeni podchwycili, że jednemu psu gdzieś w Azji można przyszyć łeb od świni…". Niech mi Jacek wybaczy, lecz u niego w domu, w innych zupełnie czasach, mogłem sobie z sympatią żartować ze wspaniałego barda, bo telewizor włącza Kleyff chętnie. Czekamy na stosowną pieśń.

TADEUSZ LEWANDOWSKI





fot. Dyrdaś Pońc

Malowanie piórem

Rozmowa
z **JOANNĄ JURGAŁĄ-JURECZKĄ,**
autorką książki
„Czarująca poetka.
O Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej"

Defekt cielesny bohaterki biografii wynikał z błędnej diagnozy tudzież niewłaściwej terapii?
Nie potrafię jednoznacznie odpowiedzieć na to pytanie. Na pewno nie miała idealnej sylwetki, a bardzo chciała się podobać, to oczywiste. Miała śliczną twarz, piękną cerę, otaczał ją jakiś nimb uroku, ale i tajemnicy. Defekt skrywała otulona w szale, etole, zwiewne tiule. Mówiono o nieodpowiednim leczeniu złamania ręki, a potem skrzywienia kręgosłupa. Wiadomo z pewnością, że wiele wycierpiała, poddawana w dzieciństwie i wczesnej młodości różnym, czasem wręcz drakońskim terapiom.

Jej brak formalnego wykształcenia nie powinien zaskakiwać?
Otrzymała staranne wykształcenie, poza tym sama już jako dorosła kobieta uzupełniała wiedzę z różnych dziedzin, które ją szczególnie interesowały. Dziewczyny z jej sfery nie chodziły do szkoły. W dworach szlacheckich, bogatych domach mieszczańskich, w pałacach zatrudniano prywatne nauczycielki. Często pośród nich bywały cudzoziemki, rozmawiające z podopiecznymi na przykład po francusku. Ojciec Lilki, Wojciech Kossak, dbał o to, żeby jego dzieci uczyły się języków. Wiele podróżował, wiedział, że trzeba być otwartym na świat.

Beata Obertyńska akcentowała, że Maria Pawlikowska-Jasnorzewska niepotrzebnie zamieniła pędzel na pióro.
Zwiedziłam niedawno wystawę jej akwarel w Muzeum Literatury w Warszawie. Nie jestem historykiem sztuki i nie potrafię dokonać fachowej analizy, lecz odnoszę wrażenie, że miała duży talent. To jednak nie wszystko, bo jest w jej pracach jakaś subtelna melancholia, czasem satyra, często bajkowe widzenie świata. W „Czarującej poetce" poświęciłam jeden z rozdziałów bajkom pióra Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej. Pozostały w rękopisie, tymczasem odkryłam w nich wątki i motywy ogromnie interesujące. Kiedy więc porównałam je z akwarelami, upewniłam się, że Lilka malowała piórem, a jej akwarele są też jej opowieściami.

„Czarująca poetka" kierowała się w życiu ezoteryką?
Dlatego właśnie powstała moja nowa książka. Doszłam bowiem do wniosku, że słowo „czarująca" ma w jej biografii i twórczości dwa znaczenia. Czarująca, czyli wzbudzająca zachwyt, powabna, uwodząca, ale też, jak głosi słownik języka polskiego, „czyniąca czary". Oczywiście nie traktuję tej definicji dosłownie, niemniej odnoszę wrażenie, że fascynacja Lilki ezoteryką, kabałą, a nawet satanizmem miała większe znaczenie, niż sądzimy. Czasem dość naskórkowo traktuje się tego rodzaju zagadnienia, powtarzając słowa Juliana Tuwima, który nazwał ją czarownicą. Mówi się o czarującej poezji Lilki, o wróżkach i nimfach. Tymczasem chodziło o coś więcej. Tuwima i Pawlikowską-Jasnorzewską łączyło zainteresowanie tak zwaną literaturą demoniczną, diabelską (przywoził ją Lilce na przykład Wojciech Kossak z Paryża, Jan Pawlikowski z Wiednia). Proszę się nie obawiać, nie demonizuję w książce i nie wyolbrzymiam, choć też i nie uważam, że chodziło o śmiesznego diabełka z różkami z dziecinnych bajek.

Od dwóch pierwszych małżeństw dłużej trwały starania prowadzące do ich unieważnień…
Życie uczuciowe Marii można byłoby przedstawić w formie sinusoidy. Wybucha miłość – wielka, pełna namiętności, obietnic, cudów, poetyckich wzlotów. Po jakimś czasie jednak gaśnie, przemienia się w listę żalów i pretensji, w tęsknotę, wreszcie w obojętność. Zyskuje na tym jedynie poezja, bo wszystkie te przeżycia pozostały w wierszach, które wciąż wzruszają zakochanych, porzuconych, zawiedzionych. Bo miłość jest ponadczasowa.

Z Witkacym łączyła ją nie tylko literatura?
Znacznie więcej. Wszedł do rodziny Kossaków poprzez małżeństwo z Jadwigą z Unrugów, kuzynką Lilki. Poza tym imponował zapewne Marii, która miała ambicje zostać ▸

eprasa.pl c27f1fba1f

uznaną dramatopisarką. Spróbowali stworzyć literacki tandem, a ślad jego filozofii i koncepcji twórczych znaleźć można w niektórych utworach. Ona jednak, jak sądzę, tego rodzaju wpływu na Witkacego nigdy nie miała. To on dominował i nadawał kierunek. Doszło pomiędzy nimi także i do próby nawiązania romansu. Sposób, w jaki Witkiewicz ten epizod nazwał w liście do Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, musi co najmniej zdziwić. Był brutalny i pozbawiony delikatności. Chciał w dodatku kierować jej rozwojem intelektualnym, być kimś w rodzaju jej guru i mistrza, ale poetka na to nie pozwoliła.

O względy Marii Morskiej rywalizowała z Antonim Słonimskim oraz… Hanną Iwaszkiewiczową?

Antoni Słonimski odegrał ważną rolę, ale nie w kontekście rywalizacji o względy Marii Morskiej. Przejmująca jest korespondencja oddalonej od Polski w czasie wojny, a potem ciężko chorej poetki z dawnym znajomym z czasów dwudziestolecia międzywojennego. Istotne są również jego wspomnienia opublikowane po śmierci Lilki. Jest jeszcze jeden, dużo mniej znany epizod związany ze Słonimskim. Mam na myśli związek Słonimskiego z Heleną Bołoz-Antoniewiczową, tajemniczą, piękną kobietą, z którą najprawdopodobniej poznała go Maria Pawlikowska-Jasnorzewska. Helena była siostrą Ewy z Kaplińskich Jerzowej Kossakowej, sprowadziła do Kossakówki wróżkę Myrthę Noel i kilku innych znajomych z kręgu ezoteryki, teozofii i masonerii. Lilkę te zagadnienia bardzo interesowały.

A jak określić jej relacje z autorką „Marii i Magdaleny”?

Obie córki Wojciecha Kossaka były ambitne i na pewno nie uważały, że są stworzone do prowadzenia domu. Chciały zaistnieć w świecie sztuki. Zadebiutowały w tym samym roku i w tym samym wydawnictwie. W dodatku razem z kuzynką, Zofią Kossak! Co więcej, zdarzało się, że książki miały tych samych recenzentów! Trzeba sobie szczerze powiedzieć,



że Lilka wypadła najsłabiej. Tymczasem dziś to o niej się pamięta, o niej młodzież uczy się w szkole, ale pamiętajmy, że w roku 1922 odczuła gorycz porażki, bo pierwszy tomik wierszy słabo się sprzedawał. To naturalne, że Magdalena i Maria ze sobą rywalizowały i choć się kochały, wiele razy pomiędzy nimi dochodziło do kłótni. Ze wspomnień wywnioskowałam, że to Magdalena była siostrą bardziej pokorną, ustępowała Lilce, przyjmowała jej uszczypliwe, a czasem wręcz złośliwe uwagi i komentarze. Mówię o tym dlatego, że czytelnicy autobiograficznych książek Magdaleny Samozwaniec: „Maria i Magdalena” i „Zalotnica niebieska”, otrzymują wyidealizowany obraz wzajemnych relacji pomiędzy Lilką i Madzią. Trudno się dziwić, książki powstały z tęsknoty za nieżyjącą już wtedy siostrą.

Miała też brata…

Jerzy Kossak był najstarszym dzieckiem Wojciecha i Marii z Kisielnickich. Został malarzem, tak jak ojciec. Kontynuował rodzinną tradycję i współtworzył krytykowaną „fabryczkę obrazów”. Relacje pomiędzy nim i Lilką nie były idealne, ale zaznaczyć trzeba, że pomagała mu w czasie wojny. Zachowały się listy, w których prosi o wysyłanie paczek do okupowanej Polski, między innymi dla Jerzego i jego najbliższych.

Portugalskiego pilota poderwała listownie?

Kiedy była nastolatką, „Wieczory Rodzinne” (pismo, które systematycznie czytała) opublikowały sensacyjny artykuł o tym, że marzenia o lataniu stają się realne, a samoloty „zdobyły przebojem panowanie nad oceanem powietrznym”. Lilka zawsze marzyła o „pływaniu w powietrzu”, Śniła o tym, pisała i z zachwytem patrzyła na pilotów. Jeśli któryś w dodatku pisywał wiersze, patrzyła z zachwytem i miłością. A portugalski awiator Sarmento de Beires był poetą. Najpierw ze sobą korespondowali, a potem się spotkali.

Szczęście w miłości zagwarantował dopiero inny lotnik…

Trzeci mąż Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, Stefan, pozostał przy niej do końca. Ta relacja najczęściej opisywana jest melodramatycznie. Nie bez powodu. Lotek (tak nazywała go żona), nie tylko nie opuścił jej, kiedy zaczęła się śmiertelna choroba, nocował w szpitalu, żeby towarzyszyć poetce w najtrudniejszych chwilach, po jej odejściu wciąż mówił o Lilce, jakby tylko wyszła na chwilę i miała wrócić. Nie znaczy to, że pomiędzy nimi nie było nieporozumień. Nie jestem pewna, czy i to małżeństwo, jak dwa poprzednie, po jakimś czasie nie zakończyłoby się rozstaniem. Nie było idealnie, a Maria Pawlikowska-Jasnorzewska należała do kobiet wciąż szukających ideału, szczęścia i spełnienia. Życie jednak napisało inny, melodramatyczny scenariusz.

Jej poezje – początkowo marginalizowane – zyskały na wartości dopiero po latach?

To przede wszystkim zasługa jej siostry. Magdalena Samozwaniec w niełatwych czasach PRL-u walczyła o przywrócenie pamięci o Lilce i o jej utworach. Domagała się wznowień tomików poetyckich, pisała o niej, opowiadała podczas spotkań autorskich. Pomagali jej dawni znajomi i przyjaciele Marii z Kossaków Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, zwłaszcza z kręgu przedwojennego „Skamandra”. Nade wszystko jednak zadziałała magia i siła wierszy Lilki. Okazało się, że są ponadczasowe, żywe. Nie umarły razem z nią. ▸

eprasa.pl c27f1fba1f

Sztuki teatralne (na przykład „Baba-Dziwo”, głośna w momencie premiery) okazały się mniej impregnowane na upływ czasu?
Swoje poezje traktowała trochę po macoszemu. Pewnie i dlatego, że krytycy nazwali jej „Pocałunki” prestidigitatorstwem, czymś ulotnym, nietrwałym, nieistotnym. Kuzynka Zofia Kossak, autorka bestsellerowych powieści historycznych, twierdziła, że wiersze Lilki są jak piórka wytrząsane z rękawa i wciąż czekała na coś godnego jej wielkiego talentu. Zatem może byłyby to utwory sceniczne, skoro powieściopisarstwo z powodzeniem uprawiała Zofia, a poczytną satyryczką okazała się Madzia? Z wypowiedzi Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej wynika, że miała ambicje zostać przynajmniej drugą Zapolską (która notabene podarowała jej swoje pióro). Z perspektywy czasu trzeba powiedzieć, że projekt się nie powiódł. W świadomości odbiorców funkcjonuje zdecydowanie w roli poetki, dużo rzadziej dramatopisarki.

Z grona cyganerii II RP wyróżniał ją wegetarianizm?
Nie tylko. Poza tym nie jestem pewna, czy można ją określić mianem wegetarianki. Tylko nią bywała, brakowało jej konsekwencji. A jeżeli chodzi o bohemę, to jedynie się z nią stykała. Pewne jest natomiast, że zrzuciła gorset. Robiła to, czego nie wypadało robić kobiecie z jej sfery, nie przejmowała się, co powie tak zwana opinia publiczna. Chciała być artystką, przesiadywała w Ziemiańskiej wśród Skamandrytów, w papierosowym dymie przysłuchiwała się dyskusji o sztuce, ale ci, którzy na nią wtenczas patrzyli, mówili, że była zdystansowana. Lilka to indywidualistka, samotnica, kobieta pełna tajemnic i niedopowiedzeń.

Czy gdyby nie choroba, wróciłaby do Polski Ludowej?
II wojna światowa się skończyła. Lilka szykowała się do powrotu. Niestety, czekała ją inna podróż. W drogę, z której się nie wraca…

ROZMAWIAŁ
TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT

Autor w szponach hohsztaplerów

Kiedy w kwietniu 1983 roku niemiecki tygodnik „Stern” ogłosił, że zdobył 60 zeszytów rzekomych osobistych notatek Adolfa Hitlera z lat 1932–1945, za które redakcja zapłaciła około 9,4 mln marek zachodnioniemieckich – w tamtych czasach suma rekordowa, odpowiadająca cenie kilkunastu mercedesów najwyższej klasy – nikt nie przypuszczał, że ta sensacja stanie się momentem przełomowym dla światowego dziennikarstwa śledczego. Dziennikarzem, który „odkrył” rękopisy, był Gerd Heidemann, a źródłem miał być rzekomo pilot SS, który uratował zeszyty po katastrofie samolotu w 1945 roku. Już po kilku tygodniach eksperci grafolodzy i historycy zaczęli zgłaszać poważne wątpliwości co do ich autentyczności. Ostatecznie w maju 1983 roku Bundeskriminalamt (federalna policja kryminalna RFN) orzekła, że papier, klej i atrament pochodzą z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych XX wieku. Fałszerzem okazał się grafik i handlarz antykwaryczny Konrad Kujau, który sam napisał wszystkie zeszyty. Gerd Heidemann został skazany na cztery lata i osiem miesięcy więzienia, a Kujau – na cztery lata i sześć miesięcy. „Stern” stracił wiarygodność na wiele lat, a cała sprawa stała się symbolem największej wpadki powojennego dziennikarstwa śledczego. Do dziś „Hitler-Tagebücher” są przytaczane jako klasyczny, podręcznikowy przykład tego, jak łatwo można oszukać nawet bardzo poważne media, gdy żądza sensacji przewyższy zdrowy sceptycyzm. Historia notatek Hitlera pokazuje, że trzeba być czujnym, bo wiarygodność można stracić bardzo szybko. W 2023 roku, w 40. rocznicę skandalu, „Stern” udostępnił nawet podcast „Faking Hitler”, w którym sam wrócił do tematu – czym pokazał, że choć rana goi się długo, to magazyn potrafi już o niej mówić otwarcie. Pełne zaufanie do gazety wróciło po dekadzie ciężkiej pracy, ale cień afery nadal jest rozpoznawalny w dyskusjach o mediach. A „dzięki” tej aferze dziennikarze stali się czujni. Nie oznacza to jednak, że zdemaskowanie Heidemanna i Kujaua zniechęciło hochsztaplerów i mitomanów.


Fot. Maja Nowak

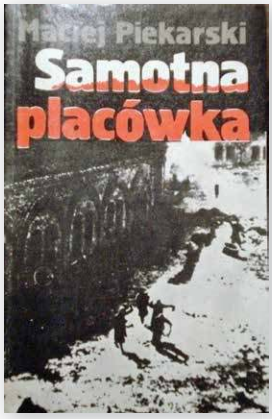
W 1989 roku mój ojciec Maciej Piekarski opublikował książkę „Samotna Placówka” poświęconą obronie Fortu Czerniakowskiego we wrześniu 1939 roku. Znalazła się w niej taka historia: „Wśród bohaterskich oficerów obrońców Sadyby i fortu znajdował się jeden porucznik, którego postawa szczególnie mnie zainteresowała. Poszukiwałem go. Odnalazłem w książce telefonicznej człowieka o tym samym nazwisku. Zatelefonowałem, wyjaśniłem, o co mi chodzi. Tak, to on, przyznał. Obecnie jest pułkownikiem rezerwy. Umówiłem się na spotkanie, wziąłem magnetofon. Przywitał mnie nobliwie wyglądający starszy pan, obwieszony licznymi orderami i innymi odznaczeniami. Kilka grzecznościowych ▸

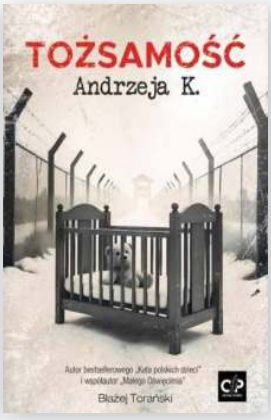
eprasa.pl c27f1fba1f

słów, a potem opowieść. Najpierw o Powstaniu Śląskim, potem o Polskiej Armii Ludowej. Cierpliwie słuchałem, czekając na opowieść o Sadybie, opowieść o forcie. Dyskretnie staram się naprowadzić rozmówcę na interesujący mnie temat, ale bez skutku. Pytam o towarzyszy broni, wymieniam nazwiska oficerów i podoficerów, nazwisko dowódcy batalionu. Żadnej reakcji na twarzy. »Nie pamiętam... To tyle lat upłynęło!«, pada odpowiedź. Pytam dalej, jak było w momencie zdobywania fortu. Miał on być według posiadanych przeze mnie relacji przy cekaemie. Pytam wreszcie, w której był kazamacie. »W tej centralnej. Najważniejszej. Było to straszne, kazałem się przywiązać do cekaemu. Strzelałem do ostatniego naboju. Gdy odzyskałem przytomność, byłem w szpitalu na Płockiej«. Cóż miałem robić. W tej centralnej, najważniejszej kazamacie, trwał do końca Michał Małecki. Mam na to dowód. Wyłączyłem dyskretnie magnetofon, podziękowałem, posiedziałem jeszcze chwilę, zamieniłem kilka grzecznościowych słów o zdrowiu, o pogodzie i wyszedłem. Wracając do domu, miałem przed oczami nagrobne płyty w kwaterze wojennej cmentarza Wilanowskiego, pod którymi spoczywa 90 nieznanych, a jednak prawdziwych bohaterów zmagań o fort". Jest to dla mnie traumatyczna historia podszywania się pod czyjeś bohaterstwo, ale sprawa dzienników Hitlera wyostrzyła uwagę i mojego ojca, który pisząc swoje artykuły, drążył do spodu, a rozmawiając z uczestnikami walk, weryfikował ich opowieści i często konfrontował ze sobą nawzajem. Mam w pamięci to wszystko, bo jako mała dziewczynka podawałam tym panom herbatę, a czasem spisywałam wywiady z taśmy, by pomóc ojcu w pracy. Zapewne dlatego jestem wyczulona na mitomanię i hochsztaplerstwo.

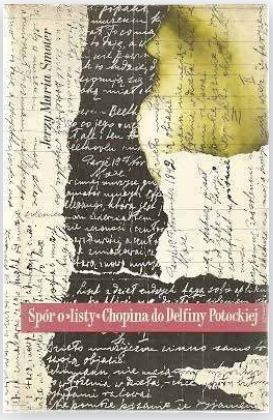
Jakiś czas temu przeczytałam w „Angorze" recenzję Jacka Binkowskiego zaczynającą się od słów: „Taki bohater to skarb dla reportera. Jako niemowlak przez kilka miesięcy był ukrywany w esesmańskiej pralni w obozie koncentracyjnym Stutthof na Pomorzu. Ponoć jakiś esesman wywiózł go i chłopiec trafił do niemieckiego sierocińca, gdzie miał być germanizowany. Po wojnie zaś został adoptowany przez polską rodzinę, ojciec był znanym filmowcem". I już wiedziałam, że muszę przeczytać książkę Błażeja Torańskiego „Tożsamość Andrzeja K.", bo... znam bohatera. Opowiedział mi swój życiorys i poinformował, że powstaje o nim książka. Zostałam przez niego obdarowana kserokopiami dokumentów poświadczonych notarialnie. Dość szybko zwróciłam uwagę, że to, co znajduje się w kserokopiach, w ogóle się nie klei! Tłumaczenie traumami przyjmuję do wiadomości, ale to, co mnie najbardziej zastanowiło, to fakt, że bohater zajął się tym wszystkim dopiero wtedy, gdy nie żył już nikt, kogo można byłoby spytać o prawdę i kto mógłby cokolwiek powiedzieć. Jego adopcyjni rodzice leżą na cmentarzu, podobnie jak pracownicy sierocińca czy większość więźniów ocalałych z obozu Stutthof. Zresztą dziś sam bohater ma już przecież przeszło 80 lat, zaś tematem swoich narodzin w obozie zajął się dopiero 20 lat temu... czyli trochę późno. No, ale książka ukazała się, a ja pochłonęłam ją w niespełna dwie godziny i stwierdziłam, że mój ojciec byłby nią zachwycony, bo stanowi wzorcowy przykład weryfikacji mitomanii. Bohatera mi żal, bo wiem, że prawdę odrzuca. Choć zastanawia mnie, czemu upiera się przy takim micie. Autora również mi żal, bo pisząc nie to, czego oczekiwał ów bohater, ma w nim na zawsze wroga. Szczególnie że mimo ukrycia pod nazwiskiem Kruk można go łatwo zidentyfikować. Czy jednak badając tożsamość Andrzeja K., Błażej Torański zmarnował czas? Moim zdaniem nie. Książka powinna być obowiązkową lekturą na studiach dziennikarskich i studiach reportażu. Proces dekonstrukcji opowieści bohatera, przeprowadzony nie tylko poprzez rozmowy z fachowcami i naukowcami, ale nawet samym bohaterem, czyta się jednym tchem. Jest to demitologizacja na najwyższym poziomie!

Zaraz po lekturze „Tożsamości Andrzeja K." sięgnęłam po książkę dość podobną tematycznie, bo zatytułowaną „Walizka Mengelego. Anatomia oszustwa" prof. Bogdana Musiała. Opowiada ona o jednym z najbardziej zuchwałych i perfidnych fałszerstw









eprasa.pl c27f1fba1f

związanych z historią Holokaustu, które miały miejsce w ostatnich dekadach. Oto w 2014 roku autor – słynny historyk – otrzymał informację o odnalezieniu w szwajcarskim banku w Zurychu tajemniczej walizki (a właściwie kilku paczek w skrytce depozytowej), która miała zawierać zapiski, notatki i materiały z eksperymentów Josefa Mengelego w Auschwitz. Materiały te rzekomo należały do węgierskiego żydowskiego lekarza – przymusowego współpracownika „Anioła Śmierci" – dziadka zgłaszającej sprawę profesor Magdaleny Nicoletty Kaiser-Szentgothay. Początkowo sprawa wzbudziła ogromne emocje – wydawało się, że wreszcie odnaleziono zaginione dokumenty z najokrutniejszych pseudonaukowych eksperymentów Mengelego na więźniach, w tym na bliźniętach, karłach i osobach z anomaliami. Szybko jednak zaczęły pojawiać się wątpliwości co do autentyczności tych materiałów. Profesor Musiał, jako doświadczony badacz Holokaustu, przeprowadził szczegółowe śledztwo i dowiódł, że cała historia to misternie skonstruowane oszustwo, za którym stoi Magdolna Kaiser (wcześniej Beretka), która chciała zyskać sławę, pieniądze i status wnuczki ocalałego z Auschwitz żydowskiego lekarza współpracującego z Mengelem. Publikacja prof. Musiała to pasjonująca historia docierania do prawdy i demistyfikacji oszustwa, pokazująca, że zdrowy sceptycyzm i krytyczna analiza źródeł pozostają podstawowym narzędziem historyka.

Jednak mitomania w wykonaniu Andrzeja K. czy Magdolny Kaiser, albo ta wcześniejsza – Heidemanna i Kujaua, nie jest niczym nowym i wbrew pozorom nie wiąże się tylko z Holokaustem, II wojną światową itd. Historia zna już takie przypadki. Jednym ze sztandarowych przykładów jest sprawa rzekomych listów Chopina do Delfiny Potockiej, uchodząca za najsłynniejszą mistyfikację w polskiej kulturze. Listy wypłynęły zaraz po wojnie, gdy ziemianka z Wileńszczyzny i wielka wielbicielka Chopina – Paulina Czernicka pokazała światu odpisy kilkunastu rzekomo nieznanych listów. Teksty te szokowały – były bardzo erotyczne, momentami wulgarne, zawierały dosadne opisy intymnych zbliżeń i wyraźne, ostre sformułowania antysemickie. Przez kilkanaście lat dzieliły środowisko chopinologiczne na dwa obozy, bo część badaczy, na czele z Mateuszem Glińskim, długo broniła ich autentyczności. Z czasem jednak wyszły na jaw liczne dowody fałszerstwa, jak anachronizmy językowe i pojęciowe, na przykład freudowska koncepcja sublimacji popędu seksualnego, zupełnie obca dla połowy XIX wieku. Ponadto ich styl erotyczny jest dużo bliższy literaturze międzywojennej niż romantycznej korespondencji Chopina. Na dodatek kompozytor w tych tekstach entuzjastycznie wypowiada się o Norwidzie, którego w tamtych czasach prawie nikt nie cenił. Techniczne badania fotokopii pokazały, że to klasyczny fotomontaż – fragmenty autentycznego pisma Chopina zostały wycięte i połączone z dopisanymi zdaniami. Wreszcie sprawę zamknęły ekspertyzy kryminalistyczne. Dziś Narodowy Instytut Fryderyka Chopina i wszyscy poważni badacze traktują te listy jako bezsporne fałszerstwo XX wieku, stworzone najprawdopodobniej przez samą Paulinę Czernicką, kierowaną mieszanką romantycznej fascynacji Chopinem i zapewne pragnieniem sławy. Czernicka popełniła samobójstwo w roku 1949, kiedy przypadała setna rocznica śmierci Chopina. Kluczową rolę w demaskowaniu mistyfikacji odegrał Jerzy Maria Smoter. To on w 1967 roku wydał książkę pt. „Spór o »listy« Chopina do Delfiny Potockiej", w której zebrał i przeanalizował wszystkie dotychczasowe argumenty przeciwko ich autentyczności. Jego praca, poszerzona w drugim, pośmiertnym wydaniu z 1976 roku, stała się jednym z najważniejszych argumentów, które ostatecznie przekonały większość chopinologów do uznania listów za fałszerstwo. Dzięki Smoterowi i innym badaczom sprawa, która przez lata dzieliła środowisko, została definitywnie zamknięta jako klasyczny przykład literackiego apokryfu XX wieku. W mojej rodzinie interesowaliśmy się tymi listami, między innymi z tego powodu, że moja cioteczna prapraprapraprababcia Paulina Nieszkowska była wspominana przez kompozytora w jednym z jego listów do przyjaciela Tytusa Wojciechowskiego. Chopin pisał o niej: „Byłem w Kaliszu na jednym wieczorze, gdzie była Pani Łączyńska i panna Biernacka. Wciągnęła mnie do tańca, musiałem mazura tańczyć, i to z ładniejszą od niej, a przynajmniej równie piękną panną Nieszkowską Pauliną". Dlatego publikacja Smotera uchodziła u nas za kultową. Pamiętam, że byłam jeszcze małą dziewczynką, gdy dyskutowano na jej temat podczas jakiegoś rodzinnego przyjęcia, wychwalając nie tylko mrówczą demaskatorską pracę autora, ale też to, jak wspaniale czyta się jego książkę.

Bo z hochsztaplerstwem i mitomanią jest tak, że z jednej strony są ohydne, ale z drugiej fascynujące. Gdy więc staną się tematem publikacji, nie sposób się od nich oderwać, zwłaszcza gdy są to pozycje dobrze napisane. Błażej Torański i Bogdan Musiał napisali świetne książki. „Walizka Mengelego" Bogdana Musiała zawiera też we wstępie trzy niezwykle ważne zdania. Brzmią one: „Oszuści są w stanie doprowadzić swoje ofiary do utraty zmysłów. Wciągają je w misterną grę prawdy i kłamstwa, która sprawia, że oni sami czują się bardziej interesujący, a ich historie często wydają się także zabawne. Podważają zdrowy ludzki osąd, zwłaszcza wtedy, gdy ich konfabulacje dotykają tego, co niewyjaśnione lub traumatyczne". I warto te trzy zdania zapamiętać, bo zawsze możemy spotkać na swojej drodze kogoś takiego jak oszust vel mitoman.

MAŁGORZATA KAROLINA PIEKARSKA

eprasa.pl c27f1fba1f



fot. Archiwum wydawcy

Odkodowywanie pamięci

Rozmowa z **MAŁGORZATĄ NIEZABITOWSKĄ** i **FELIKSEM FALKIEM** o wspólnej publikacji „Na wzburzonych falach. Dwa światy w jednej rozmowie”

Skąd wziął się tytuł waszej wspólnej książki?

Feliks Falk: Życie, jak wiemy, nie płynie po spokojnej tafli morskiej. Fala jest czymś w rodzaju sinusoidy, czyli jak po angielsku się mówi: *up and down*, raz na górze, raz na dole, i to miał być pewien skrót myślowy oddający sens naszej książki.

Małgorzata Niezabitowska: Szczególnie że i w twojej, i w mojej biografii jest wiele momentów zmiennych, niekiedy dość skrajnych, od dramatów do szczęścia. A dwa światy – ponieważ pochodzimy z diametralnie różnych środowisk. Ja wyrosłam w rodzinie byłych ziemian, antykomunistycznej i katolickiej, z dziadkami, którzy przekazali mi system wartości. Natomiast dzieciństwo i nastoletniość Felka upłynęły z rodzicami, którzy jako komuniści odrzucili tradycje swoich żydowskich przodków, a nowych nie stworzyli, zaś on był poddany w szkole stalinowskiej indoktrynacji.

Wasze życiorysy są niezwykle bogate i ciekawe. A poznaliście się jako dorośli ludzie…

MN: I to dodatkowo świadczy o nietypowości naszej przyjaźni, a zarazem o jej mocy, gdyż nie wynika ona z nostalgii za dzieciństwem czy wczesną młodością, często będącej fundamentem relacji. Dorastasz z kimś, łączą was wspomnienia ze szkoły, ze wspólnych zabaw, wycieczek, różnorodnych przygód. Z dzisiejszej perspektywy niektóre mogą być oceniane raczej negatywnie, ale że kojarzą się z takimi szczenięcymi latami, darzysz je nadal sentymentem. U nas było inaczej, choć wciąż byliśmy młodzi, ja miałam 24 lata, Felek osiem więcej. Poznaliśmy się w marcu 1973 roku w Kazimierzu. Felek był ze swoją żoną Mariolką i małą córeczką, ja przyjechałam tam z ich znajomym, Włodkiem, moim ówczesnym narzeczonym. Od tamtej pory spotykaliśmy się w czwórkę. A kiedy kilka lat później wyszłam za mąż za Tomka, byliśmy już zaprzyjaźnieni, on zaś szybko dołączył do przyjacielskiego kwartetu.

A pana odczucia? Kiedy poznał pan panią Małgosię…

FF: Widziałem ładną dziewczynę, lecz to było przy obiedzie, przy schabowym, więc…

MN: …ty mówisz o Stowarzyszeniu Architektów Polskich. Trzeba bowiem dodać, że Felek zapamiętał jako początek znajomości wcześniejsze wydarzenie, które jednak nie miało kontynuacji.

FF: Tak, mówię o SARP-ie. W podziemiu tej organizacji, gdzie była tania knajpa, poznaliśmy się przez Piotra Andrejewa. Kazimierz zdarzył się nieco później. I jak zawsze z przyjaźnią, to był pewien proces. Najpierw musimy się lepiej poznać i zacząć się sobą interesować. Musi być jakiś powód, który zacieśni relacje. To było już tak dawno, że konkretów nie pamiętam. Bo spotkania spotkaniami, ale były różnego rodzaju imprezy towarzyskie, mieliśmy wspólnych znajomych i siłą rzeczy od pewnego momentu kontakt między nami stawał się częstszy.

MN: Chciałabym też podkreślić, że Felka i moja przyjaźń rozwijała się równolegle do bardzo serdecznych i ścisłych więzów, jakie powstały między całymi rodzinami, czego najlepszym dowodem jest to, że Mariolka została matką chrzestną mojej jedynej córki.

FF: Ta bliskość i zaufanie potwierdziły się w stanie wojennym.

MN: Kiedy włączyliśmy Mariolkę do naszych akcji konspiracyjnych. Tylko ją, gdyż Felek był na stypendium w Ameryce.

I wasza przyjaźń trwa prawie pół wieku. Dlaczego zatem teraz pomysł na wspólną książkę?

MN: Pomysł był Felka, który uznał, że nadszedł czas, kiedy powinniśmy wyjaśnić sobie kilka spraw, wypełnić pewne luki, a także zderzyć nasze światopoglądy, nasze postawy, reakcje, emocje, zwłaszcza że on może powiedzieć mi znacznie więcej niż komuś innemu. Poprzednio, spotykając się, rozmawialiśmy spontanicznie na aktualne tematy. Natomiast dwa lata temu postanowiliśmy zrobić to w sposób uporządkowany, dogłębny, nawzajem się przepytując. Założeniem było, że rozmawiamy nie do druku, bez wewnętrznej cenzury czy jakichś barier, bo że szczerze, to była oczywista oczywistość. A o tym, czy ▸

eprasa.pl c27f1fba1f

będzie z tego książka, zdecydujemy na końcu.

FF: I, co ciekawe, ja sobie nie mogę przypomnieć, czy kiedykolwiek był jakiś konflikt między nami.

MN: Kłótni nie było, były spory, które zostały dokładnie oddane w książce. Czasami dochodziliśmy do wspólnej konkluzji, czasami pozostawaliśmy przy swoim zdaniu.

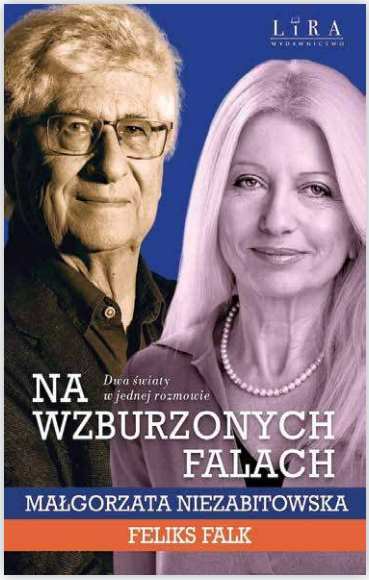
À propos dyskusji, to w książce jest taki moment, chodzi o 1968 rok, który był dla pani Małgorzaty ważnym zwrotem, a pan się upierał, że nie.

FF: Upierałem się kilka razy i miałem inne zdanie. Ale to dobrze. To nie miała być wzajemna laurka. Konfrontowaliśmy nasze opinie w różnych sprawach.

MN: Laurka była z góry wykluczona. Przeciwnie, staraliśmy się o sobie nawzajem jak najwięcej nowego dowiedzieć, niejednokrotnie dociskając lub – jak przy dyskusji o wierze – zrozumieć nasze zupełnie przeciwstawne postawy. Wracając do Marca '68, który przeżywałam jako studentka drugiego roku UW: emigracja najbliższych przyjaciół była dla mnie prawdziwym dramatem, zaś antysemicka nagonka – moralnym wstrząsem. Doświadczenia te po latach doprowadziły do powstania książki o polskich Żydach, a następnie do mojego zaangażowania w tworzenie muzeum ich historii, od samego początku, od lat dziewięćdziesiątych, aż do dzisiaj, gdy kolejny raz jestem członkinią Rady Muzeum Polin. Zależało mi więc, żeby Felek zrozumiał, czym dla mnie były wydarzenia marcowe, w których od pierwszego dnia uczestniczyłam, i jak wpłynęły na moje dalsze wybory życiowe. Nie udało się, i to akurat sprawiło mi przykrość.

Ja tak to odczułam, gdy czytałam.

FF: No, cóż, Małgosia ma prawo tak czuć, to wyraźnie wynika z pewnych emocji, których być może ja nie rozumiem. A temat Marca '68 wiązał się również z pojęciem „zwrotu", czyli wydarzeniem, które miało na nas



decydujący wpływ. Trudno mi było uwierzyć, że po tej marcowej awanturze radykalnie zmieniła swoje życie. Tu bardzo różniliśmy się, dlatego że dla Małgosi to był jeden z punktów krytycznych, a ja to rozumiałem inaczej. Myślałem przy tym, że w życiu można mieć najwyżej dwa ważne zwroty.

MN: A oboje mieliśmy ich więcej. Ja nawet dużo więcej. Już w dzieciństwie przeżyłam dwie ogromne tragedie, śmierć mamy i wkrótce babci, która przejęła nade mną opiekę. Ale i ty doświadczyłeś kilku momentów przełomowych – ciężka choroba, zmiana zawodu, małżeństwo, wielki sukces „Wodzireja"…

Nie doszliście też do zgody w rozmowie o miłości.

MN: Mamy rozbieżne zdanie co do zazdrości, którą Felek uważa za ważny składnik miłości, a ja za zupełnie zbędny. Ponieważ okazało się, że oboje byliśmy kochliwi, sporo czasu poświęciliśmy temu tematowi, poczynając, i to całkiem poważnie, od przedszkola. Oboje uznaliśmy, że każde zakochanie jest ważne i jakoś się w nas odkłada. I tu Felek zaskoczył mnie, gdyż nie podejrzewałam, że na tym wczesnym etapie był miłosnym konspiratorem, kochał w ukryciu.

FF: Tak było. Zaskakujące również było, choć w innym sensie, że przy takich rozmowach odblokowywała się pamięć. Pewne rzeczy z czasem się zacierają, lecz przy dociekliwych pytaniach niespodziewanie otwierają się jakieś klapki.

MN: Ująłeś to w pewnej chwili trafnie, że odkodowuje się pamięć.

FF: Małgosia ma bardzo dobrą pamięć, więc to ona pamięta najwięcej.

MN: Ale ty, właśnie zgodnie z tym procesem odkodowywania, mnóstwo sobie przypomniałeś.

FF: A że nam się bardzo dobrze rozmawiało, to po transkrypcji nagrań wyszło osiemset stron i trzeba było eliminować fragmenty.

MN: Czasami z ciężkim sercem, lecz chcieliśmy oszczędzić bólu od nadmiaru naszym czytelnikom.

A kto wpadł na pomysł, żeby tak ładnie łączyć kolejne rozdziały?

FF: Muszę powiedzieć, że Małgosia, która kontrolowała cały ten układ.

MN: Odbyliśmy 24 spotkania, podczas których staraliśmy się trzymać głównego tematu, lecz co i raz ciągnęło nas w inną stronę i dopiero po pewnym czasie powracaliśmy na pierwotny szlak. Felek stwierdził wręcz, że idziemy śladem „Rękopisu znalezionego w Saragossie" Potockiego, gdy jedna historia uruchamia drugą i tworzy się opowieść szkatułkowa, z tą różnicą, że u nas jest to non-fiction.

FF: Mnie zresztą nie przeszkadzały te skoki w bok, bylebyśmy nie odbiegali za daleko i nie zgubili głównego wątku.

MN: Te dygresje były często bardzo interesujące, stąd problem przy redagowaniu, nadaniu książce ostatecznego kształtu – tak aby zachować pewną logikę całości, nie tracąc autentyczności i dynamiki naszych rozmów, a zarazem nie przekroczyć objętości pięciuset stron. No, ale jakoś udało się sporo tych szkatułkowych wtrętów zachować.

I nie rozbija to całości, jest spójna.

MN: Ważne i pomocne było również to, że rozmowy na zasadnicze tematy przeplataliśmy luźniejszymi wątkami, jak dla przykładu w rozdziale „Muzyka i moda". I jeszcze jedna bardzo ▸

eprasa.pl c27f1fba1f

istotna sprawa – książka ma formę dialogu, w który starałam się jak najmniej ingerować. Poza niezbędnym czyszczeniem powtórzeń niczego nie wygładzałam ani nie sklejałam wypowiedzi, gdy sobie przerywaliśmy, wchodziliśmy w słowo. I cieszą mnie wielce opinie czytelników, ponieważ przyznają często, że podczas lektury czuli się oni tak, jakby siedzieli razem ze mną i Felkiem i przysłuchiwali się z bliska naszym rozmowom.

Dla mnie książka jest wspomnieniową podróżą przez lata sześćdziesiąte, siedemdziesiąte, osiemdziesiąte, które znam lepiej lub gorzej, natomiast dla młodego czytelnika będzie fantastycznym wprowadzeniem w historię Polski drugiej połowy XX wieku.

MN: To proszę zareklamować naszą książkę młodym ludziom. Zgadzam się, że jej żywa struktura może ułatwić poznanie najnowszej historii naszego kraju, o której niestety w szkołach nie uczą wcale lub słabo.

Moim zdaniem jest to także świetny materiał na film, który można przeplatać archiwalnymi dokumentami i nagraniami.

FF: Staraliśmy się unikać tonu edukacyjnego.

MN: W ogóle nie ma edukacyjnego tonu. Strzegliśmy się pilnie, żeby się nie wymądrzać ani nie prowadzić akademickich dysput. Przyznaję, było to o tyle łatwiejsze, że z powodów rodzinnych, zawodowych i czasów, w których przyszło nam żyć, mieliśmy o czym opowiadać. Dlatego mogliśmy w książce odsłaniać kulisy konspiracji w stanie wojennym i zmagań z cenzurą, pracy nad filmami i pracy w rządzie.

FF: I dlatego też historia Solidarności czy roku 1989 lub lat dużo wcześniejszych wyraża się bardziej przez człowieka, czyli przez nasze biografie.

To jest kawał historii Polski podany w normalny, ciepły sposób.

MN: W swojej recenzji krytyk teatralny Władysław Kowalski napisał, że czytając „Na wzburzonych falach", miał wrażenie uczestniczenia w próbie generalnej spektaklu o Polsce, w którym aktorzy przynoszą na scenę nie rekwizyty, lecz swoje biografie.

FF: Miejmy nadzieję, że czytelnicy to docenią.

ROZMAWIAŁA
MAŁGORZATA J. BERWID

MAŁGORZATA NIEZABITOWSKA – dziennikarka, autorka książek, scenariuszy i sztuki teatralnej, reporterka „Tygodnika Solidarność", rzeczniczka prasowa rządu Tadeusza Mazowieckiego.

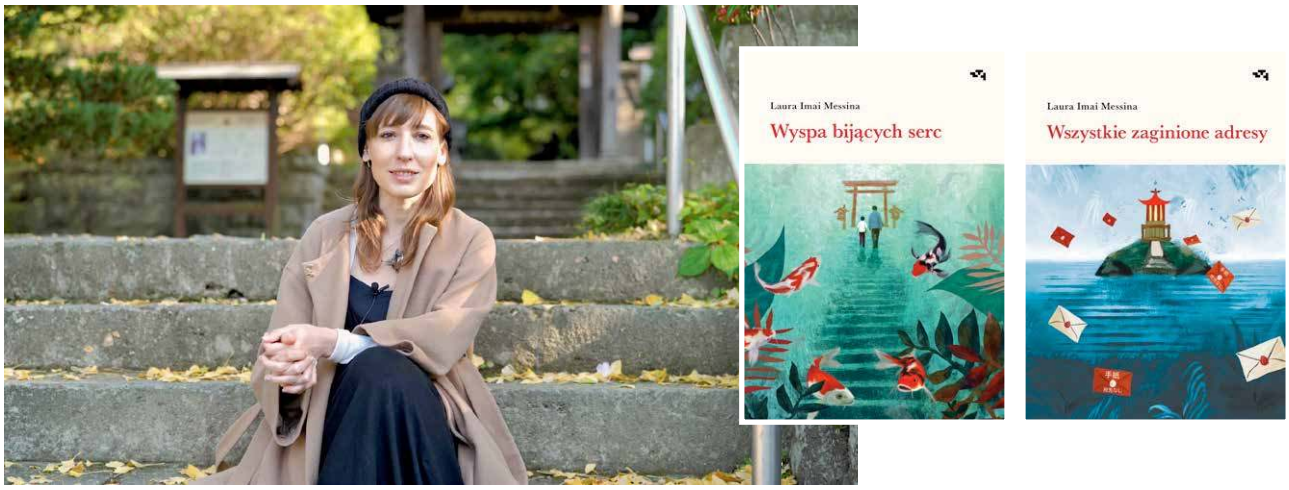
FELIKS FALK – absolwent wydziału malarstwa i grafiki warszawskiej ASP oraz wydziału reżyserii PWSFTviT w Łodzi. Autor sztuk teatralnych i telewizyjnych oraz słuchowisk radiowych, a także autor książek.



eprasa.pl c27f1fba1f

Potrzeba pisania łączy się u mnie z potrzebą rozumienia

Rozmowa z **LAURĄ IMAI MESSINĄ**, włoską pisarką mieszkającą i tworzącą w Japonii, autorką „Wyspy bijących serc" oraz „Wszystkich zaginionych adresów"



Fot. Wyd. Relacja

Japonia to była miłość od pierwszego wejrzenia?
Tak. Zaczęło się od pisma i języka. Szybko zrozumiałam, że japoński nie jest czymś, co da się szybko odczytać i zrozumieć, i to mnie zachwyciło i wciągnęło.

Co sprawiło, że zaczęła pani pisać?
Potrzeba pisania łączy się u mnie z potrzebą rozumienia. Pytania zawsze były dla mnie ważniejsze niż odpowiedzi. Pisanie jest zaś powiększaniem liczby pytań w życiu. Im więcej piszę, tym mocniej zdaję sobie sprawę, jak wiele aspektów danego zagadnienia wcześniej umykało mojej uwadze.

Poza tym nie wszystko kończy się na zapisanej stronie i nie wszystko, co jest zapisane w książce, wyczerpuje temat. Łatwiej to przedstawić jako obraz. Jeśli w geście zaciśniętych palców dłoni zamyka się nasza rzeczywistość, to pisząc, otwieramy się na to, co ją otacza. Wtedy rozumiemy, że jest ona zaledwie małym wycinkiem świata, który nas zainteresował, i dzięki pisaniu jestem w stanie go dostrzec i poznać.

Pisanie jest odkrywaniem?
Jest jak droga. Załóżmy, że mieszkasz przy pewnej ulicy i w jakimś momencie zdajesz sobie sprawę, że takich ulic jak ta, przy której mieszkasz, może być dużo więcej, że jest ich niewyobrażalna liczba. Nawet jeśli nigdy nie dotrzesz na nie, to dzięki pisaniu dowiadujesz się, że one istnieją.

We „Wszystkich zaginionych adresach", ostatniej pani książce wydanej w Polsce, ważną rolę odgrywają listy. Czy pisanie wiadomości tekstowych oznacza koniec pisania listów?
To nie jest tak, że jedna forma komunikacji wyklucza drugą. One mogą równolegle istnieć. Mają różne zalety: jedna jest szybka, a druga zostaje z tobą i wiąże się z uczuciami.

W książce pisze pani: „Nawet bycie kochanym nie wystarcza, by zostać ocalonym od zapomnienia". Jak możemy zatem być zapamiętani?
Tutaj pojawia się u mnie japońskie myślenie, że może wcale nie jest to konieczne, by być zapamiętanym. Wystarczy zaakceptować, że wszystko się po prostu kończy, wszystko mija. Są też rzeczy, które napotykamy w życiu, których nie pamiętamy, a jednak nas zmieniły.

Na przykład?
Dzieciństwo. W dziewięćdziesięciu procentach nie pamiętamy go, ale to ono uczyniło nas tymi, którymi jesteśmy. Na przykład dzięki niemu czujemy się kochani. Oczywiście w tych szczęśliwych przypadkach. Nie pamiętamy na przykład, ile razy został dla nas przygotowany posiłek. Może pamiętamy tylko ▸

eprasa.pl c27f1fba1f

o jakimś niedzielnym obiedzie. Ale to nie zmienia faktu, że byliśmy karmieni kilka razy dziennie i że to pozwalało nam żyć i się rozwijać.

Czytając o losach Risy i jej relacji z matką, miałem wrażenie, że miłość może być źródłem lęku i niepewności…

Według mnie miłość jest pierwszym powodem niepokoju i lęków. Bo jest ona bezpośrednio podczepiona pod życie, a życie jest bolesne i trudne. Tylko osoba, którą kochamy, jest naprawdę zdolna do tego, żeby nas zranić. W związku z tym, najbliżsi i rodzina mają wielką siłę, bo mogą nas zranić, a nawet zniszczyć, w zależności od tego, jak używają tej mocy. Dwa dni temu rozmawiałam z jedną z moich przyjaciółek o tym, jak ogromny strach budzi we mnie świadomość tego, że mój syn kocha mnie ponad wszystko.

Jak wygląda dzień pisarki Laury Imai?

Nie piszę przez cały rok. Potrzebuję czasu, by wypełnić wyobraźnię. Są zatem dwa typowe dni: w jednym zbieram i kumuluję, a w drugim piszę. W tym drugim jestem bardzo zdyscyplinowana. Siadam do pisania, gdy dzieci idą do szkoły. Kończę, gdy wracają do domu. Czasami jest to pięć godzin pracy, a niekiedy nawet osiem.

Kiedy nie piszę, bardzo dużo chodzę i spędzam czas ze swoimi dziećmi. Idę popatrzeć, jak pływają w basenie albo odprowadzam je do szkoły. Kiedy piszę, tymi sprawami zajmuje się mój mąż. Jest jedna rzecz, której nie robię ani wtedy, kiedy piszę, ani wtedy, kiedy nie piszę: nigdy nie chodzę na wydarzenia publiczne. Nie tracę ani kawałka siebie w powierzchownych relacjach. Myślę, że jest to przywilej, którym cieszyć się może włoska pisarka, która nie mieszka we Włoszech. Gdy do Japonii przyjeżdżają włoscy ministrowie kultury i wysokiej rangi urzędnicy albo politycy, jestem zawsze zapraszana na spotkania, ale jest to tak puste, że nigdy w nich nie uczestniczę.

Tak naprawdę koncentruję się na dwóch rzeczach: na pisaniu i na życiu. I nie rozmieniam się na drobne w otaczającym mnie targowisku próżności. Mówię to z wielką dumą, bo jest to mój świadomy wybór. Wydaje mi się, że zadaniem „prawdziwego" pisarza jest żyć „prawdziwym" życiem, a tym właśnie jest np. patrzenie na własne dzieci, które pływają w basenie, a nie pokazywanie się z notablami.

Czy we Włoszech spotkała się pani z opinią, że język, styl, sposób narracji w pani książkach są japońskie?

Tak, oczywiście. To jest dokładnie ten sam rodzaj przekazu, co wtedy, gdy wracasz do domu po latach i słyszysz, że rysy twarzy zmieniły się na japońskie. Więc w zasadzie nie wiem, na ile są to obserwacje oparte na faktach. Czasami tak naprawdę zestawia się ze sobą dwie rzeczy, które nie są ze sobą związane.

Nie wiem, na ile mój styl może być opisywany jako „japoński". Oczywiście autor nie jest nigdy obiektywny wobec siebie i jest ostatnią osobą, która może się na ten temat wypowiadać.

Zdarzyło mi się wielokrotnie, że studenci pisali o moich książkach prace magisterskie i znajdowały się tam tezy, w których ja się zupełnie nie odnajduję, nawet nie wiem, o co im chodzi. Ale za każdym razem odpowiadałam im: „może to wy macie rację. Może wiecie o mnie więcej niż ja sama".

Czy myślała pani o pisaniu w języku japońskim?

Tak, myślałam o tym. Na początku pobytu w Japonii ogłoszono konkurs na powieść pisaną w języku japońskim przez cudzoziemców. Zgłosiłam swoją propozycję, ale w ostatniej chwili zmarł organizator i konkurs się nie odbył.

Powód, dla którego nie tworzę po japońsku, jest natury praktycznej. Pisanie w tym języku zajęłoby mi bardzo dużo czasu, którego nie mogłabym wykorzystywać na pisanie nowych książek. Dlatego powiedziałam sobie: „Użyj tego czasu na pisanie tak dobrze, by twoje książki były potem tłumaczone. Skoncentruj swoje siły na jednym, zamiast gubić się w wielu rzeczach".

Mam bardzo wiele umów z wydawcami na pisanie tekstów. Na szczęście czuję się wolna i sama mogę wybierać, nad czym będę pracować. Oprócz powieści piszę książki dla dzieci, opowiadania, reportaże. Dla pisarza bardzo ważny jest płodozmian.

Czy książki dla dzieci również dzieją się w Japonii?

Tak, oczywiście. Od dwudziestu dwóch lat Japonia jest moim domem i nie wyobrażam sobie, żebym mogła pisać o innych miejscach. Na przykład o Sycylii czy regionie Marche w środkowych Włoszech. Tak naprawdę bardziej bym zrozumiała kogoś, kto by mnie skrytykował, gdybym zaczęła pisać o sprawach dziejących się we Włoszech, byłoby to tak, jakbym przeniosła swoją rzeczywistość w obce realia. Nie mam prawa do tego.

Japonia przechodzi przemiany. Kobieta po raz pierwszy została premierem. Jak pani to ocenia?

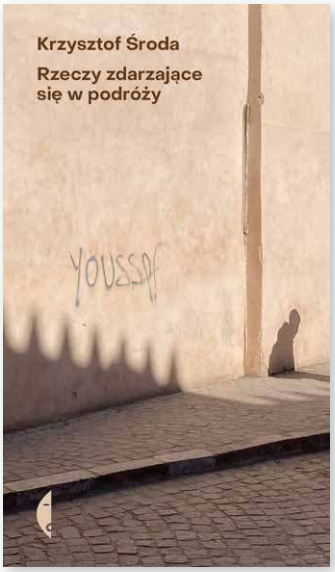
Dla mnie jest to wielkie osiągnięcie, pomijając zupełnie kwestie polityczne. Byłam z tego faktu bardzo zadowolona, nawet jeśli nie odczuwam maskulinizmu w Japonii. Ale wiem, że on się pojawia po tym, jak ludzie kończą studia, zwłaszcza gdy mówimy o ludziach, którzy chcą robić kariery zawodowe oraz polityczne. Ta zasada została naruszona, bo premierem została kobieta. To jest dopiero początek, ale pierwsze kroki są zawsze najtrudniejsze.

ROZMAWIAŁ PIOTR MILEWSKI

Tłumaczenie rozmowy z języka włoskiego: Agnieszka Kledzik

eprasa.pl c27f1fba1f

Nieprzyjemny humanizm



Krzysztof Środa
Rzeczy zdarzające się w podróży
wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2025,
s. 128, ISBN 978-83-8396-165-1

Po przeczytaniu pierwszego z opowiadań zapisałem w podręcznym notatniku: „»Bang bang« – dziwne połączenie prostoty stylu, oszczędnej fabuły oraz zagęszczenia myśli i refleksji. Zdania w obrębie akapitu często nie wynikają z siebie wzajemnie, wprowadzając coś zupełnie nowego. Trudne do zrozumienia. Musiałem czytać akapity jeszcze raz. I jeszcze raz. Bez uczuć estetycznych przez ładne zdania. Na pewno nie chodzi o to, by było przyjemnie".

Autor każdy z tekstów i dobrze zaczyna, i dobrze kończy. Ba! Z błyskotliwym okiem oraz inteligentnym spojrzeniem. Ale to, co pomiędzy…

Książka jest dla mnie pół prozatorska, pół eseistyczna. To drugie pół dużo bardziej służy autorowi. Z tego powodu ucieszyłem się, gdy mniej więcej w środku książki zaczął się segment paru tekstów-impresji. Każdy następny czerpie z poprzednich. Osobiście ten ciąg uważam za najlepszy w całej książce. Forma raczej refleksyjna sprzyja talentom (tworzenie przemyśleń oraz opis ludzi) i przykrywa trudności autora (prowadzenie fabularnej narracji). Autor korzysta w nich z kodu pojęciowego wytworzonego przez to, co już było, dzięki czemu ma się wrażenie spójności zbioru. Później jest ono rozbite przez finałowe „Archiwum", ale pewien synkretyzm całego tomu został oznaczony już we wstępie, dlatego nie mogę mieć o to żalu.

Środa ma sporo dystansu do siebie. Dzięki temu potrafi rozbawić, a w tak gęstych tekstach oddech jest przydatny. Drugą stronę medalu stanowi rażący idiolekt przekraczania granicy w drugą stronę – wpada w tony minoderii. Jakby narrator chciał, żebyśmy powiedzieli, że wcale nie jest taki słaby, jak sam się o sobie wypowiada. Z drugiej strony pojawia się to nieznośne przytoczenie opinii na temat podobieństwa swojej twórczości do Sebalda…

Nic nie wiem na temat samooceny autora, natomiast bardzo podoba mi się jego humanizm. Żywe portrety bohaterów – Albert, Celina, Andrzej (ten drugi), pani częstująca naleśnikami, nawet kierowca taksówki częstujący czym innym – każdego widzę, a nie tylko mgliście wyobrażam. Autor znalazł w każdym jakiś wdzięczny gest, zachowanie, które działa lepiej niż akapity opisów wyglądu i charakteru. Zawsze w punkt. Zważywszy na krótką formę, wskazuje to na kunszt Środy oraz jego bycie-ku-człowiekowi.

Gdy autor snuje jasną linearną opowieść, wychodzi mu to na dobre. Język jest przejrzysty, a gdzieniegdzie wplatane aforyzmy cieszą oko i głowę. Czuję, że przy bardziej misternych, fragmentarycznych strukturach zaczyna się gubić. Zdaje się, jakby myślał nawiasami (sporo dygresji, wtrąceń i podważania własnych decyzji).

Pisarz ma w tym zbiorze dość uciążliwą manierę metarefleksji. Często wychodzi z historii i przygląda jej się z boku. Stąd moja teza o problemie z czytelną narracją. Tak, generalnie może stanowić ciekawy zabieg. Prawda, ale ze swojej definicji działa wytrącająco, dlatego tym gorzej, że autor większości tych momentów nie rekompensuje czymś ciekawym. Zatrzymuje się, wskazuje palcem przed siebie, ale czytelnik widzi pustkę (albo co gorsza – coś zupełnie oczywistego). Po paru takich niepotrzebnych gestach tracę zaufanie do przewodnika.

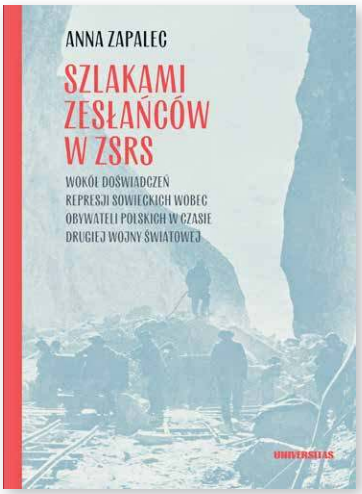
Styl jest oszczędny, ale stara zasada „Pisz krótkimi zdaniami!" w paru opowiadaniach (np. „Bang bang") została potraktowana zdecydowanie zbyt poważnie. Na tyle poważnie, że coś, co w teorii ma skupić czytelnika na treści, odciąga jego uwagę na rzecz poszatkowania zdania. Może miało to podkreślić fragmentaryzm tomu wyrażony we wciąż parafrazowanym zdaniu „zapisując na bieżąco rzeczy zdarzające się w podróży"? Gdy założenie intelektualne zniechęca do czytania, to coś mogło pójść niepomyślnie. Niemniej choćby „Archiwum" jest dobrze napisane, bo jest przede wszystkim czytelne. A wcale nie traci na tym głębia interpretacji tematu!

Zbiór tekstów świadczy o zdolności głębokiego wejrzenia Krzysztofa Środy zarówno w siebie, jak i w drugą osobę. Warto po tom sięgnąć, nie tyle ze względu na walory literackie, co raczej intelektualne. „Rzeczy zdarzające się w podróży" to podróżniczy humanizm w Armenii, na Mazurach i wewnątrz własnej duszy. Z błyskotliwym okiem oraz inteligentnym spojrzeniem, ale nieprzyjemny w przyswajaniu.

PAWEŁ WALCZUK

eprasa.pl c27f1fba1f

Losy zesłańców polskich w stalinowskiej Rosji



Anna Zapalec
Szlakami zesłańców w ZSRS. Wokół doświadczeń represji sowieckich wobec obywateli polskich w czasie drugiej wojny światowej
TAiWPN Universitas, Kraków 2025, s. 304, ISBN 978-83-242-4165-1

Polityka pamięci putinowskiej Rosji usiłuje wyrugować zbrodnie i represje stalinowskie z historiografii. Co więcej, uniemożliwia ona prowadzenie badań naukowych nad tą problematyką, także zagranicznym uczonym. W tym stanie rzeczy każda rzetelna praca naukowa poświęcona zakazanemu tematowi jest w cenie.

Do rzędu takich właśnie prac można zaliczyć antologię szkiców Anny Zapalec, zebranych z wcześniejszych publikacji i zaprezentowanych w odświeżonej – uzupełnionej i poprawionej – wersji. Prześledzenie wywodów autorki i wykorzystanego przez nią aparatu naukowego pozwala dostrzec współpracę merytoryczną z innym badaczem i recenzentem wewnętrznym tomu, prof. Danielem Boćkowskim. Ta synergia przyniosła dobre wyniki.

Książka podsumowuje kilkunastoletnie zaangażowanie Anny Zapalec w eksplorację losów polskich zesłańców – ofiar stalinowskiej polityki wobec obywateli Drugiej Rzeczypospolitej w czasie drugiej wojny światowej. Rozstrzał tematyki umożliwia zapoznanie się z różnymi aspektami tych wydarzeń, od radzieckiej akcji propagandowej, przez rzeczywisty przebieg przesiedleń, codzienność przesiedlonych, po ich bunty i częściowe zwolnienia po przywróceniu kontaktów dyplomatycznych rządu Sikorskiego z Moskwą.

Antologiczny charakter „Szlakami zesłańców w ZSRS" nie pozwolił autorce uniknąć licznych powtórzeń: te same wątki i dane pojawiają się w różnych artykułach. Ta wada książki jako całości jest jednocześnie zaletą, gdy czytelnika interesują tylko wybrane problemy: każdy szkic jest autonomiczny i może być czytany w oderwaniu od pozostałych. Wywody Anny Zapalec są uporządkowane i klarowne. Przede wszystkim jednak dostarczają dużo wiedzy, bynajmniej nie zdezaktualizowanej.

Szkic poświęcony antypolskiej kampanii propagandowej na Kresach Wschodnich uświadamia trwałość stereotypowych klisz, odwołujących się jeszcze do polonofobii czasów carskich. Opisane przez autorkę deportacje ludności polskiej lat 1940–1941 nie pozostawiają wątpliwości co do ich planowego, systematycznego charakteru. Bardzo ważny – wobec recydywy w dyskursie publicznym antysemickich kalek z tak zwaną żydokomuną na czele – jest tekst o deportacjach polskich Żydów. Cenny (nie tylko ze względu na dowartościowanie historii kobiet w badaniach ostatnich lat) jest artykuł o żeńskich łagrach. Niezwykle przejmująco wypada także szkic o represjach, jakie stały się udziałem polskich dzieci: osieroconych lub po prostu członków rodzin faktycznych i domniemanych wrogów ustroju radzieckiego.

Z punktu widzenia profesjonalnego czytelnika istotny walor ma część książki poruszająca zagadnienia warsztatowe w pracy historyka, w tym wyzwania przeprowadzania kwerend archiwalnych pod kątem polityki deportacyjnej ZSRR. Interesująco wypadają rozważania o emocjach ewokowanych przez zachowane źródła wspomnieniowe czy epistolarne.

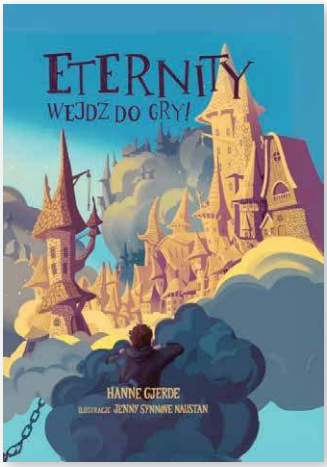
Niewielka objętościowo, ale ciekawa przez kontrapunkt estetyczny dla narracji o traumatycznym doświadczeniu represji, jest trzecia – ostatnia część książki. Traktuje ona (przynajmniej z pozoru) o przyrodzie Kołymy i wyspy Olchon na Bajkale. Relacja podróżnicza z pięknych, na poły dzikich miejsc, zderza się tu z racjonalną refleksją nad tragicznym losem skazańców.

Mimo zachowania rygorów naukowości, adresatem książki Anny Zapalec może i powinien być również „zwykły" czytelnik. Każdy artykuł stanowi mikrocałość, przypisy nie przytłaczają, końcowy indeks nazwisk ułatwia nawigację, ilustracje ożywiają narrację. Tom został starannie przygotowany do druku. Korekta i redakcja bez zarzutu, szata graficzna respektuje normy elegancji.

MIKOŁAJ BANASZKIEWICZ

eprasa.pl c27f1fba1f

MARIA KULIK *poleca*



Hanne Gjerde
Eternity. Wejdź do gry!
il. Jenny Synnøve Naustan, tłum. Marta Dybula-Östholm, Kropka, Warszawa 2025, s. 208, ISBN 978-83-68265-71-2

Festiwal literatury norweskiej trwa w najlepsze, mamy nową autorkę i nową tłumaczkę. Cieszy mnie, że ten język jest coraz bardziej popularny wśród tłumaczy, możemy się spodziewać kolejnych utworów dla starszych i młodszych. Recenzowana niedawno w naszym miesięczniku książka „Oskar i ja" Marii Parr (numer 11/2025) osadzona była w realiach codzienności, tu mamy powieść akcji, która balansuje między realizmem a fantazją.

Któż z nas nie lubi zanurzać się w nierealny świat i wędrować przez kolejne, wchodząc na następne poziomy narracji? Radość i fascynacja są podwójne, gdy ma się mamę programistkę i wchodzimy do gry, którą wspólnie stworzyliśmy. Takiej książki jeszcze nie miałam w ręku, a choć nie jestem fanką gier komputerowych, czytałam tę powieść fantasy z wielkim zainteresowaniem.

Zaczynamy od dramatycznych realiów, zawartych w komunikacie policji; dotyczy on zaginionego chłopca, który będzie bohaterem naszej opowieści. Informacje o zaginięciu – a właściwie zniknięciu – Kiana przekazał policji jego ojciec. On także opowiada o tragicznych wydarzeniach, które zaciążyły na psychice chłopca i, być może, przyczyniły się do jego zaginięcia.

Historia opowiedziana policjantom dotyczy choroby nowotworowej mamy, niestety zakończonej jej śmiercią. Kian nie może się pogodzić z tym, że nigdy nie zjedzą razem obiadu, że nie opowie jej, co zdarzyło się w szkole, nie przytuli się do niej wieczorem, a przede wszystkim, że nie zagrają w żadna grę, zwłaszcza w tę, którą sami stworzyli.

Świat gier komputerowych to jedyna rzeczywistość, w której Kian czuje się swobodnie i spędza, ku zgryzocie ojca, całe dnie, a nawet część nocy. Kiedy uda mu się zasnąć, często śni mu się, że szuka mamy w gęstym lesie i nie może jej znaleźć.

Ale oto pewnego wieczoru, gdy błądzi po ekranie, na którym miga logo Eternity, pojawia się okienko wiadomości podpisane nickiem „Aronoel". Takie imię nosiła mama jako uczestniczka tej gry! Czy to zaproszenie, aby zanurzyć się w wirtualny świat? Czy to nie pułapka albo atak hackerski? Kian postanawia podjąć ryzyko, zabezpiecza plik, wykonując kopię zapasową, i wciska „play"...

...i oto leży na trawiastej polanie, rozpoznaje to wszystko, co zna z innych gier, Minecrafta czy Angry Birds. Chłopiec coraz bardziej zdaje sobie sprawę, że razem z mamą zostali uwięzieni w grze Eternity, dowiaduje się też, że ma 24 godziny na uwolnienie, ale do tego czasu musi odnaleźć mamę.

Tymczasem ojciec Kiana wraz z policją próbują ustalić, co stało się z chłopcem. Nie jest to łatwe, bo chociaż pokój jest pusty, to telefon został, brak w nim śladów jakiejkolwiek aktywności, zostały też pieniądze.


fot. Anna Kozon

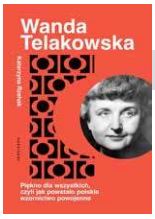
W świecie gry Kian nadal szuka mamy, dostaje wiele cennych wskazówek, poznaje interesujących ludzi, ale także największe zagrożenie, jakim dla Eternity jest wąż Snake (będzie okazja, aby się z nim zmierzyć!), wreszcie odnajduje wymyślone przez siebie i mamę pluszowe przytulanki (Klopsa i Klapsa). Jednakże dopiero spotkanie z Asuną, tajemniczą mieszkanką leśnej chaty, przyspieszy chwilę, gdy mama i syn znowu się zobaczą.

Lecz jaką drogę wybierze Kian? Czy wróci do realiów Prawdziwego Świata, który wszak istnieje? Czy po wypiciu eliksiru zapomnienia pozostanie w Eternity wraz mamą, porzucając ojca?

W tym momencie pojawiają się pytania egzystencjalne – do jakiego świata chcemy należeć? Gdzie tak naprawdę chcemy żyć? Tak jak poprzednio Kian nie mógł się pogodzić z nieobecnością mamy, tak teraz perspektywa pozostania w świecie Eternity oznacza rozłąkę z ojcem. Będzie brakować mu naleśników na śniadanie, kłującego zarostu, noclegów pod namiotem...

Bez obaw, drodzy czytelnicy! Nie będzie spoileru, nie zdradzę zakończenia, zapewnię tylko, że jest pozytywne, co nie znaczy, że mama wróci do świata żywych. Ważne jest na pewno, że ucieczka do wirtualnego świata nie rozwiąże naszych problemów, a budowa relacji z ludźmi przynosi nam emocjonalne i duchowe owoce, takie jak harmonia ze światem, wewnętrzny spokój, zdolność panowania nad sobą i wiele innych. Oby dobra literatura pomagała nam w osiągnięciu takich celów! ■

eprasa.pl c27f1fba1f



BIOGRAFIE, WSPOMNIENIA

Katarzyna Rzehak

Wanda Telakowska

Marginesy, Warszawa 2026, projekt okładki: Anna Pol, s. 256, ISBN 978-83-6854-966-9

W pierwszym ćwierćwieczu Polski Ludowej bohaterka tej książki była figurą rozpoznawalną i wpływową. Symbolem, a zarazem legendą. Dzieło jej życia – Instytut Wzornictwa Przemysłowego – ciągle istnieje na warszawskim Nowym Mieście.

Z tej solidnie udokumentowanej biografii wynika, że już u schyłku międzywojnia wykazywała niemałą aktywność społeczną. Zapewne wynikało to z rodowodu. Dzieciństwo – dostatnie – spędziła w Sosnowcu, gdzie ojciec był właścicielem dobrze prosperującego przedsiębiorstwa budowlanego, lecz również działaczem Polskiej Partii Socjalistycznej, toteż w domu rodzinnym wychowywano ją w duchu żeromszczyzny. Po otrzymaniu świadectwa dojrzałości poszła w kierunku plastyki. Juwenilia zdradzały talent i malarski, i graficzny. Wtedy poznała luminarzy literatury: Antoniego Słonimskiego, Mariana Hemara, Juliana Tuwima. Ślady owych znajomości – w postaci frywolnych rymów – widnieją w sztambuchu Wandy Telakowskiej. Adorowała Jarosława Iwaszkiewicza, ale ten – z powszechnie wiadomych względów – odrzucał kobiece karesy. Miłością jej życia był chyba Michał Bylina. Studencki kolega po pędzlu, wkrótce renomowany grafik, potem ceniony malarz-batalista. O jego względy konkurowała z Teresą Roszkowską, obiecującą malarką i scenografką. Obiekt zainteresowania pogodził rywalki, poślubiając inną, zaś Telakowską niebawem pochłonęła sztuka reklamowa, a zwłaszcza dekoracyjna.

Istotny element jej życiorysu stanowiło powstanie warszawskie. Razem z matką wytwarzała – na Żoliborzu – świece, których blask rozświetlał punkty sanitarne i opatrunkowe. Po kapitulacji zrywu pozostała jeszcze przez kilkanaście dni w starannie zamaskowanej kryjówce domowej, opiekując się schorowaną rodzicielką. Koniec końców wydostały się z opustoszałych ruin stolicy.

Telakowska powróciła do niej w styczniu roku 1945, oferując usługi resortowi kultury. Za sprawą kontaktowości (Eugeniusz Szyr, Leon Kruczkowski, Karol Kuryluk) i wigoru oraz determinacji skłoniła władze komunistyczne do uwzględnienia w gospodarce planowej także atrybutów sztuki użytkowej. Wzorców realizacji tego zamierzenia poszukiwała w USA z pomocą Czesława Miłosza, ówczesnego dyplomaty w służbie komunistycznej. Natomiast za naszą granicą południową w detale zagadnienia wprowadzał ją pewien Czech, w którym się zauroczyła. Małżeństwo jednak Telakowskiej pisane nie było, ponieważ „poślubiła sztukę" (copyright by Janusz Minkiewicz). Sukcesywnie marginalizowana w Instytucie Wzornictwa Przemysłowego – z przyczyn politycznych (bezpartyjna) – ostatnie lata żywota spędziła w ciemności. Spowodowanej postępującą ślepotą.

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT



SZTUKA

Dagmara Budzbon-Szymańska

Rzeźbiarki

Wydawnictwo Arkady, Warszawa 2026, projekt okładki: Joanna Białecka, s. 320, ISBN 978-83-213-5370-8

W drugiej połowie XIX wieku w polskiej sztuce nastąpiło wiele zmian. Jedną z nich, wbrew panującym konwenansom i poglądom, że rzeźba jest dziedziną sztuki typowo męską, było pojawienie się kobiet uprawiających różnorodną, trójwymiarową rzeźbę. W Krakowie, w ramach istniejących Wyższych Kursów dla Kobiet założonych przez Adriana Baranieckiego, lekarza, społecznika, współtwórcy krakowskiego Muzeum Techniczno-Przemysłowego, w 1883 roku na Wydziale Artystycznym zaczęto wykładać rzeźbę. Jako pierwsze ukończyły ją Antonina Rożniatowska i Tola Certowicz, uczennice Marcelego Guyskiego, rzeźbiarza, twórcy portretów, dzieł o tematyce sakralnej i alegorycznej, dekoracji architektonicznych, przyjaciela Cypriana Kamila Norwida.

Dagmara Budzbon-Szymańska, historyczka sztuki, pisarka, tłumaczka, absolwentka londyńskiego Courtauld Institute of Art i Uniwersytetu Sieneńskiego, w książce „Rzeźbiarki", drugiej po „Mistrzyniach. Esejach o polskich artystkach" (Wydawnictwo Arkady, 2024), przedstawia biografie 27 utalentowanych, imponujących rozmachem i oryginalnością twórczyń działających w ostatnich 150 latach, zmagających się z najprzeróżniejszymi rzeźbiarskimi problemami i materiałami. Są wśród nich Antonina Rożniatowska i Ludwika Nitschowa, Katarzyna Kobro i Olga Niewska, Alina Ślesińska i Barbara Zbrożyna, Alina Szapocznikow i Wanda Czełkowska, Magdalena Abakanowicz i Barbara Falender, Katarzyna Józefowicz i Mariola Wawrzusiak-Borcz oraz najmłodsze: Agata Agatowska i Anna Barlik, Martyna Pająk i Ola Nenko.

Autorka opisuje ich postawy życiowe i artystyczne, inspiracje, poszukiwania i dokonania, zaznajamia nas z tematami i motywami ich dzieł. Każda z artystek stworzyła lub tworzy prace pulsujące własnym rytmem, wywierające wpływ na nasze myślenie o rzeczywistości i porządku świata, naszą niezależność i bezkompromisowość, interpretujące egzystencję, kondycję i pozycję człowieka, oddziałujące na codzienność, kształtujące otaczającą nas przestrzeń, zwracające uwagę krytyki i mediów. Wykraczały poza tradycyjne schematy przedstawiania figury ludzkiej, kobiecej cielesności, ziemskiej kruchości materii i związanych z nią zjawisk i doznań oraz wyobrażeń fenomenu macierzyństwa, miłości, przyjaźni, bólu i sukcesu. Składały hołd pojedynczemu życiu i społecznościom, dobru i pięknu; w kamiennych, drewnianych i metalowych bryłach, stalowych konstrukcjach, ceramicznych obiektach odzwierciedlały ludzkie losy.

JERZY BRUKWICKI

eprasa.pl c27f1fba1f



KSIĄŻKI DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

Sylwia Błach

Nie znajdziesz mnie po śladach stóp

Il. Karolina Jeske, wydawnictwo Albus, Poznań 2026, s. 64, ISBN 978-83-67085-30-4

To książka, która zaczyna się od prostego pytania, a kończy na głębokiej zmianie perspektywy. Punktem wyjścia staje się rozmowa dwóch przyjaciółek – 33-letniej kobiety poruszającej się na elektrycznym wózku inwalidzkim i sześcioletniej dziewczynki. Niewinne pytanie: „Jak to jest jeździć na wózku?" uruchamia lawinę wspomnień, które w wyobraźni bohaterki przylatują jak kolorowe ptaki.

Narratorka niemal od urodzenia nie chodzi. Jednak już na początku rozbraja czytelnika szczerością: „Wózek nie jest moim wrogiem". Po chwili odwraca perspektywę i pyta: „A jak to jest chodzić?". Ten zabieg sprawia, że książka przestaje być opowieścią „o niepełnosprawności", a staje się historią o względności tego, co uznajemy za normę. To, co dla jednych jest oczywiste, dla innych bywa nieosiągalne – i odwrotnie.

Sylwia Błach (rocznik 1991) jest pisarką i influencerką, która porusza się na wózku. Dotychczas pisała książki, w których pojawiały się motywy potworów, wampirów i upiorów. W „Nie znajdziesz mnie po śladach stóp" buduje swoją narrację w duchu autofikcji. Czerpie z własnych doświadczeń, historii znajomych, kobiet poznanych w sieci, z opowieści zasłyszanych i przeżytych. Granica między autobiografią a literacką kreacją celowo pozostaje nieostra. Dzięki temu tekst zyskuje autentyczność, ale nie wpada w pułapkę dosłowności. To literatura świadoma odpowiedzialności za słowo – szczególnie w temacie, który często wywołuje skrajne reakcje: lęk, współczucie czy budowanie narracji o „superbohaterstwie".

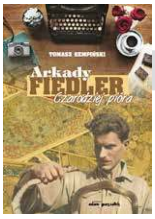
Autorka wyraźnie odcina się od takich etykiet. Nie chce być „dzielna" ani „inspirująca". Chce być zwyczajna. Pisze wprost: „Moja choroba to tylko dodatek do mnie. Tak jak posypka jest dodatkiem do lodów. Ma znaczenie, zmienia ich smak, ale nie jest najważniejsza". To jedno z najbardziej poruszających zdań w książce.

Sylwia Błach nie unika trudnych tematów. Mówi o wyższych kosztach życia, o barierach architektonicznych, o braku empatii. Jednocześnie w książce są i lekkość, i humor.

To publikacja edytorsko dopracowana, przemyślana i potrzebna. Pozwala lepiej zrozumieć osoby poruszające się na wózku, podsuwa konkretne wskazówki, jak zachowywać się z szacunkiem i naturalnością, a przede wszystkim – przywraca zwyczajność. Ograniczenia uda się pokonać tylko wtedy, jeśli jako społeczeństwo będziemy empatyczni.

Znakomicie z tekstem korespondują oniryczne ilustracje Karoliny Jeske – niezwykle wrażliwej i twórczej ilustratorki – które subtelnie dopowiadają emocje bohaterki i unoszą opowieść w przestrzeń wyobraźni, gdzie wspomnienia naprawdę mogą mieć skrzydła.

(ET)



BIOGRAFIE, WSPOMNIENIA

Tomasz Kempiński

Arkady Fiedler. Czarodziej pióra

Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2025, s. 552, ISBN 978-83-8415-062-7

Twórczość bohatera tej monumentalnej, wyczerpującej i detalicznej biografii otworzyła okno na świat kilku polskim pokoleniom. A „Dywizjon 303" oraz „Dziękuję ci, kapitanie" utrwaliły w świadomości narodowej czyn zbrojny naszego oręża za froncie zachodnim II wojny światowej.

Pisarz-wagabunda miał rozmaite oblicza. Z jednej strony: narcyz, sknera, autokrata, uwodziciel, konformista, z drugiej – człowiek stanowczy, konsekwentny, sumienny, operatywny, wytrwały. Zygmunt Pniewski, przyjaciel Fiedlera, notował: „Arkady był człowiekiem bardzo zdyscyplinowanym. Co postanowił, to robił. Wzbudzał zaufanie".

Ciekawe, jak potoczyłoby się życie prozaika, gdyby po II wojnie światowej wybrał los emigranta? Wrócił jednak do kraju za namową Jerzego Borejszy. Skuszony obietnicą dostatniego życia oraz perspektywą wielotysięcznych nakładów.

Z kolei Izabela Czajka i Wiktor Grosz, dobrzy znajomi Fiedlera z interbellum, a w Polsce Ludowej figury wpływowe, stali się jego protektorami. Wkrótce wyrzekł się niezależności, przeistaczając się w podróżującego urzędnika, nadającego kształt wizjom Polek i Polaków o egzotycznym świecie. Czy jego ekspedycje byłyby możliwe bez współpracy z komunistycznymi służbami?

Zastanawia, skąd wzięło się u Fiedlera poczucie niedowartościowania, niesłuszne, zważywszy na wielomilionowe (sic!) nakłady oraz translacje na 23 języki obce. U schyłku międzywojnia chciał zdobyć uznanie stołecznych elit kulturalnych, lecz miał wrażenie, że jest postrzegany w tych kręgach niczym „prymitywny narwaniec, któremu nie odmawiano pewnych zdolności literackich". Jarosław Iwaszkiewicz określił go nawet mianem twórcy „trzygroszowych reportaży". Podobnie było w PRL-u, kiedy osiadł w podpoznańskim Puszczykówku. Środowisko literackie Poznania – zazdrosne o masową popularność Fiedlera – nie rekomendowało go do laurów. Może właśnie dlatego nieliczne i nieśmiałe głosy krytyczne budziły w literacie irytację oraz pretensje do redakcji, które owe passusy drukowały. Szukał wsparcia u sekretarzy poznańskiego KW PZPR, towarzyszy: Stefana Olszowskiego, Jana Szydlaka i Kazimierza Barcikowskiego.

Niewątpliwie patronował mu również Amor. Z pierwszą małżonką, Janiną Ritter rozszedł się po niemal 15 latach pożycia, drugą, Włoszkę Marię Maccariello, poślubił w wojennym Londynie. Chwalił się licznymi romansami, m.in. z Zofią Stryjeńską, ale trudno dociec, ile było w tym prawdy. Erotyczne perypetie zawarł w książce „Kobiety mej młodości", opublikowanej już po śmierci autora.

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT

eprasa.pl c27f1fba1f

PROZA POLSKA

Elżbieta Anna Abłamowicz

Na Ziemi i w Kosmosie



Poprzednie trzy części tetralogii pisarki, uprawiającej rzemiosło literackie od niezbyt dawna (jest dubeltową – polonistyka i anglistyka – absolwentką Uniwersytetu Warszawskiego, szereg lat spędziła w Australii, zajmuje się pedagogiką, translacją oraz dziennikarstwem), gruntownie dyskontowały rzetelnie udokumentowaną historię. Tudzież opisywały, różnymi oczami, współczesność. Tym razem autorka popuszcza wodze fantazji.

Bez wątpienia rozkwit techniki wpływa także na stosunki (excusez le mot!) damsko-męskie, częstokroć je deformując. Wszelako miłość krystaliczna, istniejąca od początków ludzkości, okazuje się impregnowana na technologię. Z jednej strony znacząco ułatwiającą egzystencję, ale z drugiej nierzadko przesłaniającą życie wewnętrzne. Tak odczytałem sens tej oryginalnej i zajmującej prozy. Przenoszącej czytelników do czwartego tysiąclecia naszej ery. Ukazanego malowniczo, błyskotliwie i kusząco. Pośród mieszkańców ziemskiego globu ciągle funkcjonuje jedynie płeć żeńska i męska (w domyśle ideologia gender i LGTBQ okazały się zwyrodnieniami).

Narracja zdecydowanie akcentuje zarazem potrzebę kultywowania duchowości. Elementu wyróżniającego ludzki gatunek spośród istot zamieszkujących naszą planetę.

W tej skłaniającej do zadumy lektury wyraźnie rezonują echa literackiej klasyki science fiction. Autorstwa: Herberta George'a Wellsa, Philipa K. Dicka, Raya Bradbury'ego, Isaaca Asimova, Franka Herberta, Ursuli K. Le Guin, a z krajowego podwórka: Stanisława Lema, Janusza Zajdla, Rafała A. Ziemkiewicza, Marka Oramusa, Jacka Piekary czy Piotra Gońca.

Tom wieńczy cykl zatytułowany „Cztery milenia kobiety i mężczyzny". Zapewne nie tylko niżej podpisanego zastanawia, jaka tematyka wypełni teraz projekty pisarskie Elżbiety Abłamowicz? **(TO-RT)**

Norbertinum, Lublin 2025, s. 156, ISBN 978-83-7222-820-8

Maciej Hen

Tratwa z pomarańczami



Pozwolę sobie rozpocząć od wyznania: ilekroć sięgam po książkę, w której autor zapowiada powrót do dzieciństwa, odczuwam pewną obawę. Wspomnienia bywają bowiem jak rodzinne albumy – cenne dla właściciela, lecz dla postronnego oka nie zawsze zajmujące. A jednak „Tratwę z pomarańczami" Macieja Hena czytałam z rosnącą uwagą, przekonując się, że pamięć, jeśli jest poddana pracy myśli, staje się materią literatury, a nie tylko sentymentu.

Autor podejmuje temat ryzykowny: pisze o własnym dorastaniu, o domu, którego centralną postacią był ojciec – znany pisarz, Józef Hen. Łatwo byłoby tu popaść w ton pomnikowy. Tymczasem Maciej Hen wybiera drogę trudniejszą: próbuje zrozumieć. Nie rozliczyć, nie zdemaskować, nie obalić, lecz zrozumieć człowieka, który był jednocześnie ojcem i postacią publiczną, kimś bliskim i kimś nie do końca dostępnym.

Jest w tej książce coś, co szczególnie cenię, czyli powściągliwość. Autor nie epatuje intymnością, nie sprzedaje rodzinnych sekretów. Raczej buduje opowieść z drobiazgów: z rozmów, półtonów, spojrzeń, z atmosfery mieszkania, w którym literatura była nie tyle zawodem, ile żywiołem. Dorastanie w takim domu musiało być doświadczeniem osobliwym. Z jednej strony duma, z drugiej – ciężar. Bo jak odnaleźć własny głos, gdy w sąsiednim pokoju powstają książki podpisane nazwiskiem już rozpoznawalnym?

A przecież „Tratwa z pomarańczami" nie jest opowieścią o rywalizacji. To raczej historia dojrzewania do własnej odrębności. Autor pokazuje, że syn pisarza nie musi ani powtarzać jego drogi, ani jej gwałtownie odrzucać. Może płynąć obok, na własnej tratwie, z własnym ładunkiem doświadczeń.

Wielka historia – ta przez duże H – pojawia się tu jak tło pejzażu. PRL nie jest sceną patetycznych wystąpień ani czarno-białą planszą ideologiczną. Jest przestrzenią codzienności: wyjazdów, ograniczeń, rozmów prowadzonych półgłosem, marzeń większych niż dostępne możliwości. I w tym właśnie tkwi siła tej książki. Autor nie upraszcza przeszłości do formuły „czasów słusznie minionych" ani nie idealizuje jej w duchu nostalgii. Pokazuje, że można było żyć w systemie ułomnym, a jednak przeżywać dzieciństwo jako czas intensywny, formujący, niekiedy szczęśliwy.

Tytułowa tratwa wydaje mi się metaforą nader trafną. Tratwa to konstrukcja prowizoryczna, zbita z tego, co akurat pod ręką, a jednak zdolna utrzymać człowieka na powierzchni. Taką tratwą bywa rodzina. Bywa nią także pamięć, niepełna, niekiedy chwiejna, lecz pozwalająca przeprawić się przez rwący nurt czasu. A pomarańcze? Dla pokolenia dorastającego w PRL były czymś więcej niż owocem. Były obietnicą świata, zapachem świąt, chwilą luksusu w rzeczywistości na co dzień skromnej. W tym sensie stają się symbolem dzieciństwa – słodkiego, lecz nietrwałego.

Czy jest to książka głośna? Nie. Czy prowokuje do sporów? Zapewne nie w takim stopniu, jak czynią to dziś publikacje programowo zaczepne. A jednak ma walor, który w literaturze cenię nade wszystko: skłania do namysłu. Nad relacją ojca i syna, nad dziedziczeniem pamięci, nad tym, jak bardzo jesteśmy utkani z cudzych opowieści.

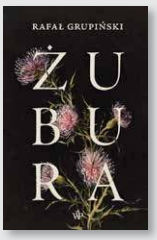
W epoce, w której chętnie wydajemy wyroki na przeszłość, Maciej Hen proponuje rzecz bardziej wymagającą – próbę zrozumienia bez łatwego usprawiedliwienia i bez taniego oskarżenia. I być może właśnie dlatego warto wejść na tę tratwę. Nie po to, by podziwiać egzotyczny ładunek, lecz by przekonać się, że każdy z nas płynie przez życie z podobnym bagażem: z historią rodzinną, z pamięcią, która bywa ciężarem i ratunkiem zarazem, oraz z kilkoma pomarańczami, których smak pamiętamy dłużej, niż byśmy się spodziewali.

MARYTKA CZARNOCKA

Wydawnictwo Filtry, Warszawa 2025, s. 312, ISBN 978-83-68180-61-9

Rafał Grupiński

Żubura



Rafał Grupiński, wicemarszałek Senatu XI kadencji, polityk znany, kojarzony z określoną opcją polityczną, pięciokrotnie wybierany poseł do Sejmu, napisał powieść z krwi i kości. To późny debiut prozatorski, jeśli nie liczyć trzech opowiadań wydanych w zbiorach z innymi autorami. Nieco bogatszy jest jego dorobek poetycki, obejmuje pięć tomów wydanych zarówno kiedyś w drugim obiegu, jak i współcześnie. Ostatnia książka poetycka z 2021 roku ma prowokacyjny tytuł „Bogini Jezus", co w kontekście wydania w 2025 roku powieści pt. „Żubura" ma znaczenie. Autor przyzwyczajał czytelnika, że nie jest autorem oczywistym i dla każdego.

„Żuburę" pisał dla odbiorcy specyficznego. Dla lubiącego wyzwania czytelnicze, wycieczki międzygatunkowe i wreszcie skomplikowane zagadki intelektualne. Rafał Grupiński opisał w tej książce świat widziany z perspektywy dwóch tysiącleci – epoki starożytnej, czasów aktywności św. Augustyna z Hippony w Cesarstwie Zachodniorzymskim i okresu pierwszej wojny światowej, połączonego klamrą życia złoczyńcy z czasami komunizmu PRL. Zdumiewająca parabola. Książka składa się z łacińska tytułowanych ▸

eprasa.pl c27f1fba1f

rozdziałów, ułożonych w trudnym do rozszyfrowania szyku, przeplatanych wynurzeniami z zaświatów. Jest jak puzzle, które niepokoją wraz z postępującym odsłanianiem obrazu.

Rafał Grupiński sam nazywa tę książkę kryminałem metafizycznym i to jest dobre określenie „Żubury" jako gatunku, ale i wskazówka dla czytelnika, bo czytelnik „Żubury" potrzebuje podpowiedzi, stąd na końcu książki m.in. spis postaci. Książka wymyka się wszelkiemu szufladkowaniu. Autor ma świadomość debiutu prozatorskiego w wieku i pozycji, w których może pozwolić sobie na pełną wolność twórczą, bez mizdrzenia się do czytelnika. W jednym z wywiadów powiedział, że pisał tę książkę pięć lat, głównie nocami. Książka ma coś z mrocznej atmosfery bezsennych nocy. Wprowadza czytelnika w zakłopotanie, dając jednocześnie poczucie uczestniczenia w ważkich rozważaniach filozoficznych. Tytuł – „żubura" – to wyraz z gwary poznańskiej, oznacza mętną wodę. W książce to pojęcie pada dwukrotnie, za pierwszym razem jako określenie lurowatej kawy, za drugim – brudnej i mętnej rzeki Warty. Wnikając w lekturę książki, nasuwa się myśl, że odnosi się też do ludzkiej natury, nad charakterem której spory od lat toczą filozofowie i psycholodzy. Czy fundamentalne cechy ludzkie są stałe, czy kształtowane przez byty kulturowe i społeczne? Uważny czytelnik znajdzie w „Żuburze" wiele podpowiedzi do rozważań na wyżej postawiony dylemat. Grupiński, historyk kultury, pisze z erudycyjną swobodą, zuchwale żongluje między scenami, czasami, miejscami, zostawiając nieraz czytelnika z rozdziawioną gębą. Znajdziemy tu i trochę kryminału, powieści historycznej, refleksji filozofujących o tradycji augustynizmu, w której zło rozumiane jest jako brak dobra i dramat niewłaściwie użytej wolnej woli, jak i pesymistyczną wizję świata obecnego u Artura Schopenhauera, dla którego źródło cierpienia tkwi w ślepej, nienasyconej woli życia. Napisałam na początku, że to książka nie dla każdego, ale z pewnością dla czytelnika wyrobionego i cierpliwego, gotowego poddać się eksperymentowi literackiemu.

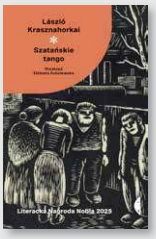
MIROSŁAWA ŁOMNICKA

Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2025, s. 360, ISBN 978-83-6861-028-4

PROZA ZAGRANICZNA

László Krasznahorkai

Szatańskie tango



To powieść, która hipnotyzuje. Brzmi to jak wyjęte z najtańszego blurba, ale tak po prostu jest. Nie wiem, jak to robi Krasznahorkai, ale ta fraza, trochę patetyczna, nawet oschła, prorocza w tonie, sprawia, że w trakcie lub świeżo po lekturze przypatrujemy się ludziom uważniej i głębiej niż zwykle.

To najsłynniejsze i najważniejsze dzieło noblisty, które zyskało na popularności przede wszystkim dzięki filmowej adaptacji Béli Tarra z 1994 roku, dając asumpt do dyskusji o świecie prowincji jako zamkniętego kręgu, który to, opisany w inny niż dotychczas sposób, wzbudził zainteresowanie wielu badaczy kultury.

Krótko o treści: akcja utworu rozgrywa się w podupadłym węgierskim kołchozie, zamieszkanym przez garstkę zdesperowanych ludzi żyjących w biedzie i marazmie. Mieszkańcy, skłóceni i podejrzliwi wobec siebie, snują plany ucieczki z tego miejsca, gdy nagle powraca Irimiás: charyzmatyczny manipulant uznawany wcześniej za zmarłego. Ten obiecuje im nowy początek i wspólne przedsięwzięcie, wzbudzając nadzieję, która szybko okazuje się złudzeniem. Cena za ulegnięcie zbiorowej iluzji fałszywego proroka może być bardzo wysoka.

Powolne ukazywanie się katastrofy wiedzie czytelnika przez powtórzenia i długie, złożone składniowo zdania. Utwór może stać na jednej półce z arcydziełami modernizmu, ale nie tyle konstrukcja formalna jest tu nowatorska – sama narracja, jej istota, staje się drugim głównym bohaterem; z tematu, czasu i miejsca akcji Krasznahorkai czyni sedno opowieści równorzędne z samą fabułą.

To powieść o ludziach, którzy tracą zdolność do bycia razem w szczerości; to książka, w której nadzieja jest narzędziem manipulacji, a zwykła rutyna jest formą przeżywania apokalipsy. Trudno jest oddać wrażenia na papierze, ale chyba najlepszym porównaniem, czego możemy się spodziewać na kartach powieści, to takie swoiste połączenie „Wesela" Wyspiańskiego z „Saltem" w reżyserii Tadeusza Konwickiego.

To jest trudna, ale niesamowita lektura; wymaga uważności, żeby nie zgubić się w toku opowieści i na pewno nie na jeden wieczór. Utwór ten pozostaje kluczowym punktem odniesienia w dyskusjach o literaturze europejskiej końca XX wieku, zarówno jako przykład ekstremalnego stylu, jak i jako diagnoza społeczna. Dla czytelników i badaczy Krasznahorkai pozostaje autorem, którego warto czytać dla doświadczenia czegoś nieszablonowego.

SEBASTIAN WALCZAK

Czarne, Wołowiec 2026, s. 304, ISBN 978-83-8396-228-3

Yuta Takahashi

Chibineko. Niezwykła restauracja wspomnień



Są książki, które otulają czytelnika jak ciepły koc i filiżanka herbaty w chłodny wieczór. „Chibineko" to właśnie taki japoński comfort book – powieść, która przynosi czytelnikowi spokój, ukojenie i emocjonalną równowagę. Nie opiera się na dynamicznej akcji ani dramatycznych zwrotach fabularnych. Zamiast tego proponuje kameralne historie, skupione na codzienności, relacjach międzyludzkich i drobnych rytuałach. Co typowe dla tego gatunku, pojawia się w niej element realizmu magicznego.

Powieść składa się z czterech historii, które łączy niewielka restauracja w nadmorskim miasteczku. Lokal nosi nazwę „Chibineko", czyli „mały kot", a jego cichym bywalcem jest oczywiście mruczek. Jednak prawdziwą magią tego miejsca nie jest kotek ani samo położenie restauracji, lecz serwowane tam potrawy. To kagazen, dania ku pamięci – przygotowywane tak, by przywołać obecność osoby, którą się utraciło.

Jedną z pierwszych, które doświadczają tej niezwykłej mocy, jest Kotoko, opłakująca brata zmarłego w wypadku. Para unosząca się nad talerzem w niemal mistyczny sposób przywraca wspomnienie ukochanej osoby – tak realne, jakby granica między światem żywych i zmarłych na moment się zacierała. Podobnego doświadczenia doznaje Taiji Hashimoto, pilny uczeń, który może jeszcze raz zobaczyć dziewczynę, w której się zakochał, oraz Yoshio, 80-latek tęskniący za zmarłą żoną.

Takahashi prowadzi narrację spokojnie, z delikatnością, nie szuka tanich wzruszeń. W toku opowieści poznajemy genezę niezwykłych dań oraz osobę stojącą za pomysłem restauracji. Odkrywanie tej tajemnicy nadaje książce dodatkowej głębi, ale sednem pozostaje coś innego – „Chibineko" to opowieść o procesie żałoby i pamięci, o oswajaniu straty.

Szczególnie wymowny w tym kontekście jest taki cytat z powieści: „Ukazała się nowa książka ulubionego autora Kotoko i zamierzała ją kupić w dużej księgarni naprzeciwko stacji. Wygodniej byłoby tytuł zamówić przez internet, ale Kotoko robiło się smutno na myśl, że tyle księgarń się zamyka". Obyśmy nigdy nie musieli przeżywać żałoby także po nich – po tych wspaniałych miejscach, w których przechowuje się ludzkie historie i pamięć. **(ET)**

tłum. Anna Koike-Kamińska, Rebis, Poznań 2026, s. 208, 44,99 zł,
ISBN 978-83-8338-424-5

eprasa.pl c27f1fba1f

ESEJ

Celia Svedhem

Ciemny pokój. O historii migreny i poszukiwaniu ulgi



Celia Svedhem napisała esej autobiograficzny poświęcony życiu z chorobą chroniczną, jaką jest migrena. Autorka jest psycholożką, psychoterapeutką, a także dziennikarką, i opowiada, do jakiego stopnia choroba rujnuje jej życie zawodowe i jakiej ekwilibrystyki wymaga w codziennym życiu. Przywołuje je w książce wiele znanych postaci ze świata sztuki i kultury, które cierpiały na migrenę, takie jak Lewis Carroll (motyw z „Alicji w Krainie Czarów" przewija się przez całą książkę i z tej powieści zaczerpnięte jest motto), Salvador Dalí, Zygmunt Freud, Richard Wagner, Gustav Mahler, Fryderyk Nietzsche, Karol Darwin, Virginia Woolf czy Joan Didion. Na podstawie ich dzieł i pozostawionych świadectw poddaje analizie wpływ, jaki choroba wywarła na ich życie i twórczość. Zastanawia się, sama mając dwójkę małych dzieci i pracującego w innym mieście partnera, czy gdyby ówczesna medycyna potrafiła trafnie zdiagnozować Woolf, to czy udałoby się jej zrealizować marzenie o macierzyństwie. Ponieważ została udowodniona korelacja choroby afektywnej dwubiegunowej i migreny, zatem Svendhem stawia pytanie, czy właściwa diagnoza mogłaby uratować życie autorki „Orlanda". Wstrząsające jest to, że Woolf nigdy nie dostała żadnych leków przeciwbólowych, tylko zalecenia odpoczynku, tak wówczas popularne i rekomendowane neurastenikom, bo taką łatkę im przyklejano. Bardzo ciekawe są też rozważania dotyczące literackich i malarskich przetworzeń migreny z aurą.

Opisy dolegliwości i zmagań z nimi to prawdziwe studium bycia w matni, dlatego lektura tej książki oddziałuje na wszystkie zmysły i budzi ogromną empatię zarówno wobec głównej bohaterki, jak i wszystkich przywołanych twórców mierzących się z tym schorzeniem. Być może ta lektura będzie objawieniem, jak osobie zmagającej się z migreną towarzyszyć w cierpieniu. Pamiętajmy, że na świecie cierpi na nią ponad miliard ludzi.

ANNA KIEŁCZEWSKA

tłum. Elżbieta Ptaszyńska-Sadowska, Czarne, Wołowiec 2025, s. 168, ISBN 978-83-8396-198-9

BIOGRAFIE, WSPOMNIENIA

Anna Nasalska

Michnik. Człowiek, który zredagował Polskę



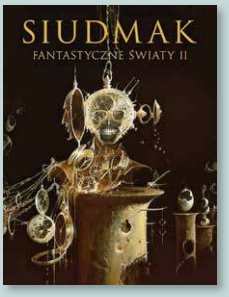


Jeśli ktoś mówi lub pisze o kimś „Redaktor", to myślę tylko o Jerzym Giedroyciu. Ale czasy się zmieniają i ostatnio tym mianem środowiska liberalne określają Adama Michnika. Drugim zabiegiem służącym ukonstytuowaniu legendy założyciela „Gazety Wyborczej" jest wydanie dwutomowej biografii mającej ambicję opisania fenomenu Adama Michnika jako redaktora, intelektualisty i uczestnika historii, życie prywatne i anegdota schodzą tu na drugi plan, ustępując miejsca analizie idei, sporów i tekstów.

Pierwszy tom to obszerna narracja obejmująca młodość opozycyjną, więzienia, KOR, „Solidarność", a następnie lata transformacji i budowę „Gazety Wyborczej". Nasalska skrupulatnie rekonstruuje konteksty historyczne, przywołuje teksty, polemiki, wypowiedzi i eseje Michnika. To książka pisana z zamiarem zbudowania panoramy dziejów, ale o narracji widocznie jednostronnej. Autorka wyraźnie sympatyzuje z bohaterem, podkreślając jego rolę w obronie pluralizmu i dialogu. Można jednak odnieść wrażenie, że głosów krytycznych wobec Michnika jest tu zaskakująco mało. Owszem, pojawiają się wzmianki o sporach, o oskarżeniach o „michnikowszczyznę", o reprezentacji elit z pominięciem reszty społeczeństwa, lecz są one referowane skrótowo, bez pogłębionej analizy argumentów drugiej strony. W efekcie książka bywa bardziej opowieścią o przyjętych poglądach Michnika niż polem przestrzeni do sporów.

Co ciekawe, na prawie półtora tysiącu stron zabrakło miejsca na biografie popełnione przez poprzedników Nasalskiej, a przecież, czy się to komuś podoba, czy nie, książki Romana Graczyka „Demiurg. Biografia Adama Michnika", Cyrila Bouyeure'a „Adam ▸

Surrealizm na usługach SF



Wojciech Siudmak
Siudmak. Fantastyczne światy II
Dom Wydawniczy Rebis, Poznań 2025, s. 288, 299 zł, ISBN 978-83-8338-245-6

Wojciech Siudmak należy do najbardziej rozpoznawalnych polskich malarzy na Zachodzie. Jego twórczość chwalili tacy giganci kultury jak George Lucas, Denis Villeneuve czy Federico Fellini, a prace były wystawiane na całym świecie – od Francji, przez Hiszpanię i Egipt, aż po Polskę i Stany Zjednoczone. Kunszt Siudmaka nie ulega wątpliwości, lecz wielu fascynatów literatury science fiction po raz pierwszy zapoznało się z obrazami tego artysty za sprawą okładek książek Philipa K. Dicka i Franka Herberta wypuszczanych na rynek przez Dom Wydawniczy Rebis.

Wydania „Diuny" czy „Ubika" z obrazami Wojciecha Siudmaka na obwolucie zyskały już miano kultowych. Nie dziwi więc, że wydawnictwo przejawia chęć rozwijania tej współpracy za sprawą produktów premium. Nakładem Rebisu w 2015 roku ukazał się pierwszy album zatytułowany po prostu „Siudmak", zaś sześć lat później na półki księgarskie trafił tom „Siudmak. Fantastyczne światy", gdzie zawarte zostały rysunki i obrazy z „Kronik Diuny" i kontynuacji cyklu, a także album „Siudmak. Chopin". Wspomniane „Fantastyczne światy" doczekały się właśnie kontynuacji zawierającej obrazy i grafiki z serii wydawniczej Rebisu „Dzieła wybrane Philipa K. Dicka".

Liczące 288 stron dzieło (najobszerniejsze z dotychczasowych) otwiera szereg krótkich tekstów pisanych po polsku, francusku i angielsku. Wśród nich znalazły się wprowadzenie pióra laureata Nagrody Nobla sir Rogera Penrose'a, biogram Wojciecha Siudmaka oraz wspomnienia autorstwa Artura Bartłomieja Chmielewskiego i samego bohatera książki. Głównym daniem albumu są wszakże dzieła należące do nurtu realizmu fantastycznego i pochodzące z różnych okresów twórczości Siudmaka.

Obrazy i grafiki polskiego malarza niejednokrotnie zachwycają swoją intymnością i delikatnością, które nader często ścinają się z brutalizmem przedstawionego tematu czy technologicznego postępu jako takiego. Do najistotniejszych motywów pociągających artystę należą czas i przemijanie, ale znajdziemy tu też inspiracje metafizyką i mitologią. W albumie znalazły się m.in. dzieła wykorzystane w ikonicznych wydaniach „Ubika", „Czy androidy marzą o elektrycznych owcach?", „Deus Irae" czy „Labiryntu śmierci", ale nie oznacza to, że sięgnąć po niego powinni wyłącznie fani Philipa K. Dicka. Piękno, transcendencja i artyzm dzieł Siudmaka potrafią dotknąć bowiem również tych, którzy o tych tytułach nie słyszeli – nawet jeśli połączenie między książką a obrazem niekiedy wzmacnia siłę oddziaływania tego drugiego.

TOMASZ GARDZIŃSKI

eprasa.pl c27f1fba1f

Michnik. Biografia", a może przede wszystkim „Michnikowszczyzna" Rafała Ziemkiewicza są szeroko obecne wśród odbiorców i należałoby się z nimi zderzyć, nawet skrótowo i ze z góry znanym rozstrzygnięciem wielu kwestii.

Drugi tom, opatrzony podtytułem „Konteksty", jest podzielony na dwie części. W pierwszej umieszczono tematy istotne dla Michnika i według autorki są to: Kościół, Holocaust, Rosja, Ukraina, Białoruś, totalitaryzm i rewolucja. Zaskakuje nie tylko ilość tematów, ale też ich wybór, gdyż nawet laik zadaje sobie pytanie: chwila, a gdzie chociażby polityka, gospodarka, Unia Europejska? Druga część, zatytułowana „Przyjaciele pisarze", przybiera formę alfabetu postaci, z którymi Michnik się spotykał, współpracował bądź spierał. To w większości galeria nazwisk przedstawiona w krótkich szkicach. Problem polega jednak na tym, że te portrety są często zbyt skrótowe, powierzchowne, pozbawione głębi psychologicznej. Zamiast pełnokrwistych relacji otrzymujemy raczej syntetyczne noty, które w wielu miejscach powtarzają informacje i interpretacje zawarte już w tomie pierwszym. Wrażenie redundancji jest wyraźne: drugi tom nie tyle poszerza perspektywę, ile porządkuje ją w alfabetyczny katalog. To zabieg ciekawy formalnie, lecz nie zawsze satysfakcjonujący poznawczo.

Mimo tych zastrzeżeń książka Nasalskiej jest ważnym głosem w dyskusji o roli inteligencji i mediów w III RP. Pokazuje Michnika jako człowieka dialogu, wiernego idei kompromisu i republikańskiego etosu, nawet jeśli ta wizja pozostaje jednostronna. Być może właśnie ta jednostronność stanie się impulsem do dalszych, bardziej polemicznych opracowań. Biografia tak obszerna nie zamyka bowiem tematu - raczej otwiera go na nowo.

Historia za 50 lat zweryfikuje tę pozycję.

SEBASTIAN WALCZAK

Tomy 1-2, Znak, Kraków 2025, s. 1040, 416, ISBN 978-83-2404-516-7

LITERATURA FAKTU

Michał Waleszczyński-Lis

Bestialska historia świata



Są książki, które czyta się dla przyjemności, są takie, które poszerzają wiedzę i są wreszcie takie, które czyta się z niepokojem, momentami odkładając je na bok, żeby złapać oddech. „Bestialska historia świata" należy zdecydowanie do tej ostatniej kategorii. To książka, która konfrontuje czytelnika z pytaniem o naturę ludzkiego zła.

Już od pierwszych stron autor prowokuje refleksję: dlaczego właściwie chcemy słuchać i czytać o okrucieństwie? Co sprawia, że przyciągają nas historie ociekające krwią? Sam próbuje odpowiedzieć na to pytanie: „Fascynacja złem, jaka siedzi w każdym z nas, także we mnie, nie tłumaczy wszystkiego. Może chodzi o katharsis, oczyszczenie, jakiego doznajemy, czytając i słuchając najstraszniejszych historii?".

To bardzo trafne ujęcie charakteru książki. Nie jest ona wyłącznie zbiorem makabrycznych opisów ani sensacyjnym katalogiem zbrodni. Autor, twórca podcastów true crime dla Sekielski Brothers Studio, świadomie wykorzystuje formę reportażu grozy, by pokazać coś znacznie bardziej niepokojącego: banalność zła.

Najmocniejszą stroną książki jest właśnie to odbrązowienie potworów. Nie ma tu demonów ani potworów z legend. Są nauczyciele, lekarze, nastolatki, sąsiedzi, członkowie rodzin, czyli zwykli ludzie. Autor podkreśla: „Relacjonując te najbardziej chore z wydarzeń rozgrywających się na ziemskim globie, chcę pokazać także co innego (...) że to byli zwykli, mili ludzie (...) że zbrodni dokonał przeciętny człowiek".

I to właśnie najbardziej przeraża. Autor nie oszczędza odbiorcy. Opisy są brutalne, znajdziemy tu przerażające opowieści o wymyślnych sposobach dręczenia ofiar. Tytułowa „bestialskość" okazuje się więc nie tyle cechą jednostek, co możliwością wpisaną w ludzką naturę.

Pod względem stylistycznym publikacja jest dynamiczna i przystępna. Widać doświadczenie autora jako podcastera – narracja jest żywa, opowieści mają rytm, a rozdziały czyta się jak kolejne odcinki mrocznej serii. To jednocześnie zaleta i pułapka: łatwo „pochłaniać" kolejne historie, choć ich ciężar emocjonalny bywa przytłaczający.

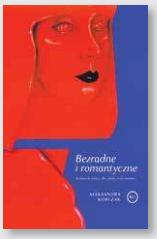
„Bestialska historia świata" nie jest książką dla każdego. Wymaga odporności psychicznej i gotowości na konfrontację z najbardziej ponurą stroną człowieczeństwa. Nie oferuje taniej sensacji ani prostych odpowiedzi, zamiast tego pozostawia czytelnika z niepokojem i refleksją. **(ET)**

Prószyński i S-ka, Warszawa 2026, s. 430, 59,99 zł, ISBN 978-83-8391-354-4

NAUKI HUMANISTYCZNE

Aleksandra Korczak

Bezradne i romantyczne. Bohaterki lektur dla szkoły podstawowej



Książka Aleksandry Korczak to odważny i konieczny głos w trwającej debacie o tym, jakie postaci, jakie narracje, jakie wzorce płciowe i role społeczne przekazują uczniom lektury szkolne. Autorka pyta wprost: dlaczego w kanonie dominują bohaterowie męscy, pełni sprawczości, a postaci kobiece częściej są bezradne, piękne, romantyczne lub funkcjonują w tle jako matki czy przyszłe żony?

Główna teza głosi, że kanon szkolny mówi uczniom nie tylko, co czytać, ale kim mają być – i to już od najmłodszych lat. Badaczka wskazuje jednak, że lektury pełne stereotypów można wykorzystać krytycznie jako punkt wyjścia do rozmowy o zmianach społecznych, i że kanonowy brak kobiecych autorów i bogatych bohaterek to problem edukacyjny, który szkodzi wyobraźni młodych ludzi.

Korczak pokazuje, że wiele bohaterek powieści dla dzieci funkcjonuje przede wszystkim w sferze emocji i więzi, nie przejmując inicjatywy ani nie wykazując niezależności. Za przykład można uznać „W pustyni i w puszczy", gdzie postaci żeńskie często pełnią funkcje pasywne i niezdolne do samodzielnej egzystencji; dotyczy to zarówno niewolnic, jak i Nel Rawlison, sprowadzonej do roli rozpieszczonego dzieciaka. Podobnie w „Ani z Zielonego Wzgórza" – główna bohaterka bywa romantyczną marzycielką, ale jej osobowość cechuje w głębi infantylizm wywołujący żałość u odbiorcy.

Główna siła książki polega na tym, że autorka nie pozostawia czytelnika z jedynie negatywną diagnozą. Korczak sama akcentuje jednak, że szkoła ma uczyć myślenia, nie tylko treści – i to włączenie refleksji krytycznej stanowi trzon jej propozycji. Stara się pokazać również, jak przekuć krytykę w narzędzie edukacyjne – jak omawiać teksty szkolne w sposób, który nie utrwala stereotypu, ale go ujawnia i dekonstruuje, i mówi o wpływie narracji na poczucie tożsamości i sprawczości.

Z drugiej strony wywód jest ahistoryczny. Literatura od zawsze funkcjonowała w ograniczeniach swojej epoki i pytania o sprawczość bohaterek wymagają szerszego kontekstu historycznego i dydaktycznego, a nie jedynie feministycznej oceny ze współczesnego punktu widzenia.

Czasami te refleksje są chyba zbyt krytyczne. Na przykład zarzut, że w „Felixie, Necie i Nice" Rafała Kosika chłopcy wartościują i oceniają krytycznie dziewczęta: jeden z bohaterów skomentował niecodzienny wygląd klasowej piękności, mówiąc, że „wylaszczyła się". Nastolatek zwraca uwagę na fizjonomię, bo nie zamienił jesz- ▸

eprasa.pl c27f1fba1f

cze z nią zdania, a sformułowanie jest kierowane do kolegi slangiem, jaki jeszcze piętnaście lat temu używano [s. 143]. Oburza ją także sformułowanie „słaba płeć" użyte w „Sposobie na Alcybiadesa", książki napisanej przez Edmunda Niziurskiego na początku lat sześćdziesiątych [s. 83]. Choć autorka stara się być drobiazgowa w analizach, często stawia oceny i wytyka mizoginizmy na podstawie nawet jednego zdania, często porównuje jednocześnie kilka utworów, co wywołuje momentami chaos interpretacyjny.

W efekcie „Bezradne i romantyczne" nie jest jedynie dysertacją o braku sprawczych bohaterek, lecz raczej wezwaniem do refleksji nad tym, jak czytamy, czego uczymy i jakie wzorce kulturowe przekazujemy najmłodszym. Nawet jeśli nie wszystkie punkty argumentacji będą przekonywać każdego czytelnika, to książka pełni rolę ważnego narzędzia dyskusji o edukacji, literaturze i równości – i jako taka zasługuje na uwagę nie tylko nauczycieli czy rodziców, ale wszystkich, którzy myślą o szkole jako przestrzeni kształtowania postaw, wyobraźni i tożsamości.

SEBASTIAN WALCZAK

Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa, 2025, s. 256,
ISBN 978-83-6826-761-7

POEZJA

Aneta Korycińska

Czego nie powiem swojej córce



Czego mi nie powiesz?, zapytała córka, widząc, że czytam debiutancki tom poezji Anety Korycińskiej. Żebyś porzuciła poezję, pomyślałam. Bo choć poezja nie jest dziś w modzie, ma siłę emocjonalnej szczerości, pozostaje jedną z najbardziej otwartych form literatury – sprzyja indywidualnemu doświadczeniu czytelnika. Taka właśnie jest książka „Czego nie powiem swojej córce". Intymna, a zarazem zapraszająca do współodczuwania.

Autorka, Aneta Korycińska, znana szerzej jako Baba od polskiego, w poetyckich frazach skrywa kobiece lęki i napięcia. Pisze o macierzyństwie – jako o stanie oczekiwania, drżenia, niepewności. O relacji matka-córka, która jest jednocześnie więzią i zwierciadłem. O momencie, w którym same stajemy się rodzicami i nagle przestawiamy ostrość widzenia: to, co było doświadczeniem córki, zaczyna być doświadczeniem matki.

Wiersze Korycińskiej krążą wokół pamięci i przemiany. Pokazują, jak doświadczenia kobiet mogą się przenikać – jakby były częścią pokoleniowej sztafety. Autorka nie ucieka od tematów trudnych: pojawia się cień traumy porodowej, lęków, nieprzepracowanych napięć. Poezja staje się tu formą mierzenia się z tym, co niewygodne, przemilczane, zepchnięte na margines codziennych rozmów.

To zarazem poezja wyraźnie osadzona w szerszym kontekście społecznym. Refleksja nad macierzyństwem nie jest jedynie prywatnym wyznaniem – zyskuje feministyczne tropy, wpisuje się w debatę o kobiecym doświadczeniu, cielesności i prawie do własnej narracji. Korycińska nie moralizuje, nie udziela rad.

Ważnym dopełnieniem tomiku są autorskie kolaże. To nie ilustracje w tradycyjnym sensie, lecz równoległa opowieść wizualna. Jak sugeruje sama autorka, mają opowiedzieć to, czego „nie dało się pomieścić w słowach". W efekcie książka staje się projektem dwugłosowym – tekst i obraz współtworzą przestrzeń znaczeń, w której czytelnik może się zatrzymać.

„Czego nie powiem swojej córce" to poezja refleksyjna i osobista. Prowokuje do pytań – nie tylko o to, czego nie powiemy swoim córkom, lecz także o to, czego same nie usłyszałyśmy. **(ET)**

Fundacja Duży Format, Warszawa 2025, s. 66, ISBN 978-83-68247-18-3

RELIGIA

Luigi Maria Epicoco, Luciano Regolo

Gdzie niebo spotyka się z ziemią



Autorzy publikacji ukazują czytelnikowi słowa i dzieło trojga mistyków: św. Pio z Pietrelciny, matki Speranzy, zakonnicy z Hiszpanii, oraz sł. Bożej Natuzy Evolo, żony i matki pięciorga dzieci. Żyli oni w XX wieku naznaczonym dramatami, jak i postępem technologicznym i ekonomicznym. Ich słowa oraz wybory zawsze i niestrudzenie odsyłają do Słowa Bożego, wyraźnie ukazując, że doświadczenia i myśl współczesnych mistyków, choć należące do bliższej nam epoki, są zbieżne z doświadczeniami i myślą świętych z dawnych wieków, takich jak Katarzyna ze Sieny, Franciszek z Asyżu czy Teresa z Avili.

Autorzy piszą: „Byłoby naprawdę wspaniale, gdyby ktoś mocno oblepiony błotem życia, czytając tę książkę, odnalazł drogę, która zaprowadzi go na wyżyny, a ten, kto za bardzo buja w obłokach, odnalazł drogę, która pozwoli mu na nowo stanąć twardo na ziemi. Tacy ludzie jak mistycy są pożyteczni dla wszystkich, ponieważ nigdy nie stanowią niczyjej własności, lecz są dobrem powszechnym".

BOŻENA RYTEL

tłum. Krzysztof Stopa, wydawnictwo Jedność, Kielce 2025, s. 266,
ISBN 978-83-8353-224-0

PRAWO

Joanna Hetman-Krajewska

Podstawy prawa autorskiego na tle innych praw własności intelektualnej



Prawo autorskie wielu osobom kojarzy się z hermetycznym językiem ustaw, skomplikowanymi definicjami i gąszczem przepisów. Joanna Hetman-Krajewska udowadnia jednak, że o ochronie własności intelektualnej można pisać jasno, przystępnie i ciekawie.

Jej książka to praktyczny przewodnik po zagadnieniach związanych z prawem autorskim, skierowany przede wszystkim do osób, które na co dzień nie zajmują się prawem, a chcą świadomie poruszać się w tematyce twórczości i obrotu treściami – m.in. do twórców, wydawców, osób pracujących w kulturze, ale i „zwykłych" odbiorców korzystających z publikacji analogowych czy cyfrowych.

Autorka osadza prawo autorskie w szerszym kontekście innych praw własności intelektualnej, dzięki czemu czytelnik lepiej rozumie różnice między nimi oraz zakres ochrony przysługującej twórcom.

Ogromnym atutem publikacji są przykłady z praktyki – opowieści z wokandy, omówienia konkretnych rozstrzygnięć sądowych, które pokazują, jak przepisy funkcjonują w realnych sporach. To nie jest suchy wykład z ustawy. Lekturę urozmaicają anegdoty i ciekawostki, stanowiące przyjemną odskocznię od bardziej technicznych fragmentów.

Na szczególną uwagę zasługuje odniesienie do aktualnych i szeroko dyskutowanych kwestii związanych z dozwolonym użytkiem oraz eksploracją tekstów i danych (TDM), zwłaszcza w kontekście zasilania modeli sztucznej inteligencji.

Spore fragmenty publikacji poświęcono również wynagrodzeniom autorskim, prawu cytatu i plagiatowi – zagadnieniom, które budzą najwięcej wątpliwości w praktyce. Wyjaśnienia są konkretne, uporządkowane i oparte na przykładach. ▸

eprasa.pl c27f1fba1f

Joanna Hetman-Krajewska to prawniczka specjalizująca się w prawie autorskim i szeroko pojętej własności intelektualnej. W swojej książce wyraźnie korzysta z doświadczeń wyniesionych z sali sądowej i pracy z klientami – stąd liczne przykłady z praktyki, odniesienia do realnych sporów i umiejętność przekładania zawiłych przepisów na zrozumiały język. **(ET)**

Wolters Kluwer, Warszawa 2025, s. 306, 69 zł, ISBN 978-83-8390-764-2

SZTUKA

praca zbiorowa pod redakcją Alison M. Gingeras

Kwestia kobieca 1550–2025



Jeszcze tylko do 3 maja w warszawskim Muzeum Sztuki Nowoczesnej będzie można obejrzeć niezmiernie interesujące, uzupełniające się wystawy: „Kwestia kobieca 1550–2025" i „Miasto kobiet". Po pierwszej z nich zostanie, oprócz wielu wrażeń, refleksji, interpretacji, komentarzy i recenzji, zajmujący, obszerny katalog, zawierający eseje filozofki Chiary Bottici, antropolożki Ewy Klekot, historyczki sztuki Griseldy Pollock i twórczyni wystawy, historyczki sztuki i kuratorki Alison M. Gingeras, rozmowę z noblistką Olgą Tokarczuk o świętej Wilgefortis, teksty wprowadzające do poszczególnych działów pokazu Alison M. Gingeras i Beaty Purc oraz wstęp Joanny Mytkowskiej, krytyczki sztuki, dyrektorki Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Na wystawie pokazano ponad 150 dzieł artystek z różnych stron świata, powstałych w okresie ostatnich pięciu wiekach; w katalogu zamieszczono prawie 120 reprodukcji fascynujących, zwracających uwagę prac, pełnych wyobraźni, fantazji i konkretu.

Głównymi ideami i zagadnieniami, którymi zajęły się autorki wystawy i katalogu, będącymi absorbującym okazaniem kobiecej duchowości i wrażliwości, pokazem różnorakich postaw artystycznych, poglądów, przesłań i determinacji, stały się wyrażane przez artystki od drugiej połowy XVI wieku po współczesność prawa do bycia sobą i macierzyństwa, kwestie cielesności, odwagi, patriotyzmu, patriarchatu, strategie budowania wizerunku i konstruowania mechanizmów życia. Wystawa, a za nią towarzyszące jej wydawnictwo, podejmuje w ujęciu dziejowym problemy feminizmu, panujących struktur i porządków społecznych, relacji międzyludzkich, politycznych decyzji ingerujących w życie kobiet i dzieci, solidarności, ludzkich oczekiwań i marzeń w przeróżnych poetykach i stylistykach.

Katalog wydany został w polskiej i angielskiej wersji językowej.

JERZY BRUKWICKI

tłum. Łukasz Mojsak, Simon Wloch, Aleksandra Paszkowska, Ewa Klekot, projekt graficzny: Ludovic Balland, Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie, Warszawa 2025, s. 288, ISBN 978-83-67598-34-7

DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

Zofia Stanecka

Opowieści o wartościach



Autorka bestsellerowej serii o Basi napisała ciepłą i wzruszającą książkę o wartościach. Znajdziemy w niej 23 opowiadania poświęcone m.in. odwadze, empatii i akceptacji, różnorodności, szczerości, prawdzie, asertywności, samodzielności czy cierpliwości. Jest to pozycja idealna do wspólnego czytania, inspirująca do rozmów na poruszane w niej tematy, ucząca dzieci, jak radzić sobie z emocjami (bo pamiętajmy, że nie ma czegoś takiego jak „zła emocja", każda jest informacją zwrotną, którą należy umieć zdekodować i... dzięki temu skutecznie rozbroić!). Zofia Stanecka pokazuje w tej książce, jak ważne są wartości w codziennym życiu. Każda historia kończy się krótkim podsumowaniem lub pytaniem, które zachęca dziecko do refleksji i rozmowy z rodzicem lub opiekunem. Książka nie moralizuje, ale poprzez konkretne przykłady uczy, jak postępować w różnych sytuacjach, co czyni ją doskonałym narzędziem wychowawczym.

Ilustracje autorstwa Aleksandry Krzanowskiej są po prostu zjawiskowo piękne i czynią z lektury prawdziwą ucztę estetyczną. Widać w tej książce czułość, każdy detal jest dopracowany, wszystko tu stoi na najwyższym edytorskim poziomie, co, jak wiadomo nie od dziś, jest znakiem rozpoznawczym książek wydawanych przez Naszą Księgarnię.

Pozycja adresowana jest do dzieci w różnym wieku, a dzięki swojej podzielonej na opowiadania strukturze idealnie sprawdzi się też jako narzędzie do prowadzenia z dziećmi w wieku przedszkolnym i wczesnoszkolnym zajęć z bajkoterapii (sprawdziłam osobiście).

ANNA KIEŁCZEWSKA

Il. Aleksandra Krzanowska, Nasza Księgarnia, Warszawa 2025, s. 176, ISBN 978-83-10-14243-6

Francesca Cavallo

Bajki na dobranoc dla chłopców nowego pokolenia



Międzynarodowy fenomen „Opowieści na dobranoc dla młodych buntowniczek" Franceski Cavallo i Eleny Favilli – przypomnijmy, że zostały już przetłumaczone na ponad 50 języków – uświadamia, jak bardzo jesteśmy spragnieni takich narracji adresowanych do dzieci, które pomogą im w pełni rozwinąć ich twórczy potencjał. Takich, które nie będą utrwalały stereotypowych ról wciąż kulturowo przypisywanych dziewczynkom i chłopcom. No bo przecież współczesne dziewczynki chcą rozrabiać, a nie chcą być grzeczne i uległe, zaś współcześni chłopcy odrzucają stereotyp siły rozumianej jako tłumienie emocji, tylko chcą znów nauczyć się płakać i doświadczać życia w całym jego bogactwie. Dlatego „Bajki na dobranoc dla chłopców nowego pokolenia" to wspaniały zbiór nowoczesnych i oryginalnych bajek, które pokazują nowy obraz męskości we współczesnym świecie.

Cavallo przenosi czytelników na dwanaście wymyślonych planet – co przypomina trochę peregrynacje Małego Księcia – i za pomocą snutych historii przypomina prostą prawdę, że na miłość i akceptację nie trzeba zasługiwać, że nie trzeba być bohaterem, ale można nauczyć się akceptacji samego siebie ze wszystkimi niedoskonałościami. Bohaterowie tych pełnych przygód bajek mają dostęp do odwagi emocjonalnej, potrafią stawić czoła odrzuceniu i bez wstydu odkrywają swoją prawdziwą tożsamość. Czarno-białe ilustracje Luisa San Vincentego są idealnym dopełnieniem tej znakomitej publikacji i zarazem drugim wspólnym projektem wydawniczym autorki i ilustratora.

Bardzo bym chciała, żeby moi siostrzeńcy żyli w świecie wolnym od toksycznej męskości, żeby umieli korzystać z wyobraźni przez całe życie i żeby ich ugruntowanie w sobie przekładało się na dobre, bezpieczne i karmiące relacje. Czytanie takich bajek na dobranoc na pewno pchnie ich na właściwe tory, by nie wyrośli na nieznośnych macho, co przy ich ogromnej wrażliwości na szczęście raczej im nie grozi. Wszystkich czytelników zachęcam też do zapoznania się z ruchem Mężczyźni Przyszłości.

ANNA KIEŁCZEWSKA

Il. Luis San Vincente, tłum. Justyna Kukian, wydawnictwo Debit, Katowice 2025, s. 184, ISBN 978-83-8057-901-9

eprasa.pl c27f1fba1f



ZAPRASZA mtp GRUPA

POZNAŃSKIE TARGI KSIĄŻKI

13-15 marca 2026



Lokalizacja: Międzynarodowe Targi Poznańskie | TargiKsiazki.pl | Kup bilet: TO BILET.PL | mtp GRUPA app

PATRONAT HONOROWY

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

PARTNERZY I PATRONI

Abedik | Biblioteka Raczyńskich | Centrum Kultury Zamek | Fundacja Batorego | granda | Koleje Wielkopolskie | lubimyczytać.pl

WSPIERAJĄ NAS

Agencja interaktywna r360

Wielkopolska | Marszałek Województwa Wielkopolskiego Marek Woźniak | Patronat Honorowy Prezydenta Miasta Poznania | PATRONITE | Polska Izba Książki | PTWK | SBP | Wojewódzka Biblioteka Publiczna i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu | Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego | Wydawnictwo Miejskie Poznania | City Marketing

eprasa.pl c27f1fba1f

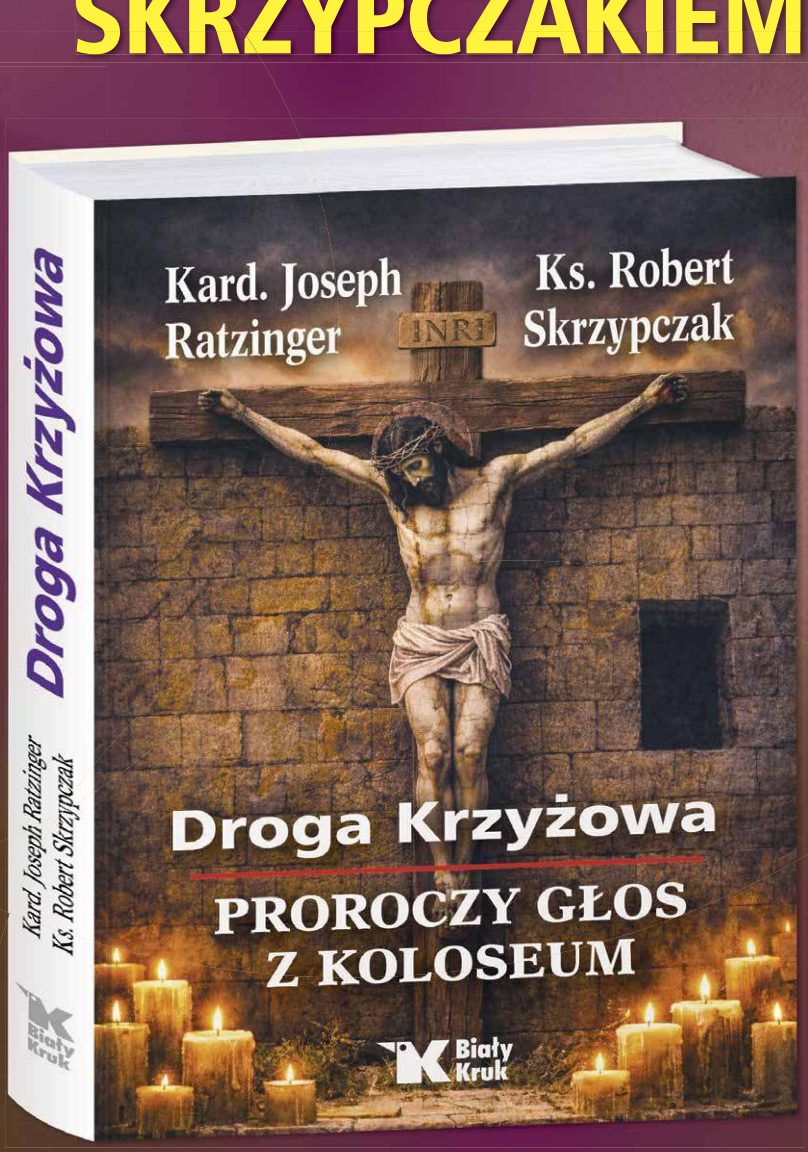
WIELKI POST Z KSIĘDZEM SKRZYPCZAKIEM

Słowa rozważań kard. Josepha Ratzingera z roku 2005 są dziś jeszcze bardziej aktualne niż wówczas. Wygłosił je owego roku w Wielki Piątek podczas nabożeństwa Drogi Krzyżowej w Koloseum, odprawianego w zastępstwie ciężko chorego Jana Pawła II. Najbliższy współpracownik Papieża napiętnował tych, którzy będąc w Kościele, odchodzą od nauki Chrystusa i ją przeinaczają. Którzy się sprzeniewierzają Zbawcy. Prorocze to były słowa, bo przecież dyktatura postprawdy i walka z zasadami chrześcijańskimi nie była wtedy jeszcze tak zaawansowana jak dzisiaj.

Wielki hierarcha, a przy tym bardzo pobożny kapłan, kard. Ratzinger przeczuwał, że coraz bardziej zuchwałe nieposłuszeństwo wobec Boga przyniesie katastrofalne skutki nie tylko dla katolików, ale także dla całej ludzkości. Dlatego przestrzegał, że „W tym buncie przeciw prawdzie, w tej próbie bycia samemu sobie bogiem, twórcą i sędzią, spadamy i niszczymy samych siebie". Słusznie diagnozował, że „Sprawiedliwość zostaje podeptana z tchórzostwa, małoduszności, ze strachu przed dyktatem panującej mentalności. Cichy głos sumienia zostaje zagłuszony przez wrzawę tłumu. Niezdecydowanie i lęk przed opinią ludzi dodają siły złu".

Podążanie za Chrystusem w trakcie medytowania Drogi Krzyżowej jako nabożeństwa nakłania nas do nawrócenia. Nakłania też do zastanowienia się, co robimy ze swoim życiem nie tak, na co przyzwalamy tylko dla świętego spokoju, jakiego zła wolimy nie dostrzegać z powodu własnej wygody. Kard. Joseph Ratzinger mocno nami potrząsa, żebyśmy jako katolicy nie pozostawali bierni. Czyni to także ks. prof. Robert Skrzypczak w drugiej części książki, odwołującej się do rozważań Ratzingera-Benedykta XVI. Ten wspaniały polski kaznodzieja, pisarz i teolog ukazuje także osobowość następcy św. Jana Pawła II, podkreślając aktualność nauczania i napominania obu papieży.

Stacjom Drogi Krzyżowej towarzyszą odpowiednio reprodukcje wspaniałych dzieł sztuki, głównie polskich artystów, co przybliża nam Mękę Chrystusa i Jego poświęcenie dla naszego zbawienia.



Premiera

144 str., 44 ilustracje
format 14 x 20 cm, twarda oprawa

Zapraszamy do obejrzenia spotkań autorskich online na naszym kanale youtube.com/WydawnictwoBialyKruk

ZAMÓW:

bialykruk.pl, 12/254 56 02, 12/254 56 19
lub e-mail: handlowy@bialykruk.pl.
Przy zamówieniu powyżej 300 zł koszty przesyłki (17 zł) ponosi wydawnictwo.

www.bialykruk.pl

Dla czytelników „Magazynu Literackiego Książki"
35% taniej! Wejdź na stronę bialykruk.pl
i wykorzystaj kod rabatowy MAGAZYN35

eprasa.pl c27f1fba1